

Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



O. WEININGER
PŁEĆ
i CHARAKTER



O. WEININGER
PŁEĆ
i CHARAKTER

PŁEĆ I CHARAKTER.

OTTO WEININGER
PŁEC I CHARAKTER

ROZBIÓR ZASADNICZY.

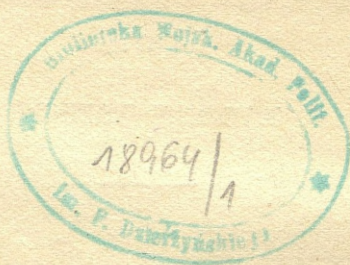
PRZEŁOŻYŁ
OSTAP ORTWIN.

Tom I.

WYDANIE TRZECIE.

Warszawa
BIBLIOTEKA DZIEŁ NAUKOWYCH
1926.

15, 3



PRZEDMOWA.

Zadaniem książki niniejszej jest rzucić nowe, rozstrzygające światło na kwestję płci. Nie chodzi jej o to, aby nagromadzić możliwe jak najwięcej poszczególnych rysów charakteru lub zestawiać wyniki dotychczasowych pomiarów i eksperymentów naukowych, ale usiłuje ona sprowadzić wszelkie przeciwieństwa między mężczyzną i kobietą do jednej, jedynej tylko zasady. To ją odróżnia od wszystkich innych książek tego kroju. Nie zatrzymuje się ona na tej lub owej sielance, ale stara się dotrzeć do jakiegoś celu ostatecznego; nie piętrzy stosów spostrzeżeń, lecz systematyzuje różnice duchowe płci; nie zajmuje się kobietami, obchodzi ją tylko kobieta. Wprawdzie za punkt wyjścia służą jej zawsze fakty najpowszedniejsze i najbardziej na powierzchni leżące, ale posługuje się ona niemi natto tylko, aby wszelkie konkretne, indywidualne doświadczenia wyjaśnić. A nie uprawia przy tem „metafizyki induktywnej“, lecz dba krok za krokiem o psychologiczne pogłębienie zagadnienia.

Rozbiór ten nie jest specjalny, lecz jest zasadniczy; nie gardzi pracownią laboratoryjną, jakkolwiek jej środki pomocnicze wydają mu się wobec za-

gadnień głębszych ograniczonemi w porównaniu z twórczością analizy na samoobserwacji opartej. Artysta, przedstawiający istotę kobiecą, może stworzyć również coś typowego, chociażby się nie był legitymował cyfrą i wykazami przed cechem protokółantów eksperymentalnych. Artysta nie odrzuca doświadczenia, przeciwnie, nabycie doświadczenia uważa on za swój obowiązek; ale jest ono dla niego tylko punktem wyjścia do zatapiania się w siebie samego, co w sztuce objawia się, jak zatopienie się w głąb świata.

Psychologja zatem, którą tu się posługujemy celem przedstawienia rzeczy, jest nawskroś filozoficzna, jakkolwiek trzyma się ona stale właściwej swej jedynie właściwością tematu usprawiedliwić się dającej metody rozpoczynania od najtrywialniejszych faktów doświadczenia. Zadanie filozofa różni się atoli tylko formą od zadania artysty. Co dla tego jest symbolem, staje się myślą dla tamtego. Sztuka i filozofja mają się tak do siebie jak wyraz i treść. Artysta wchłania świat, aby go wyłonić; dla filozofa jest on wyłoniiony i musi on go znów wchłonać.

Ale we wszelkiej teorii nieuchronnie tkwi zawsze coś pretensjonalnego; skutkiem tego ta sama treść, która w dziele sztuki wywiera wrażenie natury, tutaj w systemie filozoficznym może jako związane i treściwe twierdzenie o zjawisku ogólnem, jako teza, podległa zasadzie racji i podejmująca się dowodu, działać o wiele ostrzej, co więcej, może nawet razić. Tam, gdzie rozstrząsania te są antyfeministyczne — a takimi są one prawie ciągle — tam i mężczyźni nie przyklasną im nigdy chętnie i z pełni przekonania: ich egoizm płciowy każe im kobietę

widzieć raczej zawsze taką, jaką oni mieć ją pragną, jaką oni kochać pragną.

A jakżebym dopiero nie miał być przygotowany na odpowiedź, jaką mi kobiety na sąd mój o płci ich dawać będą.

Że cały rozbiór na końcu swym zwraca się przeciwko mężczyźnie, jemu największą i właściwą winę przypisując, co prawda, w głębszym, niż zwolenniczka równouprawnienia kobiet przeczuwa, znaczeniu, nie na wiele to się przyda autorowi; jest to bowiem rzecz tego rodzaju, że najmniej chyba u płci żeńskiej mogłaby mu do rehabilitacji dopomóc.

Do zagadnienia winy dochodzi zaś analiza dlatego, że wznosi się od pierwszych, najbliższej leżących zjawisk do punktów, które pozwalają nie tylko wglądnąć w istotę kobiety i jej znaczenie w całokształcie świata, lecz z których także stwierdza się widok na stosunek jej do ludzkości i do ostatecznych, najwyższych jej zadań, skąd zająć można stanowisko wobec zagadnienia kultury i ocenić współdział kobiecości w całokształcie celów idealnych. Tam zatem, gdzie zagadnienia kultury i ludzkości się schodzą, postaramy się już nie tylko wyjaśniać, lecz także oceniać; tam nawet wyjaśnienie i ocena same przez się się łączą.

Do tak wysokiego punktu widzenia rozbiór niżej dojdzie jest niejako zmuszony, zgoła od początku ku niemu nie dążąc. Na gruncie empiryczno-psychologicznym okazuje mu się zwolna sama przez się wszelka filozofja empiryczno-psychologiczna niedostateczną. Jego szacunek dla doświadczenia bynajmniej przez to się nie uszczupla, gdyż zmysł rzeczywistości doświadczalnej zawsze się tylko wzmacnia.

a nie niszczy, jeśli człowiek dostrzega w zjawisku — owej jedynej coprawda rzeczy, jaką przeżywa — te składniki, które mu dają pewność, że istnieje nie tylko zjawisko, skoro on w niem widzi jeszcze znaki, wskazujące na coś wyższego, ponad nim leżącego. Że prazródło takie jest, da się stwierdzić, choćby nawet nikt, kto żyje, nigdy doń dotrzeć nie mógł. I książka niniejsza nie prędzej pragnie spocząć, aż w pobliże źródła tego nie zawiedzie czytelnika.

W tym ciasnym obrębie, w którym się dotąd zawsze sprzeczne poglądy na kobietę i sprawę kobiecą ze sobą ścierały, nie możnaby się było, oczywiście, nigdy odważyć na postawienie sobie celu tak wysokiego. Ale zagadnienie jest tego rodzaju, że stoi w związku z wszystkimi najgłębszemi zagadkami bytu. Tylko pod niezawodnem kierownictwem całkowitego na świat poglądu może ono praktycznie i teoretycznie, moralnie czy metafizycznie zostać rozwiązaniem.

Pogląd na świat — to mianowicie, co na miano to zasługuje — nie jest czemś, coby wiadomościom poszczególnym mogło kiedykolwiek stać na przeszkodzie, przeciwnie, wszelkie poznanie szczegółowe, głębszą zawierające prawdę, z niego się dopiero wylania. Pogląd na świat jest sam przez się twórczy; nigdy atoli nie da się on jak to w okresach empirycznej tylko wiedzy się mnieć, utworzyć syntetycznie z największej choćby sumy wiadomości specjalnych.

W książce niniejszej widnieją tylko zawiązki takiego ogólnego poglądu, zbliżone najbardziej do światopoglądu Platona, Kanta i chrześcijań-

skiego. Ale fundament naukowy, psychiczno-filozoficzny i logiczno-etyczny w znaczniejszej części sam stworzyć musiałem. Wiele rzeczy nie było wprawdzie tu możliwem dokładniej rozwinąć i mam nadzieję na innem miejscu szczegółowo je uzasadnić. Jeśli jednak mimo to na te właśnie partje książki wyraźny tu kładę nacisk, czynię to dlatego, że mi bardziej jeszcze chodzi o zwrócenie uwagi na poglądy wypowiedziane w niej o zagadnieniach najgłębszych i najogólniejszych, niż o uznanie, jakiegoby szczegółowe zastosowanie ich do kwestji kobiecej w każdym razie spodziewać się mogło.

Gdyby czytelnika filozoficznie wykształconego miało to razić, że rozstrząsanie zagadnień najwyższych i ostatecznych wydaje się tu niejako być przeznaczonem na usługi problemu specjalnego o niezbyt głębokiem dostojenstwie, przykre to uczucie rozumiem i podzielam. Ale wolno mi podnieść, że szczegółowe zagadnienie przeciwnieństwa płciowego stanowi tu pod każdym względem raczej punkt wyjścia niż cel dociekań głębiej sięgających. Omawianie jego przyniosło nam w ten sposób bogaty także plon dla kardynalnej kwestji logicznej sądu i pojęcia, tudzież stosunku ich do aksjomatów myślenia, dla teorii komizmu, miłości, piękna i wartości, tudzież problematów takich, jak samotność, etyka i wzajemny ich stosunek do siebie, dla fenomenu genialności, potrzeby nieśmiertelności i żydostwa. Jest rzeczą naturalną, że z wyjaśnień tak daleko sięgających ostatecznie i zagadnienie specjalne korzystać swą odnosi, gdyż w miarę rozszerzania się zakresu badań, występuje ono w świetle stosunków coraz bardziej różnorodnych. A jeśli w związku z tym

szerszym kręgiem zagadnień okazuje się, jak drobne nadzieje kultura przywiązywać może do natury kobiecej, jeśli z wyników ostatecznych wypływa zupełna bezwartościowość, a nawet negacja kobiecości: nie usiłują one niczego zniszczyć z tego, co jest i niczego poniżyć, co jako takie samo przez się wartość jakąś posiada. Sam bowiem musiałbym się chyba był zatrwożyć grozą własnego swego czynu, gdybym tu był naprawdę tylko niszczycielem i niczego nie pozostawił na placu! Afirmacje tej książki są może z mniejszą mocą instrumentowane: kto atoli umie słuchać, niezawodnie we wszystkim dosłyszeć je potrafi.

Cała praca rozpada się na dwie części: na pierwszą biologiczno-psychologiczną i drugą psychologiczno-filozoficzną. Niejeden będzie może zdania, że powinienem był z całości dwie raczej zrobić książki, czysto przyrodoznawczą i czysto introspektywną. Musiałem się jednak z biologii wyzwolić, aby móc być całkowicie psychologiem. Część druga rozpatruje pewne zagadnienia duchowe całkiem inaczej, niżby je dziś z pewnością każdy przyrodznawca rozpatrywał i zdaje sobie z tego sprawę, że przez to i przyjęcie pierwszej części u znacznego odłamu publiczności na niebezpieczeństwo wystawiam; jednak ta część pierwsza rości sobie w całości pretensję do uznania i oceny ze strony przyrodznawstwa, o co druga, poświęcona więcej doświadczeniu wewnętrznemu, w kilku tylko miejscach ubiegać się może. Ponieważ druga ta część wyrosła z światopoglądu niepozytywistycznego, niejeden będzie obie je za nienaukowe uważał (aczkolwiek pozytywizm tamże z całą ścisłością odparty zostaje). Na

tem muszę narazie poprzestać — w przeświadczeniu, że biologji oddałem to, co jej się należy — strzegąc praw psychologji niebiologicznej i nefizjologicznej, które jej po wsze czasy przysługiwać będą.

Co do pewnych punktów rozbiór nasz spotka się może z zarzutem, że daje za mało dowodów; ale to właśnie wydaje mi się najmniejszym jego błędem. Cóżby bowiem wobec tego przedmiotu mogło się właściwie nazywać „dowodzeniem”? Nie o matematykę i nie o teorię poznania (o tę ostatnią w dwóch tylko miejscach) chodzi w tych rozpatrywaniach; są to sprawy należące do nauk doświadczalnych i tutaj można co najwyżej wskazać palcem nato, co jest; to, co tu się zwykle nazywa dowodzeniem, jest tylko zestrajaniem nowych doświadczeń ze starymi; a pod tym względem zgoła jest obojętne, czy nowe zjawisko eksperymentalnie przez człowieka stworzone zostaje, czy też zastajemy go już jako gotowy twór przyrody. Tych ostatnich dowodów atoli praca ta znaczną zawłera liczbę.

O ile to wreszcie osądzić mogę, książka (w głównej swej części) nie jest tego rodzaju, aby ją można po jednorazowej pobieżnej lekturze zrozumieć i przyswoić sobie; dla orjentacji czytelnika i na obrońcą własną pozwalam sobie okoliczność tę sam tu stwierdzić *).

*) Ostatni, pominięty tu ustęp przedmowy, odnosi się do nader obszernych przypisków książki, w których autor zajmuje się literaturą naukową i filozoficzną, dotyczącą najrozmaitszych zagadnień w tekście poruszonych. W przypiskach tych autor powołuje się na mnóstwo dzieł, popierając kolejno twierdzenia i poglądy, które w samym dziele rozwija, szczegółowemi i do-

kładnemi cytatai. Ta bibliograficzna część książki, dowód zdumiewającej erudycji i wszechstronnego w piśmiennictwie wszystkich języków ocytania, bardzo jeszcze podówczas młodego, bo załedwie dwudziestokilkuletniego autora, obejmuje w oryginale dziesięć przeszło drobnem piśmem petitowem bitych arkuszy o treści bardzo ciekawej, pouczającej i dla fachowców zwłaszcza przy ocenie dzieła niezbędnej. Tłumacz był zmuszony ze względów wydawniczych tę część książki, jako do pewnego stopnia obciążający ją balast „ściślej naukowości“, nie bez żalu opuścić, pocieszając się tem, że przez tę amputację nabierze ona tem więcej charakteru wydawnictwa, na szerszą poczytność obliczonego.

CZĘŚĆ PIERWSZA (PRZYGOTOWAWCZA).

WIELORAKOŚĆ PŁCIOWA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CHICAGO

WSTĘP.

Wszelki proces myślenia rozpoczyna się od pojęć średnioogólnych i postępuje stąd w dwóch kierunkach: raz ku pojęciom coraz bardziej oderwanym, które obejmują coraz znaczniejszą liczbę przedmiotów, ogarniając przez to coraz szerszy zakres rzeczywistości; powtórnie ku punktowi skrzyżowania się wszystkich linii pojęciowych, ku temu konkretnemu kompleksowi jednostkowemu, ku indywiduum, któremu myśl nasza podolać może zawsze tylko przy pomocy nieskończenie wielu określeń ścieśniających i które zapomocą nieskończenie wielu różnicowanych momentów specyficznych ujmujemy w najwyższe pojęcie ogólne „rzeczy” czyli „czegoś”. Że istnieje wśród zwierząt klasa ryb, różniąca się od ssaków, ptaków i robaków, wiadome już było dawno, zanim z jednej strony wydzielono wśród samych ryb ryby chrząstkowe i kościste, z drugiej zaś strony okazała się potrzeba ujęcia ich wraz z ptakami i ssakami w pojęcie kręgowca, aby skupionemu w ten sposób większemu kompleksowi przeciwstawić robaki.

Porównywano z walką wzajemną istot o byt tę samozachowawczość umysłu wobec rzeczywistości, przyporządkując o zamęt swym bezmiarem podo-

bieństw i różnic*). Stawiamy opór światu zapomocą swych pojęć **). Zwolna tylko zamykamy go niemi w ramy, powoli, tak jak to doraźnie ubezwładniamy najpierw całe ciało szaleńca, aby ograniczyć tymczasem pole niebezpieczeństwa, a potem dopiero zabezpieczywszy się tak w punktach najgłówniejszych, dobrać się do pojedynczych po kolei członków, dla uzupełnienia skrępowania,

Są dwa pojęcia, należące do najstarszych pojęć ludzkości, któremi ona od prapoczątków swe życie umysłowe łąta. Przeprowadzano wprawdzie w nich często gęsto drobne poprawki, raz wraz oddawano je do warsztatów reparacyjnych, aby załatać naprędce i pobieżnie, co wymagało reformy w całym swym składzie; wykrawywano i sztukowano, to czyniąc w nich w poszczególnych wypadkach pewne zacieśnienia, to znów je rozszerzając, tak jak to nowsze potrzeby zwykły rozpierać stare, ciasne prawo wyborcze, że musi ono stopniowo wszystkie swe rzemienie popuszczać! naogół jednak sądzimy zawsze jeszcze, że wystarczają nam one po staremu, dwa te starożytnie pojęcia, które tu mamy na myśli, pojęcia mężczyzny i kobiety.

Mówimy wprawdzie o „kobietach” szczupłych, wąskich, płaskich, muskularnych, energicznych i ge-

*) Spencerowski schemat świata: dyferencjacja i integracja, da się tu również z łatwością zastosować.

***) Jest to prawdą jedynie w odniesieniu do pojęć, jako przedmiotów rozpatrywanych z psychologicznego, nie zaś logicznego punktu widzenia. Dwóch tych stanowisk nie należy mimo cały współczesny psychologizm (Brentano, Meinong, Höfler) mieszać ze sobą ze względu na wypływające stąd obustronne szkody.

njalnych, o „kobietach“ z włosami krótkimi i niskim głose i o mężczyznach bez zarostu lub gadatliwych. Przyznajemy nawet, że istnieją niewiasty o typie zgoła niekobiecym a męskim i mężczyźni typu niemęskiego, niewieściego. Uwzględniając jeden tylko przymiot, wedle którego przy urodzeniu ustala się przynależność płciową każdego człowieka, nie wahamy się zatem pojęciom tym przydawać określenia sprzeczne z niemi. Taki stan rzeczy logicznie nie da się utrzymać.

Któż w gronie przyjaciół czy w salonie, na zebraniach naukowych czy zgromadzeniach publicznych nie był świadkiem lub uczestnikiem najzacieśniejszych sporów o „mężczyzn i kobiety“? Któż nie słyszał rozmów i rozpraw, w których z jednostajnością beznadziejnie się powtarzającą przeciwstawiano nawzajem „mężczyzn i kobiety“, jak kule białe i czerwone, wśród których jednobarwne niczem między sobą się nie różnią! Nigdy nie podejmowano się indywidualnego traktowania przedmiotu spornego; gdy zaś każdy rozporządza materiałem swego indywidualnego tylko doświadczenia, o pogodzeniu oczywiście nie mogło być mowy; jak zresztą wszędzie tam, gdzie różne rzeczy tą samą nazwą się określa, język i pojęcia wzajem się nie pokrywają. Czyżby istotnie wszystkie „niewiasty“ i wszyscy „mężczyźni“ tak skrajnie się między sobą różnili, z jednej strony zaś kobiety, a z drugiej mężczyźni pod względem całego szeregu momentów byli nawskroś jednakowi, jak to się po większej części naturalnie bezwiednie przyjmuje w załatwieniu wszystkich wywodów o różnicach płciowych? Nigdzie zresztą w przyrodzie nie spotykamy tak nagłych przeskoków;

znajdujemy stopniowe przejścia od metalli do niemetalli, od związków chemicznych do mieszanin; Istnieją szczeble pośrednie między zwierzętami a roślinami, między jawnokwiatowymi, a skrytokwiatowymi, między ssakami a ptakami. Z najogólniejszych względów praktycznej potrzeby orientacji zaprowadzamy przede wszystkim podziały, utrwalamy przemocą granice, wyczuwając poszczególne arje z nieskończonej melodji wszechprzyrody. Ale na starodawnych, pojęciowych zabytkach myślenia sprawdza się zarówno jak na tradycyjnych normach zbiorowego życia prawidło, że „co rozumne zmienia się w nierozum, a co zbawienne staje się udręką”. Wedle przytoczonych analogji wolno nam będzie i tu uważać zgóry za nieprawdopodobne, aby w przyrodzie zachodził taki ostry przedział między wszystkimi tworam i męskimi z jednej, a żeńskimi z drugiej strony, iżby każda żywa istota dała się pod tym względem oznaczyć przez umieszczenie jej z tej lub tamtej strony tak wytworzonej między niemi przepaści. Nawet gramatyka nie zachowuje tak bezwzględnej ścisłości.

Powoływano niejednokrotnie na rozjemcę w sporze o kwestję kobiecą anatoma, aby przeprowadził ostatecznie sporne rozgraniczenie niezmiennych bo wrodzonych od nabytych własności umysłowości męskiej i kobiecej. (Copravda rzecz to dość osobliwa od jego właśnie orzeczenia czynić zależnem rozstrzygnięcie w sprawie przyrodzonych własności męczyzny i kobiety: jak gdyby dwanaście deka mózgu więcej po którejś stronie mogły wogóle przeciwważyć wynikowi wszelkich innych źródeł doświadczenia, jeśliby te naprawdę nie stwierdziły żadnej różnicy. Ale roztropni anatomowie,

zapytani o sprawdziany bezwzględne, czy szło o mózg. czy też o inny jaki narząd ciała, mieli zawsze tę jedną odpowiedź, że nie można stwierdzić bezwzględnych różnic płciowych, któreby zachodziły powszechnie między wszystkimi osobnikami męskimi z jednej strony i wszystkimi żeńskimi z drugiej. Jakkolwiek bowiem kościec choćby ręki u większości mężczyzn jest inny jak u większości kobiet, płeć nie da się z całą pewnością oznaczyć po wyosobnionych częściach składowych czy to szkieletu, czy też zachowanych wraz z mięśniami, ścięgnami, więzadłami, skórą, krwią i nerwami. Tak samo rzecz się ma z klatką piersiową, kością krzyżową, czaszką. A jakże się sprawa ma z tą częścią szkieletu, w której powinnyby przedewszystkiem jeśli już nie w żadnej innej zachodzić wybitne różnice płciowe, jak się sprawa ma z miednicą? Miednica jest wszakże w myśl powszechnego przekonania po jednej stronie przystosowana do aktu rodzenia, po drugiej zaś cech tych nie ma. Otóż nawet co do miednicy jakiś pewny probierz nie istnieje. Jak to każdy wie z ulicy — anatomowie zaś i tu nic ponad to nie wiedzą — istnieje dosyć „kobiet“ z miednicą wąską, męską i dosyć mężczyzn z kobieco-szeroką. A więc różnice płciowe nikną doszczętnie? I należałoby właściwie zaniechać wogóle odróżniania kobiet od mężczyzn?

Jak wyjść z tego zagadnienia? stare pojęcia są niedostateczne, a trudno się przecież bez nich obejść! Jeśli więc przekazane poglądy nam nie wystarczają, odrzucimy je tylko nato, aby zdobyć nowe i lepsze orientacje.

ROZDZIAŁ I.

„Mężczyźni“ i „kobiety“.

Najogólniejsza klasyfikacja większości istot żyjących, dzieląca je poprostu na samców albo samice, na istoty męskie lub żeńskie, wobec faktów niedomaga. Mniej lub więcej wielu zdaje sobie sprawę z niedostateczności tych pojęć i pierwszym zadaniem niniejszej pracy jest pod tym właśnie względem sprawę rozjaśnić.

Zgodnie z innymi autorami, którzy ostatnimi czasy zajmowali się zjawiskami, leżącymi w zakresie tego tematu, obieram sobie za punkt wyjścia swych roztrząsań stwierdzony przez historję rozwoju (embriologję) brak płciowego zróżniczkowania pierwszych zawiązków płodowych u człowieka, roślin i zwierząt.

W zarodku ludzkim naprzykład, liczącym poniżej pięciu tygodni, nie można rozpoznać płci, jaka się w nim później rozwinie. Dopiero w piątym tygodniu zapłodnienia zaczynają się te procesy, które z końcem trzeciego miesiąca brzemienności prowadzą do jednostronnego, zdecydowanego rozwinięcia się dla obu płci zrazu jednakich zawiązków narządu płciowego, w dalszym zaś ciągu do ukształtowania się całego osobnika jako istoty pod względem płciowym

ściśle określonej*). Kolejnych stadiów tego procesu nie będziemy tu szczegółowo przedstawiali.

Można niewątpliwie dopatrywać się związku między tą dwupłciowością zarodku u wszystkich organizmów, nie wyłączając i najwyżej rozwiniętych, a tym powszechnym, niedopuszczającym naogół wyjątków objawem, że nawet u wybitnie jednopłciowo ukształconych osobników charakterystyczne znamiona płci drugiej przechowują się, nie znikając nigdy całkowicie.

Wszystkie właściwości płci męskiej dadzą się także odszukać w płci żeńskiej, choćby tylko w śladach bardzo słabo rozwiniętych; i naodwrot wszelkie kobiece znamiona płciowe istnieją gdzieś u mężczyzny, przynajmniej w stanie jaknajbardziej niedokształconym. Mówi się wtedy o nich, że istnieją jako „szczątkowe”. I tak, aby odrazu przytoczyć jako przykład człowieka, który nas tu w dalszym ciągu prawie wyłącznie interesować będzie, i niewiasta najbardziej kobieca ma w miejscach męskiego zarostu lekki puszek z wełnistych i bez barwiku włosów, zwany „lanugo”, a i mężczyzna najbardziej męski posiada pod brodawką piersiową niedokształcone grupy gruczołów. W szczególności zaś badano te sprawy przede wszystkim w okolicy narządów płciowych i ich dróg przewodowych, we właściwym „Tractus uroge-

*) Oczywiście — nasza potrzeba ciągłości zmusza nas do zapatrywania, że różnice płciowe, jakkolwiek anatomicznie i morfologicznie niewidoczne i nawet przy najsilniejszym powiększeniu mikroskopowym dla oka niedostępne, muszą już istnieć w jakiejś formie, w jakimś „uformowaniu”, i przed momentem pierwszego zróżnicowania. W jakiej jednak formie, w tem tkwi właśnie ważne sedno całej historii rozwoju.

nitalis", co dało możność stwierdzenia u każdej płci wszystkich zawiązków płci drugiej, istniejących tam w stanie szczątkowym, atoli pod każdym względem równoległym.

Te fakty, stwierdzone przez embriologów, dadzą się w zestawieniu z innemi systematycznie powiązać. Nazywając wedle Häckla rozdział płci „gonochoryzmem“ będziemy mogli przedewszystkiem u rozmaitych klas i gatunków rozróżnić rozmaite stopnie tego gonochoryzmu. Nietylko różnorodne gatunki roślin, ale i odmiany zwierząt będą się między sobą różnić pod względem więcej lub mniej uciążonego stanu przechowywania znamion płci drugiej. Najskrajniejszy objaw zróżniczkowania płciowego, najwybitniejszy zatem wypadek gonochoryzmu na tak rozszerzonym polu widzenia stanowi dwupostaciowość płciowa, owa właściwość np. niektórych odmian skorupiaków równonogich, polegająca na tem, że samiec i samica tejże samej odmiany różnią się zewnątrznie nie mniej, a nawet często więcej bardziej między sobą, niż okazy, należące do dwóch zgółą odrębnych odmian i rodzajów. U kręgowców nie zachodzi nigdy tak wybitny objaw gonochoryzmu, jak ma miejsce np. u skorupiaków lub owadów. Niema wśród nich nigdzie tak zupełnego przedziału między samcem i samicą, jak się widzi w wypadkach dwupostaciowości płciowej, przeciwnie zaś spotykamy u nich wszędzie niezliczone mnóstwo mieszanych form płciowych, a nawet t. zw. „nieprawidłową obupłciowość, u ryb zaś istnieją nawet całe gromady wyłącznie dwupłciowe, wyposażone „prawidłową obupłciowością“.

Należy tedy zgóry odrzucić mniemanie, jakoby

Istniały tylko skrajne okazy męskie z ledwo widocznymi resztkami żeńskości z jednej strony, z drugiej, skrajnie okazy żeńskie z całkiem zatartymi śladami męskości, a między nimi w pośrodku owe formy obupłciowe, zaś odstępy między temi trzema punktami były puste i niczem niewypełnione. Nas tu obchodzi specjalnie człowiek. Ale prawie wszystko, co tu się o nim ma powiedzieć, da się z większymi lub mniejszymi zastrzeżeniami zastosować do przeważnej części ustrojów płciowo się rozmnażających.

O człowieku zaś wiemy, ponad wszelką wątpliwość, co następuje.

Istnieje niezliczona ilość stopniowych odcieni między mężczyzną a kobietą „pośrednich form płciowych”. Jak w fizyce mówi się o gazach idealnych tj. takich, które podlegają ściśle prawu Boyle-Gay-Lussaca (w rzeczywistości żaden gaz do prawa tego się nie stosuje) i obiera się prawo to za punkt wyjścia, aby w wypadku konkretnym stwierdzić odchylenia zjawiska od jego normy; tak samo możemy sobie jako typy płciowe przedstawić idealnego mężczyznę M i idealną kobietę K, których w rzeczywistości nie znajdziemy. Typy te nietylko możemy, ale musimy skonstruować. Nietylko „przedmiotem sztuki”, lecz także przedmiotem nauki jest typ, idea platońska. Fizyka naukowa bada zachowanie się ciała doskonale stężałego i doskonale elastycznego, z całą świadomością, że w rzeczywistości nie znajdzie ona nigdy stanów ciał tego rodzaju celem sprawdzenia swych teoryj; stany pośrednie między temi dwoma biegunami dane w doświadczeniu służą jej za punkt wyjścia do obliczenia typowych objawów zachowania

się i w drodze powrotnej od tej teorii ku praktyce nauka uwzględnia je jako zjawiska mieszane, wyczerpująco je opisując.

Podobnie istnieją tylko wszelkie możliwe stopnie pośrednie między doskonałym typem mężczyzny i doskonałym typem kobiety, stopnie mniej lub więcej zbliżone do obu stanów typowych, których w doświadczeniu nigdy się nie znajduje.

Należy dobrze pamiętać, że tu już nie mówimy tylko o związkach dwupłciowych ale o trwałej dwoistości płciowej. I to nietylko o pośredkowych stopniach płciowych, o (cielesnych lub duchowych) obojnościach, do których dotychczas wyłącznie z przyczyn łatwo zrozumiałych wszystkie podobne roztrząsania się zacieśniały. Myśl zatem w tej formie jest z gruntu nowa. Dotąd za „pośrednie zjawiska płciowe“ uważa się tylko stopnie płciowe pośredkowe: jak gdyby tu właśnie był jakiś, matematycznie się wyrażając, punkt zgęszczenia, a więc coś więcej niż jeden z drobnych momentów w linii łączącej dwie skrajne ostateczności wszędzie zarówno gęsto obsadzonej.

Mężczyzna i kobieta są zatem jakby dwie substancje, rozłożone między żywych osobników i w rozmaitym stosunku u nich zmieszane, przyczem współczynnik każdego z tych składników nigdy nie spada do zera. Można by powiedzieć, że doświadczenie nie daje nigdzie mężczyzny ani kobiety, a są w niem tylko męskie i żeńskie pierwiastki. Osobnika *A* lub *B* nie wolno zatem już będzie określać wprost jako „mężczyznę“ lub „kobietę“, tylko każdego z nich należy opisać zapomocą

ułamków obu pierwiastków, które w skład jego wchodzi; a więc:

$$A \begin{cases} \alpha M \\ \alpha' K \end{cases} \quad B \begin{cases} \beta M \\ \beta' K \end{cases}$$

przyczem zawsze

$$\begin{array}{ll} 0 < \alpha < 1, & 0 < \beta < 1, \\ 0 < \alpha' < 1, & 0 < \beta' < 1. \end{array}$$

Twierdzenie powyższe da się stwierdzić mnożstwem ściślejszych dowodów — w ogólniejszych zarysach napomknęliśmy już nieco o tem przygotowawczo we wstępie. Tu przypomnimy „mężczyzn“ o miednicy kobiecej i piersiach niewieścich, pozbawionych zarostu lub z zarostem bardzo skąpym, z wybitną kibicią i przydługimi włosami, przytoczymy „kobiety“ o wąskich biodrach*) i płaskich piersiach, chudych pośladkach i poduszkach udowych, niskim, szorstkim głosie i wąsach (których zawiązki i to spore, występują o wiele częściej, niż się to powszechnie zauważa, gdyż oczywiście nigdy się ich nie zostawia; o brodzie, która tak licznym kobietom po okresie przekwitania wyrasta, nie mówimy) itd., itd. Wszystkie te rysy, które w sposób tak znamienny prawie zawsze razem u jednego i tego samego człowieka się znajdują, są każdemu pracownikowi kliniki i ana-

*) Nie absolutna szerokość miednicy t. j. w centymetrach podana odległość kości przedudowych lub biodrowych, lecz względna szerokość bioder w stosunku do szerokości ramion jest mniej więcej pewnym i dosyć powszechnie zastosować się dającym cielesnym sprawdzianem zawartości pierwiastów K.

tomowi praktykującemu z własnego przeświadczenia znane, tylko ich jeszcze nigdzie dotąd nie ugrupowano razem.

Najobszerniejszych dowodów atoli na pogląd tu głoszony dostarcza tak szeroka skala wahań się, jaką wykazują bez wyjątku cyfry różnic płciowych tak w ramach poszczególnych prac, jak też przy zestawieniu rozmaitych przedsięwzięć antropologicznych czy anatomicznych, podejmowanych w celach ich pomiaru; dostarcza tych dowodów fakt, że cyfry dla płci żeńskiej nie zaczynają się nigdy tam, gdzie się cyfry dla mężczyzn kończą, a zawsze pośrodku jest teren, na którym reprezentowani są mężczyźni i kobiety. Jakkolwiek ta chwiejność przemawia na korzyść teorii o pośrednich formach płciowych, należy szczerze z powodu niej ubolewać w interesie prawdziwej wiedzy. Fachowi anatomiczowi i antropologowie bowiem nie starali się dotąd jeszcze wcale o naukowe przedstawienie typu płciowego, polując tylko na znamiona o stałym, powszechnie stwierdzalnym wymiarze, który im się zawsze wskutek przewagi wyjątków z pod rąk wymyka. To wyjaśnia niestałość i szerokość skali wszystkich dotyczących wyników mierniczych.

Postęp wiedzy wstrzymywał i tu zbyt ni pociąg do statystyki, którym się nasza epoka przemysłowa wśród wszystkich dotychczasowych wyróżnia, uważając go widocznie z tytułu skromnego powinowactwa statystyki z matematyką — za rękojmię naukowości. Starano się o przeciętność, a nie typowość. Nie pojmowano zgoła, że w systemie czystej (nie stosowanej) wiedzy właśnie o typ tylko chodzi. Dlatego też każdy, komu zależy na ustaleniu typu, staje

dezradny wobec informacji dzisiejszej morfologii i fizjologii. Należałoby tu dopiero przeprowadzić wszystkie pomiary, jako też i wszystkie inne szczegółowe badania. To, co jest, nie nadaje się zgola dla nauki, choćby w znaczeniu szerszem (a cóż dopiero w rozumieniu kantowskiem!).

Wszystko zależy od poznania pierwiasków *M* i *K*, od trafnego ustalenia idealnego typu kobiety i mężczyzny (w pojęciu idealności mieści się tu tylko znaczenie typowości, z wykluczeniem jakiegokolwiek przypisywania wartości).

Skoro się nam uda typy te rozpoznać i skonstruować, dalsze zastosowanie do zjawisk indywidualnych i przedstawianie tychże zapomocą ilościowego stosunku składowych pierwiastków będzie zarówno łatwe, jak płodne w wyniki.

Streszczam osnowę tego rozdziału: niema żadnej istoty żyjącej, którąby można traktować krótko i zwięźle jako osobnika jednej, określonej płci. Przeciwnie, rzeczywistość przedstawia ciągle wahanie się między dwoma punktami; w samych tych punktach nie znajduje się żaden konkretny, empiryczny osobnik, a tylko gdzieś na przestrzeni między nimi zajmuje miejsce sobie właściwe każde indywiduum. Zadaniem nauki jest ustalić położenie każdej jednostki na linii łączącej oba te węgły budowy. Węglom tym nie należy przypisywać jakiegoś metafizycznego bytu obok lub ponad światem empirycznym, a kontstrukcję ich należy uważać za konieczną z heurystycznych względów możliwie zupełnego zobrazowania rzeczywistości.

Przecucie tej dwupłciowości wszystkich stworzeń (wynikającej ze stale połowicznego tylko źród-

niczkowania płci) jest odwieczne. Nie było ono zdaje się obce mitom chińskim, w każdym razie istniało w Grecji nader żywe. O tem świadczy uosobienie Hermaphrodytosa, jako postaci mitycznej; opowiadanie Arystofanesa w platońskiej Uczcie, a nawet jeszcze w późniejszych czasach sekta gnostyczna Ophitów widziała w pracłowieku istotę męską i kobietą zarazem, ἀρσενόθηλον

ROZDZIAŁ II.

Arrhenoplazma i thelyplazma.

Od pracy, któraby chciała przeprowadzić ogólną rewizję wszystkich dotyczących faktów, należałoby przede wszystkim żądać nowego i zupełnego przedstawienia anatomicznych i fizycznych właściwości typów płciowych. Ponieważ jednak nie podejmowałem samoistnych badań dla rozwiązania tego obszernego zadania, a za niezbędną rzecz dla ostatecznych celów niniejszej książki nie uważam odpowiedzi na te właśnie zagadnienia, muszę z góry rzec się takiego przedsięwzięcia — pomijając zgola już kwestję, że przekraczałoby ono siły jednostki. Kompilacja wyników, w literaturze zarejestrowanych, byłaby zbyt cenna wobec doskonałej w tym rodzaju pracy Havelock Ellisa. Wyszukiwanie typów płciowych na podstawie wyników, przez niego zebranych drogą prawdopodobnych wywnioskowań, mogłoby dostarczyć tylko mniej lub więcej problematycznych hipotez i nie potrafiłoby oszczędzić nauce choćby jednego mozolu nowych badań. Dlatego roztrząsania tego rozdziału są raczej natury formalnej i ogólnej, a omawiając zasadniczo stronę biologiczną zagadnienia, pragnę także po części wytyczyć dla owej nieuniknionej pracy przyszłości pewne szczególne punkty,

zasługujące na uwzględnienie, aby w ten sposób przyczynić się do jej przyspieszenia. Laik w biologii może rozdział ten pominąć bez znacznego uszczerbku dla zrozumienia reszty rozdziałów.

Omawialiśmy dotąd teorię o rozmaitych stopniach męskości i żeńskości narazie pod względem czysto anatomicznym. Ale anatomja bada nie tylko formy, w jakich się męskość i kobiecość przejawia, ale i miejsca, w których one występują. Już z przytoczonych poprzednio przykładów różnorodności płciowej, przejawiającej się w rozmaitych członkach ciała wynika, że płeć nie jest ograniczoną tylko do narządów rozrodczych i gruczołów zarodkowych. Gdzież tu jednak można granicę wyznaczyć? Czy płeć ogranicza się tylko do „pierwszorzędnych“ i „drugorzędnych“ znamion płciowych? Czy też zakres jej sięga znacznie dalej? Innymi słowy, gdzie płeć tkwi, gdzie zaś jej śladów niema?

Otóż zdaje się, że znaczna liczba faktów odkrytych w ostatnich dziesięcioleciach zmusza do przyjęcia na nowo teorii, postawionej w czterdziestych latach wieku XIX, która jednak niewielu znalazła zwolenników, gdyż jej konsekwencje wydawały się tak samemu twórcy teorii, jak i przeciwnikom jej, sprzecznymi z całym szeregiem przeprowadzonych badań, które u przeciwników uchodziły za niezachwiane, choć w jego oczach takimi nie były. Mam tu na myśli przez doświadczenie znów nam dziś nieodpartie z pewną modyfikacją narzucany pogląd kopenhaskiego zoologa, Jana Japeta Sm. Steenstrupa, który twierdził, że płeć tkwi wszędzie, w całym ciele.

Ellis zebrał liczne badania nad wszystkimi prawie tkankami organizmu, które wykryły wszędzie różnice płciowe. Przytoczę choćby to, że typowo męska i typowo żeńska barwa skóry wybitnie się między sobą różni, co uprawnia do przypuszczenia różnic płciowych w komórkach tak skórnych, jak i naczyń krwionośnych. Ale różnice takie istnieją także napewno w zawartościach barwników krwi, w liczbie czerwonych jej ciałek, zawartych w centymetrze sześciennym płynu. Bischoff i Rüdinger stwierdzili różnice płciowe w mózgu, a Justus i Alice Gaul mieli je podobno odkryć także w narządach wegetatywnych (wątrobie, płucach i śledzionie). W istocie też wszystko u kobiety oddziaływa na mężczyznę pobudliwie pod względem płciowym („erogenicznie”), jakkolwiek pewne punkty z większą, inne z mniejszą siłą i naodwrot: — wszystko u mężczyzny kobietę pociąga i podnieca.

Możemy się tedy posunąć stąd do poglądu z formalnologicznego stanowiska hipotetycznego, który jednak sumą faktów napewno prawie stwierdzonym został, że każda komórka organizmu jest (jak to narazie określić możemy) pod względem płciowym nacechowana, czyli posiada pewne szczególne zabarwienie płciowe. A w myśl przyjętej przez nas zasady powszechności pośrednich form płciowych dodajmy odrazu, że to charakterystyczne nacechowanie płciowe może być stopnia rozmaitego. Przyjmując w ten sposób z góry różnorodność nacechowania płciowego pod względem stopnia i siły, z jaką się uwydatnia, potrafimy również z łatwością wcielić w swój systemat pseudo-

hermafrodytyzm, a nawet i obupłciowość właściwą (której przejawy u wielu zwierząt, jakkolwiek u człowieka nie z całą pewnością, od czasu Steenstrupa stwierdzone zostały ponad wszelką wątpliwość).

Steenstrup utrzymywał: „Gdyby płeć zwierzęcia miała siedzibę swą istotnie tylko w narządach płciowych, możnaby sobie jeszcze przedstawić skupienie obu płci w jednym zwierzęciu i dwa odrębne narządy płciowe, istniejące obok siebie. Ale płeć nie jest czemś, co posiada siedzibę swą w pewnym jakimś miejscu lub co się objawia w jednym jakimś tylko narządzie; przejawia się ona w całej istocie i w każdym jej punkcie wyraz swój znajduje. W osobniku męskim każda najmniejsza nawet jego cząstka jest męską, choćby nie wiem jak była podobna do odpowiadającej jej cząstki osobnika żeńskiego, w którym tak samo znów cząstka najdrobniejsza nawet jest tylko żeńską. Skupienie obu narządów płciowych w jednej istocie uczyniłoby z niej wtedy dopiero istotę dwupłciową, gdyby właściwości przyrodzone obu płci zapanowały w całym ciele, uwydatniając się w każdym poszczególnym jego punkcie, co wobec przeciwieństwa, istniejącego między obu płciami, mogłoby się objawić tylko jako wzajemne ich unicestwienie się, jako zanik całkowity płciowości w takim osobniku“. Jeżeli jednak zasadę nieskończenie licznych stopni pośrednich między M i K rozszerzymy na wszystkie komórki ustroju, a wszystkie fakty doświadczenia za tem przemawiają, odpada trudność, która się nastęrczała Steenstrupowi i obupłciowość przestaje być już sprzeczną z przyrodą. Zaczynając od pełnej męskości poprzez wszystkie stany pośrednie aż do całkowitego jej braku, schodzącego

się ze stanem absolutnej kobiecości, możliwa jest zatem nieskończona różnorodność nacechowania płciowego każdej pojedynczej komórki. Czy to ustopniowanie skali zróżniczkowań przedstawić sobie należy jako dwie rzeczywiście istniejące, odrębne substancje które za każdym razem łączą się ze sobą winnem ustosunkowaniu, czy też trzeba przyjąć jakąś jednolitą protoplazmę w nieskończenie licznych modyfikacjach (np. o rozmaitym przestrzennym układzie atomów, stanowiących skład większych drobin), trudno o tem coś pewnego powiedzieć. Hipoteza pierwsza nie da się bez zarzutu zastosować pod względem fizjologicznym — np. wobec zjawiska męskich lub kobiecych poruszeń się ciała, gdyż musiałoby się w takim razie przyjąć dwoistość w stosunkach, nadających im ich realną, fizjologicznie przecież zawsze jednolitą formę przejawiania się; druga przypomina zbyt niezbyt szczęśliwe spekulacje o własnościach dziedzicznych. Być może, że one obie jednako są dalekie od prawdy.

Na czem właściwie polega męskość albo żeńskość komórek, jakie histologiczne, drobinowo-fizyczne lub też chemiczne różnice zachodzą między komórkami mężczyzny M, a komórkami kobiety K, o tem nie da się dziś nic prawdopodobnego stwierdzić drogą doświadczalną. Nie uprzedzając zatem późniejszych w tym kierunku dociekań (które zapewne dostatecznie sprawdzą niedopuszczalność wywodzenia właściwych biologicznych zjawisk z fizyki i chemii), mamy wszelkie podstawy do przypuszczenia w komórkach pojedynczych takiej samej różnorodności ustopniowania płciowego, jaka istnieje w całym ustroju, jako zespole komórek.

Mężczyźni o typie niewieścim mają też po większej części skórę naogół kobiecą, komórki narządów męskich podlegają u nich w stopniu słabszym dążnościom do dzielenia się, o czym bezwarunkowo świadczy słabszy wzrost makroskopijnych znamion płciowych it.d.

Wedle rozmaitych stopni makroskopijnego występowania charakterystycznych znamion płciowych należy też przeprowadzić podział cech płciowych; klasyfikacja ta odpowiada naogół rozmaitym stopniom ich eogenicznego wpływu na płęć drugą (przynajmniej w królestwie zwierząt). Aby nie odbiegać od powszechnie przyjętej nomenklatury John Huntera, nazywam celem uniknięcia wszelkich niejasności, pierwiastkowemi (primordjalnemi) cechami płciowemi męskie i żeńskie gruczoły zarodkowe (jądro, najądrze, jajnik, nadjajnik); pierwszorzędnemi wewnętrznymi przydatki gruczołów zarodkowych (powrózki nasienne, pęcherzyk nasienny, cewę i macicę, które pod względem nacechowania płciowego, jak doświadczenie uczy, znacznie się niekiedy różnią od swych gruczołów zarodkowych) i „zewewnętrzne narządy płciowe“, wedle których oznacza się wyłącznie przynależność płciową człowieka przy narodzinach i pewnej mierze wywiera przez to decydujący (nierzadko, jak to się okaże, niewłaściwy) wpływ na dalsze jego losy. Wszystkie cechy płciowe, nie należące do pierwszorzędnych, mają tę wspólność, że nie służą już bezpośrednio do celów rozmnażania. Jako drugorzędne cechy płciowe należy przedewszystkiem te jak najściślej wydzielić, które dopiero w porze dojrzałości płciowej nazewnątrz widzialnie występują i w myśl poglądu, prawie

za pewnik uchodzącego, nie mogą się rozwinąć bez wewnętrznego przedostawiania się pewnych składowych pierwiastków gruczołów zarodkowych w skład krwi (rozwój zarostu u mężczyzn i długich włosów u kobiet, rozkwit piersi, mutacja głosu itd.).

Względy praktyczne raczej, niż teoretyczne, każą dalej uważać za trzeciorzędne cechy płciowe te właściwości wrodzone, którym dopiero pewne objawy zachowania się lub czynności wyraz dają, jak siła mięśni, upór u mężczyzn. Względnie przypadkowe obyczaje, nawyk, zajęcia, wytworzyły wreszcie następne czyli czwartorzędne cechy płciowe, jak palenie i picie mężczyzny lub roboty ręczne kobiety; i te niekiedy zwykły wywierać swój wpływ erogeniczny, co samo już świadczy, że o wiele częściej, niż się może sądzi, wynikają one z cech trzeciorzędnych i że pozostają, być może, w głębokim związku z cechami pierwiastkowymi. Ta klasyfikacja cech płciowych nie ma wcale przesądzać kwestji istotnego ich następstwa, ani też zgoła rozstrzygać, czy właściwości duchowe są w stosunku do cech fizycznych pierwotnymi, czy też przeciwnie zależą i pochodzą od nich, jako wynik długiego łańcucha przyczynowego. Zadaniem jej jest tylko stwierdzić dla większości wypadków siłę przyciągającego wpływu znamion płciowych na płć drugą,*) następstwo czasowe, w jakim one podpadają uwadze jej i stopień pewności, z jaką płć druga każde z nich kolejno odsłania.

*) Różnego rodzaju fetysyzmy należy pominąć; tak samo, jak co do działania erogenicznego nie wchodzi w rachubę znamiona primordjalne.

„Drugorzędne cechy płciowe“ naprowadziły wzmiankę o wewnętrznym procesie wnikania zarodki w obieg krwi. Skutki tego procesu, jak i wpływ, który wywołuje brak jego w razie kastracji, zbadano przede wszystkim na objawach rozwoju albo zastoju drugorzędnych cech płciowych. Wewnętrzny proces wydzielniczy wywiera atoli wpływ niewątpliwie na wszystkie komórki ciała. O tem świadczą zmiany, zachodzące w porze pokwitania w całym ustroju, a nie tylko w miejscach, odznaczających się drugorzędnymi cechami płciowymi. Z góry już zresztą trudno sobie przedstawić, aby wewnętrzny proces wydzielniczy wszelkich wogóle gruczołów mógł odbywać się inaczej, jak przez równomierne rozkładanie się na wszystkie tkanki.

Wewnętrzne zatem wydzieliny gruczołów zarodkowych uzupełniają dopiero całkowicie charakter płciowy osobnika. Należy zatem przyjąć, że każda komórka posiada swe własne pierwiastkowe nacechowanie płciowe, że jednak dla wytworzenia pewnej, ukwalifikowanej pod względem płciowym i gotowej istoty męskiej lub żeńskiej musi się jeszcze przyłączyć jako dodatkowy, uzupełniający warunek wewnętrzny proces wydzielniczy gruczołów zarodkowych w potrzebnych do tego rozmiarach.

Gruczoł zarodkowy jest narządem, w którym charakter płciowy osobnika najwidzialniej występuje i w którego morfologicznych pierwiastkach składowych najłatwiej go stwierdzić. Musimy jednak przyjąć, że podobnie są w gruczołach płciowych zawarte w sposób najpełniejszy także i właściwości gatunkowe, rodzajowe i rodzinne ustroju. O ile bowiem słusznie utrzymywał Steenstrup, że płeć rozciąga

się na całe ciało i nie tylko się mieści w pewnych właściwych narządach płciowych, o tyle znów Naegeli, de Vries, Oskar Hertvig i inni rozwinęli i ważnymi argumentami nader silnie poparli niezmiernie wiele światła rzucającą teorię, że każda komórka ustroju wielokomórkowego zawiera w sobie całokształt właściwości gatunkowych, które w komórkach zarodkowych występują tylko w pewnym szczególnie wyróżniającem się skupieniu—co może kiedyś wszyscy badacze uznają za rzecz rozumiejącą się samą przez się wobec faktu, że wszystkie organizmy powstają z jednej tylko komórki drogą zwięzania się i podziału.

Cały szereg zjawisk, który później pomnożyły liczne doświadczenia nad regeneracją z dowolnych części i fakty wykrycia chemicznych różnic między jednoimiennymi tkankami rozmaitych gatunków, spowodował wymienionych powyżej badaczy do przyjęcia t. zw. *idioplazmy*, istniejącej jako całokształt właściwości specyficznych gatunku także w tych wszystkich komórkach metazoonowych, które bezpośredniego udziału w rozmnażaniu się nie biorą. Na wzór tego możemy i musimy utworzyć i tu pojęcia *arrhenoplazmy* i *thelioplazmy* jako dwóch odmian, pod których postacią idioplazma wystąpić może w ustrojach płciowo zróżnicowanych, w myśl jednak zasadniczych poglądów tu już przedstawionych uważać je znów będziemy tylko za stany idealne, za granice, wśród których leży rzeczywistość doświadczalna. Protoplazma, w rzeczywistości istniejąca, przechodzi zatem, coraz bardziej się oddalając od stanu idealnej *arrhenoplazmy*, poprzez (rzeczywisty lub wyobrażony) punkt indyfferencji (*=her-*

maphroditismus verus) w protoplazmę, bliższą już stanowi thelyplazmy, zbliżając się doń o odległość aż dyfencjału. Takie jest tylko konsekwentne następstwo wszystkich mych poprzednich wywodów i proszę mi wybaczyć językowe te nowotwory; nie są one bowiem na to wynalezione, aby nowość kwestji podkreślać.

Twierdzenie, że każdy pojedynczy narząd i każda pojedyncza komórka posiadają pewien stopień płciowości, odpowiadający jednemu z punktów, leżących na linii między arrhenoplazmą i theliplazmą, że więc każda elementarna cząstka jest już w zarodku swym w pewien sposób i w pewnym stopniu płciowo nacechowana, twierdzenie to da się z łatwością udowodnić tym także faktem, że nawet w jednym i tym samym ustroju rozmaite komórki nie zawsze posiadają jednakowe cechy płciowe, a bardzo często cechy te nie są w jednakowym stopniu silne. I tak wszystkie komórki pewnego ciała zgoła nie zawierają tej samej miary pierwiastków M lub K, i zgoła nie są jednakowo zbliżone do stanu arrhenoplazmy lub thelyplazmy, a nawet komórki jednego i tego samego ciała mogą stać między temi dwoma biegunami po przeciwnych stronach punktu indyferentnego.

Jeżeli zamiast wymieniać wciąż męskość i żeńskość ustanowimy dla obu tych stanów rozmaite znaki i narazie bez jakichkolwiek złośliwych, głębszych myśli ubocznych pierwiastek męski oznaczymy znakiem dodatnim, żeński zaś ujemnym, to twierdzenie powyższe, w innej formie wypowiedziane, brzmieć będzie: w jednym i tym samym ustroju nacechowania płciowe rozmaitych komórek nietylko

mogą mieć rozmałą wielkość absolutną, ale i znaki ich mogą być różne. Zdarzają się naogół dość dobrze nacechowane osobniki męskie, a tylko z całkiem słabym zarostem i całkiem słabą muskulaturą; albo znów prawie typowe żeńskie ze słabo rozwiniętymi piersiami. Z drugiej zaś strony bywają mężczyźni o typie wybitnie niewieścim, ale z silnym zarostem i kobiety, które obok nieprawidłowo krótkich włosów i wyraźnie widocznego zarostu, posiadają dobrze rozwinięte piersi i szeroką miednicę.

Znam dalej ludzi o przedudziu kobiecem, a udzie męskim, o prawem biodrze kobiecem, a lewem męskim. W ogólności miejscowa różnorodność nacechowania płciowego zachodzi najczęściej w obu i tak zresztą tylko w idealnym wypadku symetrycznych połowach ciała: po lewej i prawej stronie od osi pionowej; w nich to znaleźć można niezliczoną ilość zjawisk asymetrii pod względem stopnia wybitności cech płciowych, np- zarostu. Ten brak jednolitości (a jednolitość absolutna w nacechowaniu płciowym nigdy nie ma miejsca), nie da się bynajmniej, jak to już powiedzieliśmy, wytłumaczyć nierównomiernością wewnętrznego procesu wydzielniczego, krew bowiem nie musi wprawdzie do wszystkich narządów wchodzić w jednakowej mierze, ale dochodzi do wszystkich w składzie jednakowym i w wypadkach niepatologicznych zawsze w jakości i ilości odpowiedniej do koniecznych warunków utrzymania.

Gdyby więc nie miało się uznać, że przyczyną tej różnorodności jest nacechowanie płciowe pojedynczych komórek, odmienne w każdej już pierwiastkowo w samym zaczątku zarodkowego jej rozwoju, to możnaby zgoła oznaczyć stopień płciowości jakiejś

jednostki poprostu przez wskazanie, o ile naprzykład jej gruczoły zarodkowe zbliżone są do typowego stanu płci. Płeć jednak nie jest jakby w jakiejś fikcyjnie jednakiej mierze rozlaną po całym osobniku tak, że przez oznaczenie płciowe jednej komórki można się zarazem uporać z wszystkimi innymi. Lubo znaczne różnice pod względem nacechowania płciowego między rozmaitemi komórkami czy narządami jednego i tego samego organizmu należą zapewne do rzadkości; za regułą ogólną musimy uważać odrębną właściwość jego dla każdej pojedynczej komórki; przytem jednak trzeba będzie w każdym razie pamiętać, że o wiele częściej zdarzają się wypadki zbliżone do stanu doskonałej jednolitości nacechowania płciowego (objawiającej się w całym ustroju), niż znaczniejsza rozbieżność jego między pojedynczemi narządami, która między pojedynczemi komórkami jeszcze mniej zdaje się zachodzić. Najwyższy stopień możliwej tutaj skali rozchylenia musiałoby dopiero stwierdzić badanie pojedynczych wypadków.

Gdyby np. kastracja zwierzęcia pociągała za sobą stale przeistoczenie się jego w płeć przeciwną, sak to jest mniemaniem popularnem, wywodzącem się jeszcze od Arystotelesa, a przez wielu medyków i zoologów podtrzymywanem, gdyby np. z pozbawienia męskości wynikała u zwierzęcia eo ipso całkowita jego przemiana w samicę, istnienie fundamentalnych pierwszorzędnych cech płciowych w każdej komórce niezależne od gruczołów zarodkowych byłoby zakwestjonowane. Ale najnowsze badania eksperymentalne Sellheima i Fogesa wykazały, że istnieje typ kastraty zgoła różny od typu kobiecego.

I że pozbawienie męskości wcale nie jest identyczne z ukobieceniem. Oczywiście, że należy i w tym kierunku unikać daleko idących, radykalnych wniosków; nie jest bowiem wykluczona możliwość, że po usunięciu lub zaniku jednego gruczołu zarodkowego, drugi utajony gruczoł takiejże samej płci zdobywa niejako władzę nad organizmem, utrzymującym się pod względem nacechowania płciowego w stanie pewnej chwiejności. Przykładem najbardziej znanym takiego zjawiska są częste, co prawda naogół zdaje się w sposób zbyt śmiały ogólnem nabraniem cech męskich tłumaczone, wypadki pojawienia się zewnętrznych, drugorzędnych męskich znamion płciowych w ustroju kobiecym po inwolucji narządów płciowych w okresie przekwitania: jak pojawienie się zarostu u kobiety-babki, krótkiej nasady rogu u starych kóz, koguciego upierzenia u starych kwok i t.d. Ale przeistoczenia tego rodzaju zdarzają się podobno nawet bez żadnych zgoła procesów uwstecznienia starczego i bez wewnętrznego zabiegu operacyjnego. Napewno stwierdzone są one jako objawy normalnego rozwoju u niektórych przedstawicieli gatunków *Cymothoa*, *Anilocra*, *Merocla* z gromady równonogich, pasożytującej na rybach, a do grupy *Cymothoidów* należącej. Zwierzęta te są obojnikami osobliwszego rodzaju: zaopatrzone są stale i równocześnie w męskie i żeńskie gruczoły zarodkowe, które jednakowoż nie funkcjonują równocześnie. Zachodzi u nich zjawisko pewnego rodzaju „protandrji“, polegające na tem, że każdy osobnik funkcjonuje najpierw jako samiec, a później jako samica. W okresie pełnienia funkcji samców posiadają one męskie narządy parzenia się, które następnie odpadają, gdy się

żeńskie drogi wywodzące i blaszki zarodkowe rozwina i otworzą, że zaś i u osobników męskich coś podobnego może zachodzić, zdają się dowodzić ciekawe wypadki „ewiracji” i „efeminacji” z podeszłego życia mężczyzn dojrzałych, które opisuje psychopatologia płciowa. Tem mniej zatem dadzą się całkowicie zaprzeczyć fakty przeistoczenia się w istotę żeńską tam, gdzie stwarza się po temu warunki tak pomyślne jak ekstyrpacja męskiego gruczołu zarodkowego*). Że jednak związek ten nie jest powszechny i konieczny, że kastracja bynajmniej jeszcze nie sprowadza przynależności do płci przeciwnej — to świadczy znów o tem, jak koniecznem jest przyjęcie powszechne dla całego ciała komórek rdzennie arrhenoplazmatycznych i thelyplazmatycznych.

Samoistność nacechowania płciowego, odrębnego dla każdej komórki z osobna i bezwładność wydzielin gruczołów płciowych zdanych wyłącznie na siebie samych, wynika dalej z całkowitej bezskuteczności przeszczepiania męskich gruczołów zarodkowych na osobniki żeńskie.

Ścisłość dowodowa tych ostatnich eksperymentów wymagałaby, ażeby wyluszczone jądra przeszczepiane były na samicę możliwie blisko spokrewnioną ze skastrowanym samcem, najlepiej na siostrę; idioplazma nie powinna by bowiem i pod innemi jeszcze względami zbyt być odmienną. Jak wszędzie zresztą indziej zależy i tu wiele na tem, aby warunki skuteczności ekspery-

*) Tak samo jak i naodwrot przy kastracji żeńskiego zwierzęcia nie można bezwzględnie zaprzeczyć maskularyzacji.

mentu były możliwie ściśle wyosobnione, gdyż tylko wtedy dadzą one wyniki możliwie jednoznaczne. Próby przeprowadzone na wiedeńskiej klinice Chrobaka wykazały, że jajowody dowolnie zamieniane między dwiema (na chybi trafi wybranymi) sarnicami po większej części marnieją, nie zdolawszy nigdy powstrzymać zaniku drugorzędnych znamion płciowych (np. gruczołów mlecznych), podczas gdy mimo usunięcie gruczołu zarodkowego z przyrodzonego łożyska i przeszczepienie jego w inne miejsce tegoż samego zwierzęcia (które w ten sposób własną swą tkankę zachowuje), możliwy jest w wypadku idealnym pełny rozwój drugorzędnych znamion płciowych tak, jakby zgoła żadna zmiana zewnętrzna nie zaszła. To, że próby przeszczepiania dokonywane na skastrowanych towarzyszach płci nie udają się, wynika może głównie z braku pokrewieństwa rodzinnego; należałoby przede wszystkim uwzględnić czynniki idjoplazmatyczne.

Te eksperymenty przypominają bardzo doświadczenia, zdobyte przy transfuzji różnoimiennej krwi. Istnieje praktyczna reguła wśród chirurgów, że utraconą krew należy (pod grozą ciężkich zaburzeń) zastąpić krwią nie tylko z tegoż samego gatunku i z rodziny spokrewnionej, ale i z osobnika tejże samej płci. Analogja z próbami przeszczepienia rzuca się tu w oczy. Gdyby jednak poglądy przez nas wypowiedziane zdołały się utrzymać, to o ile tylko chirurgowie zamiast transfuzji nie będą chętniej stosowali soli kuchennej, zmuszeni może będą uważać nie tylko na to, aby krew zastępcza pochodziła ze zwierzęcia możliwie szczepowo spokrewnionego. Wobec tego nasuwałoby się bowiem pytanie, czy nie byłoby uza-

sadnionem żądać, aby wolno było stosować tylko krew z osobnika o jednakowym stopniu męskości lub żeńskości.

Jak zjawiska zachodzące przy transfuzji krwi, stanowią dowód samoistnego nacechowania płciowego ciałek krwi, tak z drugiej strony, o czym już wspomnieliśmy, zgola ujemne wyniki wszystkich prób przeszczepiania męskich gruczołów płciowych na samice, lub żeńskich gruczołów płciowych na samców świadczy jeszcze o tem, że wewnętrzny proces wydzielniczy działa skutecznie tylko na odpowiednio równorzędną sobie arrhenoplazmę lub thelyplazmę,

Nawiązując do tego należy tu wreszcie w kilku słowach wspomnieć o kwestji leczenia organoterapeutycznego. Wywody powyższe dostatecznie objaśniają, dlaczego próby przeszczepiania całych możliwie nienaruszonych gruczołów zarodkowych na osobniki odmiennej płci nie udawały się, jak też np. i wstrzykiwania substancji jajnikowej w krew osobnika męskiego co najwyżej były w stanie tylko szkodę wyrządzić. Ale z drugiej strony mnóstwo zasadniczych zarzutów, podnoszonych przeciwko organoterapii, wyjaśnia się również przez to, że przetwory narządów, nie pochodzące od współtowarzyszy gatunku, nie zawsze mogą wyrzucić pełny skutek. Przedstawiciele organoterapii wśród świata lekarskiego osiągnęliby może niejednokrotnie wyniki zbawienne, gdyby nie przeoczały tak doniosłej zasady biologicznej, jak teoria idjoplazmy.

Teoria idjoplazmy, przypisująca specyficzne nacechowanie gatunkowe tym także tkankom i komórkom, które utraciły zdolności reprodukowania, nie

jest jeszcze coprawda powszechnie uznaną. Ale że przynajmniej w gruczolach zarodkowych są właściwości gatunkowe skupione, każdy to musi uznać i każdy tem samem przyzna, że właśnie w przetworach z gruczolów zarodkowych pierwszym wymagalnikiem jest możliwie najmniejsza odległość pokrewieństwa, jeżeli metoda ta stawia sobie zadanie dać coś więcej, niż dobry lek pokrzepiający. Okazałyby się tu może pożytecznymi równorzędne próby przeszczepiania gruczolów płciowych i wstrzykiwania ich ekstraktów, na przykład porównanie wpływu przeszczepiania kogutowi gdzieś np. w okolicy otrzewnej jądra, wyjętego jemu samemu lub zwierzęciu blisko z nim spokrewnionemu z wpływem iniekcji żylniej ekstraktu jądrowego, dokonanej na innym skastrowanym kogucie, przyczem należałoby ekstrakt ten sporządzać również z jąder zwierząt spokrewnionych. Próby takie mogłyby możliwie także jeszcze przynieść pouczające odkrycia pod względem najodpowiedniejszego sporządzenia i ilości preparatów narządowych i pojedynczych iniekcji. Byłoby też z teoretycznego punktu widzenia pożądanem stwierdzenie, czy wewnętrzne wydzieliny gruczolów zarodkowych łączą się z pierwiastkami komórki chemicznie, czy też działanie ich jest tylko katalitycznem, od ilościowego stosunku właściwie niezależnem. Ostatniej bowiem ewentualności wobec badań dotąd nagromadzonych nie można jeszcze wykluczyć.

Należało wyznaczyć granicę wpływu wewnętrznego procesu wydzielniczego na stanowcze ukształtowanie się nacechowania płciowego, aby postawioną hipotezę rdzennie samoistnego, naogół w każdej komórce pod względem stopnia odmiennego, *a priori* ściśle

określonego nacechowania płciowego, zabezpieczyć przeciwko zarzutom *). Jakkolwiek w przeważnej części wypadków stopnie nacechowania rozmaitych komórek i tkanek niezbyt od siebie się różnią, zdarzają się przecież wyjątki uderzające, które świadczą o możliwości znacznych odchyłeń. Nawet pojedyncze komórki jajowe i pojedyncze plemniki nie tylko u dwóch rozmaitych ustrojów, ale i w pęcherzykach jajkowych i masie nasiennej jednego osobnika w tym samym czasie, a jeszcze bardziej w porach rozmaitych wykazują różnicę pod względem stopnia swej żeńskości lub męskości np. plemniki mogą mieć rozmaitą smukłość i chyżość. Coprawda jesteśmy dotychczas bardzo słabo obeznani z temi różnicami, ale dlatego przeważnie, że dotąd nikt spraw tych w podobnym celu nie badał.

W jądrach płazów jednak — i to właśnie jest ciekawe — znalezione zostały (i to nie raz jeden i nie przez jednego badacza, ale kilkakrotnie i przez rozmaitych uczonych) obok zwyczajnych form, właściwych rozwojowi spermatogenezy, całkiem prawidłowe i dobrze rozwinięte jaja. Wprawdzie takie tłumaczenie odkryć tych zostało z pewnej strony zaatakowane, przyczem uznano za pewne tylko istnienie nieprawidłowo dużych komórek w kanalikach nasiennych, ale ostatecznie taki właśnie stan rzeczy faktycznie stwierdzony został. Jużci wypadki dwupłciowości zdarzają się właśnie niezwykle często wśród płazów; mimo to jednak ten jeden fakt świadczy dostatecznie, jak ostrożnym trzeba być z hipotezą mniejszej

*) Że granice takie istnieją, okazuje się przecież także z istnienia różnic przed dojrzałością.

lub większej jednolitości arrhenoplazmy czy thelyplazmy w jednym ustroju. Zgoła takiejże samej, zbyt skwapliwej powierzchowności w sądach, dopuszczamy się, jakkolwiek wydawać się to może faktem całkiem odmiennej kategorii, jeśli mianujemy „chłopcem” świeżo urodzone niemowlę, które za takie już bez dalszych korowodów następnie uchodzi, na tej tylko postawie, że posiada ono cewkę męską, choćby ta była całkiem krótka, choćby miała ujście na grzbiecie lub na spodzie, a czynimy to nawet jeszcze w razie dwustronnego kryptorchizmu, jakkolwiek ono w innych okolicach ciała np. pod względem cerebralnym może być o wiele bliższem thelyplazmie niż arrhenoplazmie. Bez wątpienia trzeba się tu jeszcze kiedyś będzie nauczyć rozpoznawania delikatniejszych nawet odcieni płci już przy narodzinach.

Za wynik wszystkich tych przedługich indukcji dedukcyj możemy tedy uważać stwierdzenie rdzennej samoistności nacechowania płciowego przynajmniej o tyle, że a priori nie da się ono dla wszystkich komórek jednego nawet ustroju ustanowić jednakowe, choćby w mniejszem lub większem przybliżeniu. Każda komórka, każdy splot komórek, każdy narząd ma swój odpowiedni wykładnik, który określa jego pozycję między arrhenoplazmą i theloplazmą. Oczywiście, że traktując rzecz ogólnie, wystarczy przy skromnych wymaganiach ścisłości jeden wykładnik dla całego ciała. Dopuścilibyśmy się jednak fatalnych błędów teoretycznych, a ciężkich grzechów w praktyce, gdybyśmy sądzili, że takie nieścisłe określenie także i w poszczególnym wypadku sprawę na serjo w zupełności wyczerpuje.

Różnorodność stopni pierwotnego nacechowania płciowego w połączeniu z różnorodnością (u rozmaitych osobników prawdopodobnie pod względem ilościowym i jakościowym) wewnętrznego procesu wydzielniczego wywołuje istnienie pośrednich form płciowych.

Arrhenoplazma i thelyplazma w swych niezliczonych ustopniowaniach są tym mikroskopicznym czynnikiem, który w związku z „wewnętrznym procesem wydzielniczym” tworzą owe makroskopiczne różnice, któreśmy się w poprzednim rozdziale wyłącznie zajmowali.

Jeśli się dotychczasowe wywody za słuszne i trafne uzna, okaże się koniecznem podjęcie całego szeregu badań anatomicznych, fizjologicznych, histologicznych i histochemicznych nad różnicami typów M i K w budowie i czynnościach wszystkich poszczególnych narządów, celem poznania, jak się arrhenoplazma i thelyplazma w rozmaitych poszczególnych tkankach i włóknach różnicuje. Wiadomości przeciętne, które o tem wszystkiem dotąd posiadam nie wystarczają chyba już nawet nowoczesnemu statystykowi. Wartość ich naukowa jest całkiem drobna. Że np. wszystkie badania różnic płciowych w mózgu mogły ujawnić tak mało szczegółów wartościowych, wynika także i stąd, że nie szuka się wcale typowych stosunków, jeno się zadowala tem, co podaje metryka lub co wskaże najpowierzchniejsze oglądnięcie zwłok, uważając w ten sposób każdego Maćka i każdą Kaśkę za pełnowartościowych przedstawicieli męskości czy kobiecości. Jeśli się już sądzi, że można się obejść bez dat psychologicznych, to wobec tego, że harmonja w nacecho-

waniu płciowem rozmaitych części ciała jest zjawiskiem częstszem, niż znaczne jego różnice między pojedyńczemi narządami, należałoby się przynajmniej upewnić co do niektórych faktów, dotyczących tych zwłaszcza właściwości budowy cielesnej, które przy ocenie męskości i kobiecości wchodzi w rachubę, jak odległość wielkich krętarzy, *Spinae iliacae ant. sup. itd. itd.*

To samo źródło błędów — beztroskliwe omijanie pośrednich stopni płciowych, jako miarodajnych okazów — stało zresztą otworem także i przy innych badaniach; a beztroskliwość ta może na długie czasy wstrzymywać zdobycie trwałych i pewnych wyników. Już np. kto bada przyczyny nadwyżki urodzin chłopców, nie powinienby całkiem stosunków tych przeoczać. Szczególnie jednak nieuwzględnianie ich zemści się na każdym, kto by się chciał podjąć rozwiązanie zagadnienia przyczyn wpływających na kształtowanie się płci. Dopóki on każdego, na świat się pojawiającego osobnika, którego sobie za przedmiot badania obiera, nie zbada także pod względem jego oddalenia od M i K, hipotezy jego, a tem mniej jego metody wpływania, nie zasługują na zaufanie. Skoro mianowicie pośrednie formy płciowe będzie na podstawie jedynie dotychczasowych zewnętrznych oznak jednostronnie zaliczał do urodzin męskich, względnie żeńskich, będzie stosował na swoją korzyść wypadki, któreby przy głębszem wnikięciu świadczyły przeciwko niemu, będzie zaś uważał za dowody przeciwnie te właśnie, które niemi nie są: bez idealnego mężczyzny i idealnej kobiety brak mu bowiem właśnie stałego miernika, z którymby mógł rzeczywi-

stość zestawić i stąd brnie naoslep w niepewnej, powierzchownej złudzie. Ma u p o s n p., któremu się udało wpłynąć eksperymentalnie na ukształtowanie płci w *Hydatina senta*, zwierzątku z gromady kołowrotek, miał do czynienia zawsze jeszcze z 3—5% wyników niezgodnych. Przy temperaturze niższej oczekiwał narodzin samicy, gdy tymczasem wypadł taki procent samców; odpowiednio znów wypadło wbrew regule tyle mniej więcej samic przy temperaturze wysokiej. Należy przyjąć, że były to pośrednie kształty płciowe, bardzo męskie samice przy temperaturze wysokiej i bardzo żeńskie samce przy niskiej. Gdzie to zagadnienie jest znacznie więcej zawikłane, np. u bydła, aby już o człowieku nie mówić, tam nigdy chyba nie wypadnie tak wysoki procent wyników zgodnych, jak w tym wypadku, i dlatego tam wyjaśnienie kwestji napotyka na znacznie trudniejsze przeszkody, wywołane pośrednimi formami płciowemi.

Jak morfologia, fizjologia i mechanika rozwoju, tak i porównawcza patologia typów płciowych, jest dopiero w stadium dezyderatów. Oczywiście, że i tu, jak tam dadzą się pewne wnioski wysnuć ze statystyki. Jeżeliby ta wykazała, że pewna choroba pojawia się znacznie częściej wśród „płci żeńskiej” niż w „męskiej”, wolnoby wtedy było postawić uogólniającą hipotezę, że jest ona cierpieniem chorobowym, właściwym thelyplazmie. I tak np. byłby wedle tego obrzęk śluzowaty chorobą K; wodniak jest z natury rzeczy chorobą M.

A jednak nawet najgłośniej przemawiające cyfry statystyczne dopóty nie są w stanie uchronić nas tu napewno od błędów teoretycznych, dopóki

nie będzie dowiedzionem, że objawy charakterystyczne pewnego cierpienia pozostają w stosunku nierozłącznej, funkcjonalnej zależności z męskością lub kobiecością. Teoria takich chorób będzie sobie musiała zdać ścisłą sprawę i z tego, z jakiego powodu one występują prawie wyłącznie u jednej tylko płci t. j. (wyrażając się w sposób przez nas tu uzasadniony), dlaczego one stoją w łączności z M lub z K.

ROZDZIAŁ III.

Prawa pociągu płciowego.

CARMEN:

„L'amour est un oiseau rebelle,
Que nul ne peut apprivoiser:
Et c'est bien en vain qu'on l'appelle.
S'il lui convient de refuser.
Rien n'y fait; menace ou prière:
L'un parle, l'autre se tait:
Et c'est l'autre que je préfère
Il n'a rien dit, mais il me plaît.

.....
L'amour est enfant de Bohême
Il n'a jamais connu de loi“.

Jak to stare pojęcia formułują, istnieje u wszystkich płciowo zróżniczkowanych istot żyjących między samcem i samicą, mężczyzną i kobietą, wzajemne przyciąganie, prowadzące do aktu spółkowania. Gdy jednak mężczyzna i kobieta są tylko typami, które w rzeczywistości nie mają nigdzie czystych swych przedstawicieli, nie będziemy już mogli mówić, że przyciąganie płciowe stara się zbliżyć ku sobie jakiegoś męskiego osobnika wogóle i jakąś kobietę wogóle.

Wyłożona tu teoria musi być zdolną do wytłumaczenia faktów oddziaływania płciowego, jeśli pragnie

być zupełną, co więcej, nowe jej środki powinny nawet lepiej przedstawiać obraz tych objawów, niż dotychczasowe, skoro chcą uzyskać przed temi pierwszeństwo. I rzeczywiście, poznanie, że pierwiastki M I K rozkładają się w najrozmaitszem ustosunkowaniu na pojedyncze osobniki, naprowadziło mnie na odkrycie nieznanego dotąd, raz tylko przez jednego filozofa przeczutego prawa przyrody, prawa przyciągania płciowego. Obserwacje nad człowiekiem prawo to mi nasunęły, od niego więc chcę tu rozpocząć.

Każdy człowiek ma w odniesieniu do drugiej płci pewien swój, jemu tylko właściwy „gust“. Porównując na przykład wizerunki kobiet, w których się ktoś z głośnych osobistości historycznych kochał, odnajdziemy w nich prawie zawsze wybitne podobieństwo, które nazewnątrż uwydatnia się najczęściej w postaciach ich (ściśle mówiąc we wzroście) lub w łicach, ale przy bliższem przypatrzeniu się rozciąga się aż do najdrobniejszych rysów — *ad unguem* aż po paznokcie u palców. Ale sprawa ma się zgoła tak samo i zwyczajnie. Stąd pochodzi, że każda dziewczyna, która wywiera na pewnego mężczyznę silny wpływ pociągający, budzi w nim odrazu także wspomnienia tych dziewcząt, które już przedtem na nim w sposób podobny działały. Niejeden zresztą ma dalej znajomych, których gust w odniesieniu do drugiej płci wywoływał w nim nieraz wyrazy zdumienia, że „wprost zrozumieć trudno, jak ta się komuś może podobać“. Mnóstwo takich faktów, stwierdzających ponad wszelką wątpliwość pewien właściwy i swoisty gust u każdego, także i wśród zwierząt, zebrał Darwin (w swem „pochodzeniu człowieka“). Że jednak

analogiczne z tem objawy pewnego określonego gustu wyraźnie występują nawet u roślin, niebawem opowiemy.

Przyciąganie płciowe jest prawie bez wyjątku, nie inaczej, jak przy sile ciężenia wzajemne; gdzie reguła ta zdaje się dopuszczać wyjątki, da się prawie zawsze wykazać wpływ zróżnicowanych czynników, zdolnych sprawić, że nie idzie się za podniętą bezpośredniego gustu, który jest prawie zawsze wzajemnym, lub rodzących pożądanie tam, gdzie to pierwsze bezpośrednio wrażenie nie zachodzi.

Także i w języku potocznym mówi się o „trafieniu na swego“, o „niedobraniu się“ dwojga ludzi. Świadczy to o pewnem mglistem przeczuwaniu faktu, że w każdym człowieku tkwią pewne właściwości, dla których zdaje się nie być wcale rzeczą obojętną, jaki osobnik płci drugiej nadaje się do płciowego z nim skojarzenia; że nie każdy „mężczyzna“ może zastąpić miejsce innego i nie każda „kobieta“ miejsce innej tak, aby to nie stanowiło żadnej różnicy.

Każdy wie dalej z własnego doświadczenia, że pewne osoby płci drugiej mogą nań działać wprost odpychająco, wobec innych zachowuje zimną obojętność, inne znów go podniecają, wreszcie zjawia się (być może nie zawsze) ta osoba, z którą połączyć się pragnie tak dalece, iż ewentualnie cały świat traci wobec tego swą wartość dla niego i znika. Którą jest ta osoba? Jakie przymioty musi posiadać? Jeśli istotnie — a tak się sprawa ma — każdemu typowi męskiemu odpowiada równoległy typ kobiecy, który działa nań płciowo i naodwrot, to w każdym razie zdaje się, że przejawia się w tem pewne prawo. Co to za prawo i jak opiewa? Kiedy urobiwszy już

sobie własną odpowiedź na to pytanie, napierałem uporczywie na rozmaitych ludzi o sformułowanie takiego prawa, pomagając przykładami ich umiejętności abstrahowania, odpowiadano mi, „że przeciwieństwa przyciągają się“. W pewnem znaczeniu i w szcuplejszym zakresie wypadków można tę zasadę przyjąć. Jest ona jednak zbyt ogólną, rozplywa się w palcach, pragnących ująć coś uchwytnego i nie dopuszcza zgoła sformułowania matematycznego.

Praca niniejsza nie kusi się o wykrycie wszystkich praw przyciągania płciowego—jest ich bowiem więcej — i nie przypisuje sobie zgoła tej zdolności, jakoby udzielić mogła każdemu całkiem pewnej wiadomości o osobie drugiej płci, najbardziej gustowi jego przypadającej, co możliwemby było dopiero przy zupełnej znajomości wszystkich w grę tu wchodzących praw. Jedno tylko z praw tych chcemy w rozdziale tym omówić, gdyż jest ono w związku z innemi roztrząsaniem tej książki. Całego szeregu innych jeszcze praw dochodzę, ale to było właśnie pierwszym, które zwróciło mą uwagę, co zaś mam o niem do powiedzenia, jest względnie najbardziej wykończone. Niedokładności materiału dowodowego niechaj tu będą osądzone pobrażliwie przez wzgląd na nowość i trudność kwestji.

Na szczęście jednak jest w pewnej mierze zbędnem przytaczać tu te fakty, z których pierwotnie to prawo przyciągania płciowego wywiodłem, jak i tych znaczną liczbę, które mi je potwierdziły. Upraszam każdego, ażeby je przedewszystkiem na sobie sprawdził, a następnie rozglądnął się w kole swoich znajomych; szczególnie zaś przypominam mu i zwracam jego uwagę na te właśnie wypadki, kiedy on

gustu ich nie mógł zrozumieć, a nawet im zgoła wszelkiego smaku" odmawiał, lub kiedy go to samo z ich znów strony spotykało. Pewną najskromniejszą dozę znajomości form zewnętrznych ludzkiego ciała, potrzebną do tej kontroli, każdy człowiek posiada.

I ja również doszedłem do prawa, które z kolei chcę tu sformułować, tą właśnie drogą, jaką tu przedewszystkiem wskazuję.

Prawo to brzmi: Dojść do połączenia płciowego starają się zawsze całkowity mężczyzna (M) i całkowita niewiasta (K), chociażby typy te w każdym poszczególnym wypadku były rozłożone w rozmaitym stosunku na dwa te oddzielne osobniki.

Inaczej mówiąc: Jeśli $m \mu$ wyraża pierwiastki męskie, $k \mu$ pierwiastki żeńskie, tkwiące w pewnym wedle zwyczajnego pojęcia po prostu „mężczyzną” mianowanym osobniku μ , zaś $k \omega$ pierwiastki żeńskie, $m \omega$ pierwiastki męskie pewnej powierzchownie jako „kobiety” oznaczonej osoby ω , to zawsze w wypadku zupełnego powinowactwa tj. najsilniejszego stopnia przyciągania płciowego otrzymamy:

(1a) $m \mu + m \omega = C(\text{onstans})_1 = M = \text{idealny mężczyzna}$, a przeto oczywiście zarazem także

(1b) $k \mu + k \omega = C_2 = K = \text{idealna kobieta}$.

Nie należy sformułowania tego fałszywie pojmować. Stanowi ono jeden tylko wypadek, jedyny stosunek płciowy, w którym obie formuły mają zastosowanie, przyczem atoli druga wynika bezpośrednio z pierwszej, nic nowego do niej nie przydając; konstruujemy je bowiem już z tem założeniem,

że każdy osobnik ma tyle w sobie kobiecości, ile mu męskości zbywa. Jeśli jest istota całkowicie męską, pożądać będzie partnera całkowicie kobiecego; jeśli jest całkiem kobiecą, to całkowicie męskiego. Jeśli jednak tkwi w nim pewien wyższy ułamek męskości, oraz dodatkowy i zgoła niepomijalny drugi ułamek kobiecości, to domagać się on będzie, jako swego uzupełnienia osoby, która ułamkowość jego męskości dopełni do całości i jedności, przyczem jednak w takiż sam sposób uzupełni się również jego składowa część kobieca. Jeśli np. osobnik pewien ma

$$p. \left\{ \begin{array}{l} \frac{3}{4} M, \\ \text{a więc} \\ \frac{1}{4} K. \end{array} \right.$$

to w myśl naszego prawa jego najlepszem dopełnieniem płciowem, będzie ta osoba ω , która pod względem płciowym tak się da określić:

$$\omega \left\{ \begin{array}{l} \frac{1}{4} M. \\ \text{a więc} \\ \frac{3}{4} K. \end{array} \right.$$

Ze względu na szerszy zakres uogólnienia, jak już to sformułowanie kwestji przedstawia, musimy mu przyznać wyższość nad zwykłym jej pojmowaniem.

To, że mężczyzna i kobieta, jako idealne typy płciowe, wzajem się przyciągają, zawarte jest tu właśnie tylko, jako pewien szczególny wypadek, szczególny o tyle, że w nim urodzony osobnik

$X \left(\begin{array}{l} I. M. \\ O. K. \end{array} \right.$ dopełnienie swe znajduje w również uro-

jonym osobniku $Y \left(\begin{array}{l} I. M. \\ O. K. \end{array} \right.$

Nikt się nie zawaha przyznać, że istnieje ściśle określony smak płciowy; tem samem jednak staje otworem kwestja praw tego smaku, zagadnienie związku funkcjonalnego, zachodzącego między upodobaniem płciowem, a innemi cielesnemi i duchowemi przymiotami pewnego osobnika. W prawie tu postawionem niema *a priori* żadnego nieprawdopodobieństwa: przeciwko niemu nie przemawia zgoła najmniejszy fakt z doświadczenia potocznego czy naukowo stwierdzonego. Ale samo w sobie nie jest ono zapewne także „rozumiejącem się samo przez się”. Mogłoby ono przecież równie dobrze opiewać w ten sposób—co pomyśleć da się, gdyż samo to prawo dotąd za sobą dalszych wniosków nie pociąga —: $m \mu - m \omega = Const.$ tj.: że stałą wielkość mogłaby stanowić nie suma, ale różnica zawartości pierwiastków M, że więc mężczyzna najbardziej męski stałby w takim samym odstępnie od swej istoty dopełniającej, któraby w tym wypadku stała właśnie w środku między M i K, w jakim stałby mężczyzna najbardziej kobiecy od swojej istoty dopełniającej, któraby w tym wypadku stanowiła okaz skrajnej kobiecości. Wyobrazić dałoby się to, jak powiedzieliśmy, co jednak w świecie rzeczywistym do urzeczywistnienia nie wystarcza. Jeśli więc w przeświadczeniu, że mamy przed sobą prawo empiryczne, mamy uczynią zadość naukowym wymogom wszelkiego orzekania nie będziemy narazie mówili o „sile”, pchającej ku sobie dwoje osobników, jak dwoje marionetek, ale uważać będziemy prawo to jedynie za wyraz stosunku, który da się w jeden i ten sam sposób stwierdzić przy każdym objawie silniejszego przyciągania płciowego; może ono wykazywać tylko pewn,

„Invariantę” (Oswald), pewną „Multiplonibłę” (Avenarius), a taką jest w tym wypadku zawsze niezmienna suma pierwiastków męskich i żeńskich, zawartych w obu osobnikach wzajemnie z największą siłą się przyciągających.

Pierwiastek „estetyczny”, pierwiastek „piękna” musi być tutaj zgoła pominięty. Jakże bowiem często się zdradza, że ktoś jest nawskroś zachwycony pewną kobietą, tracąc wszystkie zmysły z uniesienia nad jej „nadzwyczajną”, „oszołomiającą” urodą, podczas gdy ktoś inny „ciekaw byłby zobaczyć”, co też właściwie takiego upodobać sobie można w tej kobiecie, a to dlatego właśnie, że dla niego nie jest ona bynajmniej dopełnieniem płciowem. Nie stając tu wcale na stanowisku jakiejś estetyki normatywnej i nie mając zamiaru gromadzić przykładów względności ocen, możemy stwierdzić, że ludzie zakochani widzą piękno nie tylko w tym, co jest z punktu widzenia czysto estetycznego obojętne, ale i w tym nawet, co jest nieładne, przyczem wyrażenie „czysto estetyczne” oznaczać tu ma nie piękno absolutne, ale tylko to, co jest piękne, tj. co po wykluczeniu wszelkich „apercepcyj płciowych” budzi estetyczne upodobanie.

Samo prawo sprawdziłem w kilkuset wypadkach (aby wymienić cyfrę najniższą), a wszystkie wyjątki okazały się pozornymi. Każda prawie para miłosna, spotykana na ulicy, jest nowem jego potwierdzeniem. Wyjątki były o tyle pouczające, że uwypuklając ślad innych praw z dziedziny płciowości, skłaniały do ich badania. Sam zresztą przeprowadziłem także szereg prób wywiadowczych z kolekcją fotografii dam pod względem czysto-estetycznym nienagannyh, z których

każda przedstawiała pewien zasób pierwiastków K, przedkładając je po kolei licznym swoim znajomym z podstępą prośbą o „wybór najpiękniejszej“. Otrzymałem zawsze odpowiedź z góry przewidywaną. Przez innych, którzy już wiedzieli, o co chodzi, dawałem się sam w ten sposób badać, że przedkładać mi szereg wizerunków, z pośród których musiałem wybrać osobę przez nich uważaną za najpiękniejszą. Udawało mi się to zawsze. Innym znów byłem w stanie dać mniej więcej zupełny opis piastowanego przez nich ideału płci drugiej, zanim jeszcze miałem sposobność mimowolnie ich wypróbować, w każdym razie często znacznie dokładniejszy, niż oni sami uczynić to byli zdolni; niekiedy jednak zwracali także dopiero wtedy uwagę na to, co się im nie podobało — o czym ludzie naogół o wiele łatwiej wiedzą, niż o tem, co ich pociąga, — gdy im to wyjawilem.

Sądę, że czytelnik przy pewnem ćwiczeniu potrafi z łatwością przyswoić sobie tę samą biegłość, którą już osiągnęło kilku mych znajomych z ściślejszego naukowego grona przyjaciół pod wpływem idei tu przedstawionych. Oczywiście, że znajomość innych praw przyciągania płciowego byłaby tu bardzo pożądana. Możliwość wymieniać cały szereg specjalnych, stale niezmiennych wielkości jako próby i przykłady stosunku dopełniawczego w rzeczywistości. Możliwość np. powyższe prawo przyrody złośliwie tak sformułować, że suma długości włosów dwojga kochanków musi zawsze być ściśle jednakowo wielką. Ale z powodów przytoczonych już w rozdziale drugim nie zawsze byłoby to trafne wobec tego, że nie wszystkie narządy jednego i tego samego osobnika są w rów-

nym stopniu żeńskie lub męskie. Zresztą reguły heurystyczne w tym rodzaju wkrótceby się namnożyły i spadłyby rychło do rzędu lichych żartów, skutkiem czego wolę je tutaj raczej pominąć.

Nie taję, że sposób, w jaki tu prawo to wprowadzono zostało, ma w sobie coś dogmatycznego, co mu wobec braku ścisłego uzasadnienia tem mniej, przystoi. Ale zależało mi i tutaj nie tyle na tam, aby wystąpić z gotowymi wynikami, ile raczej aby pobudzić do ich poszukiwania wobec tego, że rozporządzałem nader szczupłymi środkami dokładnego wypróbowania owych twierdzeń metodami przyrodniczymi. Jakkolwiek zatem w szczegółach pozostanie jeszcze wiele hipotetycznem, mam przecież nadzieję, że wskazując poniżej na ciekawe i dotąd nie uwzględniane analogje, potrafię jeszcze pojedyncze belki tej budowy tak powiązać, aby się wzajemnie podierały; wszak bez takiego wstecz działającego podparcia podobno nie obejdą się nawet zasady analitycznej mechaniki.

Potwierdzenie nader wybitnie uderzające, znajduje sformułowane przez nas prawo przedewszystkiem w grupie zjawisk ze świata roślinnego, które dotychczas rozpatrywano w całkowitem wyosobnieniu, skutkiem czego zdawały się w nich tkwić w wysokim stopniu pozory dziwacznej osobliwości. Jak każdy botanik natychmiast odgadnie, mam tu na myśli odkryte przez Persoona, przez Darwina nasamprzód opisane, przez Hildebranda nazwane zjawisko nierównomierności słupka czyli różnosłupkowości.

Polega ono na tem: wiele roślin dwuliściennych (i jedna jedyna jednoliścienna) np. z gatunku *Pri-*

mulaceae i *Geraniaceae*, zwłaszcza jednak wiele z pośród *Rubiaceae*, same takie tedy, których kwiaty posiadają zarówno pyłek, jak i znamiona, zdolne do zapłodnienia, ale tylko przez wytwory kwiatów obcych, które więc pod względem morfologicznym występują androgynicznie. pod względem fizjologicznym zaś są dwupienne, mają tę właściwość, że ich znamiona i pylniki dochodzą u różnych indywiduów do rozmaitej wysokości. Jedne okazy wytwarzają wyłącznie kwiaty z długim słupkiem, a więc ze znamieniem wysoko osadzonem i krótkimi pylnikami; według mego rozumienia są to kwiaty o charakterze bardziej żeńskim. Inne natomiast okazy wytwarzają tylko kwiaty ze znamieniem głęboko osadzonem i wystającymi wskutek długości swych pręcików pylnikami; są to okazy bardziej męskie. Obok tych gatunków „dwupostaciowych“ są jednak także gatunki trypostaciowe, jak *Lythrum salicaria* z narządami płciowymi trojakiej długości, u której obok form kwiatowych ze słupkami długimi i krótkimi, pojawiają się jeszcze nadto kwiaty ze słupkami średniej długości. Jakkolwiek podręczniki uwzględniają tylko objawy dwu- i trypostaciowej różnosłupkowości, różnorodność jej na tem się nie kończy. Darwin zaznacza, że jeśli się uwzględni mniejsze różnice, to dałoby się rozróżnić pięć rozmaitych stopni rozmieszczenia męskich narządów płciowych. A więc i tutaj nie dający się bądź co bądź zaprzeczyć brak ustopniowanej ciągłości, podział rozmaitych stopni męskości i żeńskości na rozmaite piętra nie jest zjawiskiem powszechnem, nawet i w tym wypadku mamy tu i ówdzie do czynienia z pośrednimi formami płciowymi, utrzymującymi większą

ciągłość. Z drugiej strony i to dyskretne utsopniowanie ma swoje uderzające analogje w królestwie zwierząt, gdzie dotyczące zjawiska poczytywano za niemniej odosobnione i dziwaczne, nie pamiętając zgoła o objawach różnosłupkowości. U licznych gatunków owadów, jak u skorka i blaszkorogich (naprzykład u jelonków *lucans cervus*, w odmiennie *dynastes hercules* i *xylotrupes gideon*) istnieje z jednej strony wiele samców, u których macadelka, stanowiące ich drugorzędną cechę płciową i odróżniające je najwidoczniej od samic, rozwijają się do bardzo znacznej długości; inna zaś poważna grupa samców ma macadelka te względnie słabo rozwinięte. Bateson, któremu zawdzięczamy dokładniejszy opis tych objawów, rozróżnia na tej podstawie wśród nich „*high males*” i „*low males*”. Wprawdzie między temi dwoma typami utrzymują ciągłość stany przejściowe, ale stopnie pośrednie są rzadkie i przeważna część okazów stoi na jednym lub drugim biegunie. Niestety Bateson nie starał się zbadać związków płciowych obu tych grup z samicami i zjawiska te przytaczał tylko, jako przykłady warjacji, pozbawionych ciągłości; wobec tego nie wiemy, czy istnieją w dotyczących gatunkach także dwie grupy samic o rozmaitem płciowym powinowactwie z rozmaitemi formami samców. Spostrzeżenia te przeto można zastosować tylko, jako morfologiczne analogje ze zjawiskami różnosłupkowości, nie zaś jako fizjologiczne przejawy prawa przyciągania płciowego, do czego się zjawiska różnosłupkowości istotnie nadają.

Na roślinach dwupostaciowych da się może w zupełności stwierdzić, że formuła nasza ma wartość powszechnie obowiązującą w obrębie wszystkich

istot żyjących. Darwin wykazał, a po nim wielu obserwatorów w podobny sposób to stwierdziło, że u roślin dwupostaciowych zapłodnienie prawie tylko wtedy ma widoki pomyślne, a często wogóle tylko w takim razie jest możliwe, jeżeli pył kwiatów podzałążniowych tj. z pręcików niższych dostanie się na znamię dolne innego okazu, a więc zaopatrzonego w pręciki długie, lub jeśli pył, pochodzący z wysoko osadzonych pylników kwiatu nadzałążniowego padnie na znamię górną innej rośliny (z krótkimi pręcikami). Im zatem dłuższy w jednym kwiecie jest słupek, w im wyższym stopniu rozwinięty jest w nim narząd żeński, o tyle dłuższym musi być w drugim kwiecie, który ma tamten skutecznie zapłodnić, pylnik, jako narząd męski, o tyle zaś krótszym słupek którego długość jest miarą stopnia żeńskości. Gdzie istnieją słupki trojakiej długości, tam, w myśl tej samej rozszerzonej reguły, zapłodnienie udaje się najlepiej, jeśli pył z jednego kwiatu przeniesie się na to znamię, które w innym kwiecie osadzone jest w takiej samej wysokości, co pylniki, z którego był ten pochodził. Skoro się tego nie przestrzega i sprowadzi się np. sztuczne zapłodnienie pyłem niewspółmiernym, powstają, o ile wogóle ta procedura się powiedzie, prawie zawsze chorowite tylko, nędzne, karłowate i zgoła bezpłodne latorośla, nader podobne do mieszańców różnorakich gatunków.

U autorów, omawiających objawy różnosłupkowości, można naogół odczuć, że ich nie zadowala zwykłe tłumaczenie tego różnorakiego zachowania się podczas zapłodnienia. Orzeka ono, że owady dotykając przy zwiedzaniu kwiatów temi samemi punktami ciała narządy płciowe, osadzone w jednakiej

wysokości, wywołują w ten sposób ów osobliwy skutek. Darwin sam jednak przyznaje, że pszczoły unoszą z sobą pył wszelkiego rodzaju w każdym punkcie ciała, pozostaje zatem i dalej, jak dotąd, otwartą kwestja elekcyjnego zachowania się narządów żeńskich przy zapylaniu dwoma lub trzema rozmaitemi rodzajami pyłu. Ponadto wyjaśnienie to napozór w tak czarodziejski sposób przemawiające do przekonania, wydaje się przecież nieco powierzchownem, jeśli ma właśnie służyć na wytłumaczenie, dlaczego sztuczne zapylenie pyłem nierównowymiernym, t. zw, zapłodnienie „nieprawie“ wywołuje skutek tak niepomyślny. Owe wyłączne stykanie się z „pyłem prawego łoża“ musiałoby w takim razie czynić znamiona drogą nawyku podatnemi na pył kwiatowy tego jednego tylko pochodzenia; ale właśnie Darwin sam mógłby służyć za świadka, że ta rzekoma niedotykalność dla innego pyłu jest zgoła iluzoryczna, gdyż owady, które odgrywają tu rolę pośredników małżeńskich, działają w rzeczywistości raczej na rzecz krzyżowania się, wykluczającego jakiegokolwiek wyróżnienia.

Znacznie wygodniejszą zatem wydaje się hipoteza, że przyczyną tego tak osobliwego doboru jest inna głębsza, tkwiąca pierwiastkowo w kwiatach samych. Zapewne i tu, jak u człowieka, rzecz na tem polega, że przyciąganie płciowe jest najsilniejsze między temi osobnikami, z których jeden zawiera w sobie tyle właśnie pierwiastków M, ile ma drugi pierwiastków K, co jest znów tylko innem wyrażeniem formuły powyższej. Prawdopodobieństwo takiego tłumaczenia poparte jest tem

zwłaszcza, że w kwiecie bardziej męskim, o krótkim słupku, ziarnka pyłu w pylnikach tutaj wyżej osadzonych bywają też stale większe, a brodawki znamionowe mniejsze, niż analogiczne narządy w kwiatkach długosłupkowych, bardziej żeńskich. Z tego widać, że chyba o nic innego tu nie chodzi, jak o rozmaite stopnie męskości i żeńskości. A przy tem założeniu postawione przez nas prawo powinowactwa płciowego świetnie się sprawdza, gdyż właśnie w państwie zwierząt i roślin—do czego jeszcze później powrócimy—zapłodnienie zawsze tam najpomysłniejszy skutek wykazuje, gdzie rodzice pozostawali ze sobą w największem powinowactwie płciowym *).

Przy omawianiu „opaczego pociągu płciowego“ będzie można z większem prawdopodobieństwem wykazać, że w świecie zwierzęcym prawo to w całej pełni włada. Narazie chciałbym tu tylko zwrócić uwagę, jak ciekawem byłoby podjąć badania, czy też większe i ociężalsze komórki jajowe na zwinniejsze i smuklejsze plemniki nie wywierają silniej przyciągającego wpływu, niż jaja mniejsze, bardziej obfitujące w żółtko i zarazem mniej ociężałe i czy te znów naodwrot nie wabią ku sobie właśnie powolniejszych i pojemniejszych większych plemników. Może się tu naprawdę okaże, jak to L. Weill w niedużej swej pracy, poświęconej rozważaniom nad czynnikami, wpływającymi na utworzenie się płci,

*) Specjalne cele hodowców, usiłujących przeważnie zmienić tendencje przyrodzone, wymagają oczywiście często postępowania zgoła odmiennego.

przypuszczał, pewna równoległość między stopniami ruchliwości czy kinetyczną energią obu komórek współdziałających. Wszak dotąd nie stwierdzono nawet jeszcze — co prawda jest to też bardzo trudnem do stwierdzenia — czy te komórki rozrodcze, po usunięciu tarcia i pędu w płynnem medjum, objawiałyby ruch wzajemnie ku sobie przyśpieszony, czy też poruszałyby się z chyżością jednostajną. Takie i niejedno jeszcze podobne pytanie możnaby tu postawić.

Jak to już kilkakrotnie podnieśliśmy, omawiane dotąd prawo przyciągania płciowego u człowieka (a zapewne także i u zwierząt) nie jest jedyne. Gdyby ono niem było, musiałoby się wydać zgola niepojętem, że go już oddawna nie wykryto. Właśnie dlatego, że w grę wchodzi nader liczne czynniki, że zachodzić musi znaczna może liczba innych jeszcze praw*), wypadki nieodpornego pociągu płciowego są rzadkie. Nie chcę tu mówić o prawach tych, gdyż dotyczące badania nie są jeszcze ukończone, dla ilustracji jednak wskażę jeszcze na jeden z czynników w grę tu wchodzących, matematycznie co prawda trudny do uchwycenia.

Poszczególne objawy, na które się tu powołuję, są naogół dosyć znane. W wieku całkiem młodym, poniżej lat dwudziestu, mężczyźni czują przeważnie

*) Mówiąc o pewnej stałości smaku płciowego mężczyzny czy kobiety ma się na myśli zwykle przedewszystkiem szczególne upodobanie do pewnej ulubionej barwy włosów u drugiej płci. Istotnie też, jeśli się wogóle pewnej barwie włosów daje pierwszeństwo (co nie jest objawem powszechnym u wszystkich ludzi), upodobanie to zdaje się tkwić dosyć głęboko.

pociąg do kobiet starszych (powyżej lat 35 liczących), podczas gdy z biegiem lat kochają się w coraz młodszych; podobnie jednak i dziewczęta całkiem młode, „podlotki“ (wzajemność), przekładają zazwyczaj mężczyzn starszych ponad młodszych, aby później znów popęlniać wiarołomstwa nierzadko z całkiem młodymi chłopakami. Zjawisko to musi mieć korzenie znacznie głębsze, niż to się wydawać może z anegdotycznego sposobu, w jaki się je przeważnie traktuje.

Mimo konieczne ograniczenie pracy tej do jednego prawa, należy dla dobra ścisłości starać się o jak najdokładniejsze sformułowanie matematyczne, aby nie miało ono niezgodnego z prawdą złudzenia prostoty. Tę zewnętrzną dokładność osiągnąć możemy nawet z pominięciem wszystkich w grę wchodzących czynników i z wykluczeniem innych praw, samoistnie działających, przez wprowadzenie czynnika proporcjonalności,

Podana poprzednio formuła była tylko „ekonomicznem“ ujęciem jednostajnych objawów we wszelkich wypadkach pociągu płciowego o idealnej sile natężenia, o ile wogóle stosunek płciowy da się prawem określić. Obecnie podamy formułę, wyrażającą napięcie powinowactwa płciowego we wszelkich możliwych wypadkach, tak zresztą nieokreśloną, aby mogła zarazem służyć za najogólniejszy wyraz stosunku dwóch istot żyjących w ogólności, choćby odmiennego gatunku i tejże samej płci.

$$\begin{array}{c} \text{Jeśli} \\ X \left\{ \begin{array}{l} \alpha' M \\ \alpha K \end{array} \right. \text{ i } Y \left\{ \begin{array}{l} \beta K \\ \beta' M \end{array} \right. \end{array} \quad \left| \quad \begin{array}{c} \text{przyczem znów} \\ O \left\{ \begin{array}{l} \alpha \\ \beta \\ \alpha' \\ \beta' \end{array} \right. < 1 \end{array} \right.$$

oznaczają stopień płciowości dwóch jakichkolwiek istot żyjących, to siła przyciągania między niemi

$$A = \frac{k}{\alpha - \beta} f(t)$$

przyczem $f(t)$ oznacza pewną empiryczną lub analityczną funkcję czasu, podczas którego osobniki mają możność działania na siebie, którybyśmy zatem mogli nazwać „okresem reakcji”; k natomiast jest owym czynnikiem proporcjonalności, w którym zamykamy wszystkie znane i nieznane prawa powinowactwa płciowego i który ponadto jest jeszcze zależnym od stopnia pokrewieństwa gatunkowego, rasowego i rodzinnego, od zdrowia i braku ułomności u obu osobników, a zmniejsza się w miarę większego oddalenia ich od siebie, przeto powinien być w każdym pojedynczym wypadku osobno zbadany.

Jeśli w formule tej $\alpha = \beta$, to $A = \infty$; jest to wypadek najsakrajniejszy pociągu płciowego, działającego z siłą żywiołową, jaką z mistrzostwem niesamowitem przedstawił Lynkeus w noweli p. t. „W dyliżansie pocztowym”. Pociąg płciowy działa z tą samą zgoła koniecznością przyrodniczą, z jaką korzenie rosną ku tlenowi na krawędzi szkiełka podstawowego; do takiego pojmowania rzeczy trzeba się będzie coprawda dopiero przyzwyczaić. Powrócę zresztą niebawem do tej kwestji.

Jeśli $\alpha - \beta$ osiągnie swą wartość maksymalną $\lim (\alpha - \beta) = \text{Max.} = 1$,
to $\lim A = k f(t)$. Jako pewien kresowy wypadek przeto przedstawiają się tu wszelkie wogóle stosunki sympatji i antypatji między ludźmi (nie ma-

ją one jednak nic wspólnego ze stosunkami społecznymi, w znaczeniu najściślejszym, jako czynnikami społecznego ustroju prawnego), o ile one nie podlegają naszemu prawu powinowactwa płciowego. Ponieważ k naogół wzrasta w miarę silniejszych stosunków pokrewieństwa, ma A między współrodakami np. wyższą wartość niż między cudzoziemcami. Jaki wpływ posiada tu czynnik $f(t)$, można bardzo dobrze obserwować na stosunku dwóch razem żyjących zwierząt domowych rozmaitego gatunku: pierwszym u nich odruchem jest zazwyczaj zawzięta ku sobie nienawiść, często wzajemna obawa (A ma wtedy znak ujemny), później dochodzi często między nimi do stosunku przyjacielskiego tak, że się wzajemnie poszukują.

Jeśli dalej w formule $A = \frac{k \cdot f(t)}{\alpha - \beta}$ podstawię $k=0$, to wtedy $A=0$ tj. między dwoma osobnikami pochodzenia nazbyt odmiennego nie istnieje też żaden widoczny stosunek przyciągania.

Wobec tego, że paragraf, dotyczący sodomji w kodeksach karnych nie jest bynajmniej bezprzedmiotowym, że stwierdzono akty seksualne nawet między człowiekiem i kurą, widzimy, że w granicach bardzo szerokich k wynosi więcej niż zero. Nie należy zatem ograniczać dwu w grę tu wchodzących osobników ani do jednego i tego samego gatunku, ani nawet do jednej i tej samej klasy.

Pogląd, że wszelka współmierność ustrojów męskich i żeńskich nie jest rzeczą przypadkową, ale podlega pewnym prawom, jest poglądem nowym,

którego osobliwość — jak tu już przedtem poruszyliśmy — zmusza do dociekań nad głębokiem zagadnieniem tajemniczej natury przyciągania płciowego.

Znane eksperymenty Wilhelma Pfeffera stwierdziły, że plemniki rozmaitych skrytokwiatowców podlegają przyciąganiu nie tylko przez żeńskie rodnice *in natura*, ale również przez składniki, które w zwyczajnych warunkach z nich się rzeczywiście wydobywają lub sztucznie są sporządzane, a nieraz nawet przez takie składniki, które nie znajdują się w przyrodzie, nigdyby zresztą nie miały sposobności zetknąć się z pręcikami, gdyby nie umyślne urządzenia eksperymentalne.

I tak plemniki paproci przyciąga kwas jabłkowy, wytwarzający się z rodni, lecz także kwas taki utworzony syntetycznie, a nawet i kwas maleinowy, plemniki zaś mchów przyciąga cukier trzcinowy.

Plechnik, na który wpływają nie wiadomo w jaki sposób różnice w koncentracji roztworu, porusza się w kierunku silniejszej koncentracji. Pfeffer nazwał ruch ten chemotaktycznym i stworzył dla całokształtu tych zjawisk, jak też dla innych objawów aseksualnych odruchów, pojęcie chemotropizmu.

Wiele względów przemawiałoby za tem, że wpływ przyciągający, jaki samica wywiera na samca (i naodwrot), u zwierzęcia już z odległości narządami zmysłowemi odczuwany, należy w pewnych punktach traktować analogicznie z objawami chemotaktycznymi.

Chemotropizm jest wielce prawdopodobnie przyczyną owego energicznego i uporczywego ruchu, jaki

plemniki także i u zwierząt ssących odbywają samorzutnie całymi dniami bez jakiejkolwiek zewnętrznej pomocy w kierunku przeciwnym, jak rzęsy macicznej błony śluzowej, poruszające się migotliwie od wnętrza ku zewnątrz, od ciała ku szyjce macicy. Z niechybnością niewiarogodną, prawie zagadkową, umie plemnik wbrew wszelkim mechanicznym i innym przeszkodom wyszukać komórkę jajową. Szczególną uwagę zwracają pod tym względem olbrzymie wędrówki niektórych ryb; łososie wędrują całymi miesiącami bez pokarmu z morza w górę przeciwko prądowi Renu, aby w pobliżu jego źródeł, w miejscu bezpiecznem, obfitującym w pokarm, ikrzyć.

Z drugiej strony warto przypomnieć piękny opis procesu zapłodnienia u niektórych niższych śródziemnomorskich wstężyc, skreślony przez P. Falkenberga. Jeżeli mówimy o linjach siły, pchającej ku sobie dwa różnoimienne bieguny magnesu, to mamy tu niemniej do czynienia z podobną siłą przyrody, która z mocą nieodpartą popycha plemniki ku jajom. Różnica polegać będzie głównie na tem, że ruchy materji martwej wymagają zmian stanów napięcia w otaczających medjach, podczas gdy siły materji żywej, zawarte są w ustrojach samych, jako centrach siły. Wedle spostrzeżeń Falkenberga plemniki przewyżczały nawet w swym ruchu ku komórce jajowej siłę, któraby je w innych warunkach wiodła w stronę padającego na nie światła. Wpływ chemotaktyczny, zwany popędem płciowym, byłby zatem silniejszy od fototaktycznego.

Jeśli dwa osobniki nieodpowiednio wedle naturalnych formuł dobrane zawrą związek ze sobą, a później pojawi się osoba, stanowiąca rzeczywiste dopeł-

nienie jednego z nich, budzi się natychmiast z koniecznością przyrodniczą skłonność zerwania związku poprzedniego, jako tymczasowego jeno surogatu stosunku istotnego.

Wiarołomstwo następuje tu z siłą zdarzenia żywiołowego, jako zjawisko przyrody, tak jak przy zetknięciu się związku FeSO_4 z 2KOH jony SO_4 opuszczają natychmiast jony Fe , przechodząc do jonów K . Ktoby ze stanowiska etyki pochwałał lub potępiał przyrodniczy fakt wyrównywania się różnic potencjalnych wydawałby się figurą wielce pocieszną.

To jest też przewodnią myślą Goethego „Ponowowactwo z wyboru”; jak ją tam w czwartym rozdziale części pierwszej, jako figlarne preludjum, pełne nieprzeczuwanych wróżb przyszłości, te właśnie osoby rozwijają, które potem muszą na własnej swej skórze doznać jej głęboką i losem brzemiennej prawdę, a wywody niniejsze poczytują tu sobie za zaszczyt niemały, że po raz pierwszy znów myśl tę podejmują. Zamiarem ich nie jest jest bynajmniej, jak tego i Goethe nie chciał, bronić wiarołomstwa, raczej pragną je tylko wyjaśnić. Istnieją w człowieku pobudki, które wiarołomstwu skutecznie przeciwdziałają i mogą do niego nie dopuścić. O tem się jeszcze mówić będzie w części drugiej. Że i niższa sfera płciowa u człowieka nie podlega tak ściśle działaniu konieczności przyrodniczej, świadczy o tem w każdym razie już ta okoliczność, że człowiek jest we wszystkich porach roku płciowo usposobiony i że w nim ślady osobnej pory wiosennego parzenia

się przejawiają się znacznie słabiej niż nawet u zwierząt domowych.

Prawo powinowactwa płciowego, obok radykalnych oczywiście różnic, okazuje dalej inne jeszcze analogie ze znanymi prawami chemii teoretycznej. I tak reguła nasza jest o tyle analogiczną ze zjawiskami podlegającymi „prawu działania mas“, że np. silniejszy kwas łączy się po większej części z silniejszą zasadą, podobnie jak istoty bardziej męskie z bardziej żeńskimi. W stosunku do martwoty chemicznej zachodzi tu jednak znaczna liczba nowych objawów. Ustrój żywy nie jest przedewszystkiem substancją jednorodną i równosiową na dowolnie liczne, jakościowe równe części podzielny: „*principium individuationis*“, fakt, że wszystko, co żyje, żyje jako indywiduum, jest identyczny z faktem struktury. Tutaj więc nie może tak, jak tam, część większa wejść w związek jeden, mniejsza w inny i utworzyć produkt uboczny. Chemotropizm może być dalej także negatywnym. Poczynając od pewnej wielkości różnicy $\alpha - \beta$ formuła II daje negatywną, tj. działającą w przeciwnym kierunku siłę przyciągania, znak zmienia się w ujemny: zachodzi zjawisko płciowego odpychania się. Wprawdzie i w martwych ‘procesach chemicznych może być ta sama reakcja, wywołana z szybkością rozmaita. Nigdy jednak, przynajmniej wedle poglądów najnowszych, zamiast absolutnego braku (w naszym wypadku możnaby rzec przeciwieństwa) reakcji, nie można katalizatorem sprowadzić przecieź też samą reakcję w czasie dłuższym lub krótszym; natomiast da się bardzo łatwo wytworzyć związek, który

przy pewnej temperaturze powstaje, przy wyższej zaś znów się rozkładać może i naodwrot. Jeśli tu kierunek reakcji jest funkcją temperatury, to w tamtym wypadku jest on często funkcją czasu

W znaczeniu czynnika t , „czasu reakcji“ tkwi zaś bez wątpienia ostatnia analogja pociągu płciowego ze zjawiskami chemicznymi, o ile się wogóle z góry porównań takich zasadniczo nie odrzuca. I tutaj dałaby się pomyśleć formuła dla chyżości reakcji, dla rozmaitych stopni szybkości, z jaką się reakcja płciowa między dwoma osobnikami rozwija, możnaby np. spróbować różnicowania wielkości A wedle t . Ale „przepychem matematycznym“ (Kant) niech nikt nie da się skusić do zastosowania iloczy-nów różniczkowych w stosunkach tak zawitych i trudnych, przy funkcjach o bardzo właśnie problematycznej ciągłości. O co tu chodzi, rzeczą jest i tak dostatecznie jasną: między dwoma osobnikami, przez dłuższy czas razem przebywającemi, a zwłaszcza razem zamkniętymi, pożądanie zmysłowe może się rozwinąć nawet tam, gdzie go zgoła nie było lub gdzie nawet działała siła odpychająca, podobnie jak bardzo wiele czasu potrzeba, zanim się pewien proces chemiczny ujawni. Po części na tem przecież opiera się owa pociecha, udzielana parom pobierającym się bez miłości, że ta się już później“ pojawi, że „z czasem ona przyjdzie“

Jak widać, nie należy zbytnej wagi przywiązywać do analogij z powinowactwem, zachodzących w martwych zjawiskach chemicznych. Wydawało mi się jednak pouczającą rzeczą sprawę z tej strony rozpatrzyć. W każdym razie pozostaje i to nawet kwestją

nie rozstrzygniętą jeszcze, czy pociąg płciowy można wogóle zaliczać do kategorii tropizmów. a gdyby to nawet co do zjawisk płciowych było już na pewno stwierdzone, nie przesądzałoby to włącznie zgola jeszcze w niczem o sprawach erotyki. Zjawisko miłości wymaga jeszcze innego rozpatrzenia, którem się mamy zająć w części drugiej. A przecież między formami objawiania się najnamiętniejszego pociągu nawet u ludzi a owymi zjawiskami chemotropicznymi, istnieją jeszcze analogie niezaprzeczalne; wystarczy odesłać czytelnika do opisu stosunku między Ewardem i Otylją w Goethego „Powinowactwach z wyboru”.

Wymieniając romans ten, poruszyliśmy już raz w krótkości zagadnienie małżeństwa, a kilka praktycznych wniosków, z wywodów teoretycznych niniejszego rozdziału wynikających, chcemy zastosować przedewszystkiem do tego również zagadnienia. Ustanowione tu dla pociągu płciowego naczelne prawo, do którego inne wydają się z budowy bardzo podobnemi, orzeka, że wobec niezliczonej liczby pośrednich form płciowych, muszą tem samem istnieć dwa osobniki, najlepiej do siebie przystające. O tyle zatem małżeństwo jest uzasadnione, a „miłość wolną” musiałoby się z tego biologicznego punktu widzenia odrzucić. Oczywiście, że inne okoliczności np. okresy, o których później mówić będziemy lub wspomniane już zmiany gustu, zachodzące z biegiem lat, wikłają znów w wysokim stopniu kwestję monogamji, zmniejszając łatwość jej rozwiązania.

Inny wniosek nasuwa przypomnienie objawów

różnosłupkowości, w szczególności zaś tego faktu, że z „zapłodnienia nieprawego“ powstają prawie same załazki, niezdolne do rozwoju. To właśnie doprowadza na myśl, że i u innych stworzeń potomstwo najsilniejsze i najzdrowsze pochodzi ze związków, w których wzajemny pociąg płciowy działa w wysokim stopniu. Zdawien dawna też lud ma zapatrywania całkiem szczególne „o dzieciach miłości“, wierząc, że wyrastają z nich ludzie piękniejsi, lepsi, doskonalsi. I kto nawet nie czuje w sobie powołania na hodowcę rasy ludzkiej, musi na tej podstawie już choćby dla względów higienicznych małżeństwa dla pieniędzy potępiać.

Mimoходом zaznaczę dalej, że przestrzeganie praw przyciągania płciowego powinno by może wywrzeć pewien wpływ na hodowlę zwierząt. Zwracać się będzie większą niż dotąd uwagę na drugorzędne przedewszystkiem znamiona płciowe obu okazów, przeznaczonych do sparowania. Sztuczne procedury, podejmowane celem stanowienia samic z rozplodnikami, chociażby mało do nich upodobania mającemi, w poszczególnych wypadkach zapewne wcale celu swego nie chybiają, naogół jednak towarzyszą im stale pewne następstwa ujemne; ogromna nerwowość naprzykład splodzonych przez stanowienie nieodpowiednich klaczy ogierów, które naprzekór wszystkim nowomodnym młodzieńcom muszą być karmione bromem i innemi medykamentami, da się z pewnością ostatecznie stąd wywieść, podobnie jak do fizycznego zwyrodnienia współczesnego żydostwa w stopniu zapewne nie najmniejszym przyczynia się okoliczność, że u żydów znacznie częściej, niż gdzie-

kolwiek indziej na świecie nie miłość, ale stręczyciel kojarzy małżeństwa.

Darwin w swych i pod tym względem fundamentalnych pracach stwierdził bardzo rozległymi eksperymentami i obserwacjami, sprawdzonemi później powszechnie, że osobniki zarówno całkiem blisko ze sobą spokrewnione, jak i z drugiej strony, należące do odmian zbyt od siebie rozbieżnych, słabiej się wzajem płciowo przyciągają, niż inne „nieznacznie się między sobą różniące” i że jeśli tam mimo to zapłodnienie ma miejsce, to albo zarodek zamiera w początkowych stadjach rozwoju, albo powstaje twór słabowity i sam po większej części już niezdolny do rozmnażania; tak właśnie, jak i u roślin różnosłupkowych, „zapłodnienie prawe” dostarcza więcej nasion i lepszych, niż wszelkie inne kombinacje,

Najlepiej zatem powodzi się tym zarodkom, których rodzice odznaczeni się największem powinowactwem płciowem.

Z reguły tej, którą niechybnie za powszechnie prawdziwą poczytywać należy, wynika słuszność wniosku z poprzednich wywodów już wyprowadzonego: Jeśli się już zawiera związek małżeński i płodzi dzieci, niechże one przynajmniej nie pochodzą z przewyciężenia odtrącającej siły płciowej, gdyż to się nie może obejść bez pokrzywdzenia cielesnego i duchowego ustroju dziecka. Napewno stanowią małżeństwa bez miłości znaczną część małżeństw bezdzietnych. Stare doświadczenie, wedle którego obustronne podniecenie płciowe podczas aktu płciowego podnosi szanse zapłodnienia, należy

oczywista po części także do tej sfery zagadnienia, a silniejsze natężenie popędu płciowego, działające od samego początku między dwojgiem osobników, wzajem ściśle się dopełniających, czyni je łatwiej zrozumiałem.

ROZDZIAŁ IV.

Homoseksualizm i pederastja.

W wyluszczonej prawie postaci pociągu płciowego mieści się zarazem — od dawna poszukiwana — teoria opacznego popędu płciowego tj. skłonności płciowej ku własnej (a nie lub nie wyłącznie tylko ku drugiej) płci.

Pomijając pewną odrębność, którą później będzie można uwydatnić, wolno śmiało twierdzić, że każdy osobnik z opacznym popędem płciowym posiada także znamiona anatomiczne innej płci. Niema „hermafrodytyzmu czysto psychopłciowego”; mężczyźni, którzy ku mężczyznom czują pociąg płciowy są także w swym zewnętrznym wyglądzie mężczyznami kobiecymi, a podobnie posiadają niewiasty, pożądające zmysłowo inne kobiety, fizyczne znamiona męskie. Pogląd ten z punktu widzenia ściślejszej równobieżności zjawisk fizycznych i psychicznych rozumie się sam przez się; zastosowanie jego jednak wymaga uwzględnienia faktu w rozdziale drugim naprowadzonego, że części jednego ustroju nie zajmują wszystkie jednakowego położenia między punktami M i K, ale rozmaite jego narządy mogą być w rozmaitym stopniu męskie, albo żeńskie. U odwrócenia płciowego nie brak zatem nigdy ia-

kłegoś anatomicznego zbliżenia się do innej płci.

Już toby wystarczyło do zbicia zapatrywania, uważającego popęd płciowy za właściwość, nabytą przez dotyczącego osobnika w ciągu życia i wyrugowującą prawidłowe uczucia płciowe. W takie nabytki, wywoływane zewnętrznymi bodźcami w ciągu życia indywidualnego wierzą wybitni badacze Schrenck-Notzing, Kräplin, Féré; bodźców tych dopatrują się oni w powstrzymywaniu się od obcowania „prawidłowego” i zwłaszcza w „uwiedzeniu”. Jakże się jednak rzecz ma wówczas z uwodzicielem pierwszym? Byłoby on uczony przez samego boga Hermafrodytosa? Cały ten pogląd przedstawiał mi się zawsze nie inaczej jak gdyby ktoś chciał „prawidłową” skłonność płciową typowego mężczyzny ku typowej kobiecie uważać za sztucznie nabytą i ośmielał się twierdzić, że źródło swe ma ona zawsze we wskazówkach starszych kolegów, którzy przypadkowo kiedyś odkryli rozkosz obcowania płciowego. Tak jak osobnik „prawidłowo” usposobiony dowiadyuje się zgoła sam z siebie, czym jest kobieta, tak też i u osobnika z odwróconym popędem płciowym występuje pociąg ku osobom tejże samej płci sam z siebie, w toku jego rozwoju indywidualnego, drogą procesów ontogenetycznych, działających poprzez moment narodzin przez ciąg całego życia. Oczywiście, że musi się nadarzyć sposobność, aby żądza wykonywania aktów homoseksualnych się ujawniła, sposobność taka jednak to tylko w stan czynny może wprawić, co już oddawna w stopniu większym

lub mniejszym tkwiło w osobnikach, czekając tylko upustu.

Że przy wstrzemięźliwości płciowej (aby nie pominąć drugiego z rzekomych przyczyn opacznego uczucia płciowego), nasuwać się może oprócz masturbacji coś innego jeszcze, toby właśnie musieli zwolennicy teorii nabytych popędów wyjaśnić, ale już w własnościach wrodzonych tkwić musi przysposobienie do pożądania i wykonywania aktów homoseksualnych właśnie. Wszak i heteroseksualny popęd możnaby nazwać „nabytym“, gdyby się kładło nacisk na wyraźne stwierdzenie, że np. mężczyzna heteroseksualny musi jakąś kobietę lub wizerunek kobiety zobaczyć, aby się zakochać. Ale kto odwrócone uczucia płciowe uważa za nabyte, stoi zgola z tym narówni, któryby wyłącznie tę tylko okoliczność podnosił, a wykluczał całą przyrodzoną istotę człowieka, — przez którą przecież jedynie pewne pobudki właściwy sobie wpływ wywrzeć mogą, aby jakieś uboczne zdarzenie zewnętrznego życia, jako ostateczny „warunek dopełniający“ czy też „przyczynę cząstkową“ uczynić wyłącznym sprawcą całości wyniku.

Nie będąc nabytym, nie jest też popęd płciowy bynajmniej odziedziczonym po rodzicach lub dziadkach. Tego też co prawda w tej formie nie twierdzono, byłoby to bowiem na pierwszy rzut oka sprzeczne z całym doświadczeniem; usiłowano jednak przedstawić, że wynika on z ustroju nawskroś neuropatycznego, z ogólnego obciążenia dziedzicznego, objawiającego się w potomku właśnie także przez zwyrodnienie instynktów płciowych. Zaliczano

całe zjawisko do dziedziny psychopatologii, traktując ludzi, dotkniętych temi objawami. jako chorych. Jakkolwiek pogląd ten obecnie znacznie mniej ma zwolenników niż przed kilku jeszcze laty, odkąd Krafft-Ebing, przedtem główny jego przedstawiciel, w późniejszych wydaniach swej „*psychopathia sexualis*“ milcząco go fałszywym uznał, mimo to zawsze jeszcze przyda się podnieść, że ludzie z opacznym popędem płciowym mogą być pod każdym innym względem całkiem zdrowi i pomijając uboczne czynniki społeczne, mogą się czuć równie dobrze, jak wszyscy inni zdrowi ludzie, Zapytani, czy życzą sobie wogóle pod tym względem być inaczej usposobionymi, jak są, odpowiadają bardzo często przecząco.

Wszystkie te chybione próby wyjaśnienia stąd pochodzą, że wyodrębniono całkowicie zjawisko homoseksualizmu, nie starając się powiązać go z innymi faktami. Kto „inwersje płciowe“ uważa za coś patologicznego, za jakieś potworne wypaczenie organizacji duchowej, jak to jest poglądem usankcjonowanym przez filistra, lub zgoła widzi w nich występny nawyk, wynik przekłętogo uwiedzenia, niechaj zważy, jak nieskończenie wiele przejść prowadzi od mężczyzny o ustroju krańcowo męskim poprzez mężczyznę z ustrojem niewieścim i mężczyznę z odwróconym popędem płciowym do hermafrodytyzmu, zwanego *spurius* i *genuinus*, stąd zaś poprzez trybadę i dalej poprzez *Virago* do *Virgo* z ustrojem kobiecym. Osobniki z odwróconym popędem płciowym („obojga płci“) można po myśli przedstawionego tu zapatrywania określić jako indywidua, w których ułamek α wynosi około 0.5, a przeto niewiele się różni

od α (patrz str. 18), które zatem mniej więcej tyleż męskich, co żeńskich pierwiastków posiadają, zazwyczaj nawet więcej żeńskich, lubo uchodzą za mężczyznę a może i więcej męskich, uchodząc za kobiety. I tak odpowiednio do niezawsze równomiernego rozkładu znamion płciowych na ciele jest rzeczą pewną, że bardzo często na podstawie wyłącznie pierwszorzędnych znamion płciowych zalicza się bez wahania osobniki do płci, na którą znamiona te wskazują tak, że następnie otrzymują one np. wychowanie męskie, powoływane są do służby wojskowej itd., jakkolwiek w nich *descensus testiculorum* później dopiero występuje lub zachodzi wypadek epispadii czy hypospadii, albo się później pojawia azoospermia, lub też ma miejsce (u płci żeńskiej) *atresia vagina*, słowem jakkolwiek u nich $\alpha < 0.5$, $\alpha' > 0.2$. Zgodnie z tem, osobniki takie znajdują swe dopełnienie płciowe pozornie po tej samej stronie, to jest po tej, do której sami należeć się wydają, stojąc w gruncie rzeczy już po stronie przeciwnej.

Zresztą niema człowieka z odwróconym popędem płciowym, któryby był takim wyłącznie, co służyć może na poparcie mego zapatrywania. z drugiej strony w niem dopiero znajduje dostateczne wyjaśnienie. Wszyscy oni od początku są dwupłciowi tj. mogą obcować płciowo zarówno z mężczyznami jak z kobietami. Możliwem jest jednak, że sami się później starają o jednostronne wyrobienie się jednej płci, poddając się wpływowi, działającym w nich na rzecz jednosłupkowości, tak że w ten sposób wytwarzają w sobie ostatecznie przewagę heteroseksualizmu i homoseksualizmu albo dają zewnętrznym wpływom w tym kierunku na siebie działać;

jakkolwiek dwupłciowość przez to nigdy nie wygasa i czasowo tylko wyparta raz wraz znać o sobie daje.

Że istnieje związek objawów homoseksualnych z dwupłciowością związków wszystkich zwierzęcych i roślinnych zarodków, przyznawano to wielokrotnie, w ostatnich czasach coraz częściej. Nowością w naszym przedstawieniu rzeczy jest, że tu homoseksualizm nie stanowi ani uwstecznienia, ani niedorozwoju, ani wadliwego zróżniczkowania płci, jak w innych badaniach, że tu on wogóle już nie jest nieprawidłowością, występującą wyjątkowo na tle całkowicie już dokonanego podziału płci, jako szczątek dawnego jej niezróżniczkowania. Przeciwnie, nasz pogląd ustanawia związek homoseksualizmu, jako właściwości płciowej pośrednich stopni płciowych z ciągłym szeregiem pośrednich form płciowych, które za jedyne rzeczywiste uznaje, uważając formy krańcowe tylko za typy idealne. W myśl tego poglądu wszystkie stworzenia są zarówno heteroseksualne, jak tem samem są wszystkie także i homoseksualne.

O tem, że w każdym stworzeniu ludzkim, odpowiednio do mniej lub więcej szczątkowo utajonej w niem drugiej płci, tkwią przynajmniej bardzo słabe skłonności do homoseksualizmu, świadczy szczególnie dobitnie fakt, iż przed dojściem do dojrzałości w wieku, w którym stosunkowo jeszcze przeważa brak zróżniczkowania, a wewnętrzny proces wydzielniczy gruczołów płciowych nie wywarł jeszcze rozstrzygającego wpływu na stopień jednostronnego charakteru płciowego, jest zarówno u męskiej, jak i żeńskiej płci, zwyczajnem zjawiskiem marzycielska

„przyjaźń młodości“, nie pozbawiona nigdy całkowicie pierwiastka zmysłowego.

Kto i w wieku późniejszym marzy jeszcze zbyt-
nio o „przyjaźni“ z osobami płci własnej, ma już
w sobie oczywista silną domieszkę pierwiastków płci
drugiej; atoli stopień jeszcze znacznie dalszy w ska-
li pośredniości ujawniają ci, którzy zachwycają się
koleżeństwem między obojgiem płci, umieją z płcią
drugą, do której przecież sami w gruncie rzeczy na-
leżą, obcować w sposób koleżeński bez konieczno-
ści czuwania nad swemi uczuciami, służąc jej, jako
zaufani powiernicy i tego rodzaju „idealne“, „czy-
ste“ stosunki chcą narzucić innym, którzy nie po-
trafią z taką łatwością utrzymać się w „czystości“.

Niema też przyjaźni między mężczyznami, któ-
raby była całkiem pierwiastka płciowości pozbawiona,
jakkolwiek zgoła to istoty przyjaźni nie znamionuje
i pierwiastek płciowy raczej wprost razi samą myśl
o przyjaźni, będąc ideą jej prostym przeciwień-
stwem. Dostatecznym dowodem słuszności tego
jest, że mężczyźni nie nawiązują ze sobą przyjaźni,
jeżeli ich powierzchowność nie budzi w nich zgoła
wzajemnej sympatji, gdyż wtedy właśnie nigdy ku
sobie wzajem zbliżyć się nie mogą. Wiele przykła-
dów „wziętości“, protekcji, nepotyzmu między męż-
czyznami ma swe źródło w tego rodzaju nieświadomych
stosunkach płciowych.

Objawom płciowo zabarwionej przyjaźni młodo-
ści odpowiada prawdopodobnie analogiczne zjawisko
u mężczyzn starszych: tj. w wieku starszym, kiedy
wraz z wstecznem przekształcaniem się znamion płcio-
wych jednostronnie w wieku męskim rozwiniętych,
utajona obupłciowość znów na jaw występuje. To jest

prawdopodobnie przyczyną, że tak wielu mężczyzn ponad lat 50 bywa sądownie pozywanych o „występki nieobyczajności“.

W niemałej ilości wreszcie obserwowano akty homoseksualne także i u zwierząt. Zestawienie wypadków tych (nie wszystkich) z literatury zawdzięczamy F. Karschowi. Niestety badacze nie podają nam prawie żadnych wskazówek o stopniu „męskości i żeńskości“ tych zwierząt. Mimo to nie może podlegać wątpliwości, że mamy tu do czynienia z dowodem, stwierdzającym prawdziwość naszego prawa i dla świata zwierząt. Jeżeli się przez dłuższy czas trzyma byki pod zamknięciem, do krów ich nie dopuszczając, można u nich z czasem zobaczyć akty odwrotnie płciowe i jedno z nich, bardziej żeńskie, popadają w to wcześniej, inne później, niektóre może wcale nie. (Właśnie wśród bydła stwierdzono już znaczną liczbę pośrednich form płciowych). Dowodzi to, że skłonność już w nich tkwić musiała, tylko że przedtem żądę swą mogły lepiej zaspokoić. Trzymane pod zamknięciem byki nie inaczej się właśnie zachowują, jak się to dzieje w więzieniach ludzkich, w internatach i konwiktach.

W tem, że zwierzęta, wśród których pośrednio formy płciowe także istnieją, znają również nietylko onanie (występującą u nich, tak jak u człowieka), ale i homoseksualizm, widzę jeden z najsilniejszych dowodów, potwierdzających słuszność sformułowanego tu prawa pociągu płciowego.

Opaczne uczucie płciowe staje się tak dla teorii tej nie jakimś wyjątkiem od prawa przyrodniczego, ale jednym ze szczególnych jego pojavów.

Osobnik, będący mniej więcej nawpół mężczyzną, nawpół kobietą, wymaga właśnie w myśl naszego prawa, jako dopełnienia swej istoty, osobnika, złożonego mniej więcej z tyłuż samych części obojczy płci. To jest przyczyną zjawiska, czekającego wszak również na wyjaśnienie, że osoby z odwróconem usposobieniem płciowem potrzeby swe płciowe zaspokajają prawie zawsze tylko między sobą i nader rzadko dostanie się do ich koła ktoś z niepożądających tej samej co oni formy zaspokojenia — pociąg płciowy działa wzajemnie — i on to jest najpotężniejszym czynnikiem, sprawiającym że homoseksualni zawsze się natychmiast wzajemnie poznają. Stąd atoli pochodzi również, że ludzie „normalni” pojęcia nie mają o ogromnem rozpowszechnieniu homoseksualizmu, a najgorszy rozpustnik z „prawidłowym popędem płciowym”; dowiadując się nagle o takim akcie, czuje się w pełni uprawnionym do potępienia „tego rodzaju potworności”. Pewien profesor psychiatrii na jednej z niemieckich wszechnic podał jeszcze w r. 1900 na serjo wniosek, aby homoseksualnych poprostu kastrować.

Zabiegi lecznicze, któremi dziś usiłują zwalczać opaczność płciową (jeśli wogóle gdzie próby takie są podejmowane), są wprawdzie mniej radykalne niż przytoczona rada, ale ujawniają w praktyce całkowitą niedostateczność wielu teoretycznych poglądów na istotę homoseksualizmu. I tak, leczy się obecnie dotyczących osobników hypnozą, — dzieje się to głównie, rzecz zrozumiała, ze strony wyznawców teorii nabywania: usiłuje się im drogą sugestji wpoić wyobrażenie kobiety i „prawidłowego” czynnego z nią spółkowania i w ten sposób ich do tego przyzw-
•

czaić. Skutek jest, o ile się przyznano, minimalny.

Z naszego punktu widzenia, rozumie się to samo przez się. Hypnotyzer kreśli pacjentowi typowy obraz (I) kobiety, który w odniesieniu do całej wrodzonej mu istoty, do jego nieświadomej wprost przez suggestję nie dającej się osłabić natury, jest dlań odstręczającym. Albowiem dopełnieniem jego nie jest K, i lekarz nie powinien go wysyłać do pierwszej lepszej za pieniądze kupnej prostytutki, aby swą kurację, która w pacjencie mogła tylko jeszcze wzmoczyć wstręt do „prawidłowego” spółkowania, w ten godny jej sposób ukoronować. W myśl naszej formuły, do pełnienia osobnika z opacznym popędem płciowym est raczej właśnie kobieta, jak najbardziej męska, lesbijka, trybadka. I rzeczywiście, jest ona też prawie jedyną kobietą, pociągającą mężczyznę z opacznym popędem płciowym, jedyną, która mu się podoba. Jeśli zatem „terapia” odwróconego uczucia płciowego musi już być koniecznie stosowana i nie mamy wogóle zrzec się jej zabiegów, to w myśl tej teorii należy wysyłać mężczyznę z opacznym popędem do takiejże kobiety, homoseksualistę do trybady. Celem tego zarządzenia powinno być atoli tylko ułatwienie im obojgu posłuszeństwa prawomocnym jeszcze (w Anglii, Niemczech i Austrii) śmiesznym ustawom przeciwko aktom homoseksualnym, do których skasowania niniejsze pismo również chce się przyczynić. W części drugiej niniejszej pracy postaramy się wyjaśnić, dlaczego czynne prostytuowanie się mężczyzny w akcie płciowym, przez niego dokonywanym, jak też bierne oddawanie mu się innego mężczyzny o tyle silniej jest odczuwane, jako

coś plugawiającego, niż, jak się zdaje, hańba obcowania płciowego mężczyzny z kobietą. Samo przez się bowiem niema żadnej pod względem moralnym różnicy między jednym i drugim. Mimo wszystkie ulubione dziś brednie o różnych prawach dla rozmaitych osobistości, istnieje dla wszystkiego, co ludzkie ma oblicze, jedna tylko równa i powszechna etyka, tak, jak jest tylko jedna, a nie więcej logik. Zgoła zaś niegodnem i sprzecznem z zasadami prawa karnego, karcącego tylko przestępstwo, a nie grzech, jest zabraniać homoseksualiście obcowania płciowego na modłę mu właściwą, a zezwalać heteroseksualistom ich obcowania, skoro zarówno to, jak tamto, odbywa się bez wywoływania „publicznego zgorszenia“. Logicznem byłoby tu jedynie, zezwolić osobnikowi na zaspokojenie swych opacznych popędów płciowych tam, gdzie tego szukają: między sobą (pomijając tu zgoła punkty widzenia czystej humanitarności i prawa karnego, pojmowanego nie wyłącznie tylko, jako „odstraszającego“ społeczno-pedagogicznego systemu).

Cała ta teoria, wydając się całkiem wolną od sprzeczności, jest w sobie zamkniętą i umożliwia zupełnie zadowalniające wyjaśnienie wszystkich tu przynależnych objawów. Na koniec wywodów musimy jednak jeszcze wyruszyć z faktami, które będą jej z pewnością przeciwstawiane i które też istotnie zdają się obalać system, pociągający tę płciową „przewrotność“ pod pośrednie formy płciowe i prawo ich obcowania płciowego. Podczas gdy w odniesieniu do kobiet z odwróconym popędem płciowym, wywody powyższe poniekąd wystarczają, istnieją oto rzeczywiście i ponad wszelką wątpliwość mężczyźni.

w bardzo nieznacznym stopniu kobieco usposobieni, na których mimo to osoby płci własnej wywierają wpływ silny, silniejszy niż na innych mężczyzn, bardziej może niż oni kobieco usposobionych, a wpływ ten wywierać może dalej na nich mężczyzna także i z dużą przewagą męskich pierwiastków i to w stopniu znacznie silniejszym niż wrażenie, jakie na nich wogóle wywrzeć zdołałaby kobieta. Albert Moll powiada słusznie: „Istnieją psychoseksualni hermafrodyty, którzy odczuwają pociąg do obu płci, którzy jednak w każdej płci miłują tylko typowe jej właściwości, z drugiej zaś strony są psychoseksualni (?) hermafrodyty, którzy w tej lub tamtej płci nie kochają typowych jej właściwości, i którym one są obojętne, po części nawet odstręczające“. Na tej różnicy opiera się więc w nagłówku tego rozdziału zaznaczona odrębność homoseksualizmu i pederastji. Podział ten da się niezawodnie uzasadnić; za homoseksualnego uważamy ten typ „płciowej przewrotności“, który po myśli wyłuszczonego tu prawa, daje pierwszeństwo mężczyznom w wysokim stopniu kobiecym, oraz kobietom w wysokim stopniu męskim; pederasta natomiast może się kochać w bardzo męskich mężczyznach, ale również i w niewiastach bardzo kobiecych, o ile pederastą nie jest. Atoli skłonność do płci męskiej będzie u niego przecież silniejszą i głębszą, niż do płci żeńskiej. Kwestja przyczyny pederastji stanowi zagadnienie oddzielne, które dla roztrząsań niniejszych pozostanie całkiem nierozwiązanem.

ROZDZIAŁ V.

Charakterologia i morfologia.

Na podstawie współrzędnej równoległości objawów fizycznych z objawami psychicznymi, mniejsza o to na czym polegającej, należy z góry przewidywać, że rozległemu zakresowi stosunków morfologicznych i fizjologicznych, w których zasadę pośrednich stopni płciowych dało się stwierdzić, odpowiadać będzie pod względem psychologicznym plan co najmniej równie bogaty. Istnieją napewno także psychiczne typy męzczyzny i kobiety (przynajmniej wyniki dotychczasowe stawiają zadanie wyszukania takich typów), typy, których rzeczywistość nigdy nie realizuje, wypełniona w dziedzinie duchowej równie bogatą skalą pośrednich form płciowych, jak w dziedzinie cielesnej. Są zatem jak najlepsze widoki, że zasada nasza sprawdzi się i na duchowych właściwościach, rozjaśniając cokolwiek zawily mrok, przysłaniający nauce ciągle jeszcze psychologiczne różnice między poszczególnymi ludźmi. Stanowi ona krok naprzód ze względu na zróżnicowane rozpatrywanie także i duchowej budowy każdego człowieka, gdyż naukowo nie będzie się już mówić o bezwzględnie męskim lub żeńskim charakterze pewnego osobnika, ale zważać się będzie i pytać

o to, ile mężczyzny i ile kobiety tkwi w pewnym człowieku? Czy to on czy ona w dotychczasem indywiduum to lub owo uczyniła, powiedziała, pomyślała?

Ułatwiając indywidualizowanie opisu wszystkich ludzi i wszystkiego, co ludzkie, nowa ta metoda prowadzi w kierunku przedstawionego na wstępie rozwoju wszelkiego badania: wszelkie poznanie bowiem, wychodząc z pojęć średnio-ogólnych, postępowało zdawien dawna w dwóch rozbieżnych kierunkach, tak ku najogólniejszemu pojęciu, obejmującemu cechy wspólne wszystkim jednostkowym przedstawieniom, jak zarazem ku zjawisku najbardziej indywidualnemu, najbardziej jednostkowemu. Dlatego niezawodnie uzasadnioną jest nadzieja, że zasada pośrednich form płciowych posłuży za najsilniejsze oparcie dla nierozwiązanego jeszcze w nauce zadania charakterologii, co właśnie uprawnia do próbnego, metodycznego zastosowania jej, jako reguły heurystycznego w „psychologii indywidualnych różnic” czyli w „psychologii różnicowań”. A zastosowanie jej w celach charakterologicznych, na polu zatem dotąd prawie wyłącznie przez literatów tylko uprawianem, przez naukę zaś całkowicie jeszcze zaniedbywanem, z tem większą może radością powitać należy, że nadaje się ona bezpośrednio do wszelkiego ilościowego stopniowania, umożliwiając tem samem także i w zakresie duchowym formułowanie procentowej, że tak powiem, zawartości pierwiastków M i K, w każdym osobniku tkwiących. Że anatomiczne wyjaśnienie stanowiska płciowego, jakie powinien ustroić zajmuje pomiędzy mężczyzną i kobietą, nie rozwiązuje jeszcze zadania tego, które pod

względem ogólnym wymaga osobnego jeszcze rozpatrzenia, choćby nawet w szczególnych wypadkach, można tu było częściej stwierdzić kongruencję, niż inkongruencję, wypływa to już z wywodów rozdziału drugiego o nierównomierności, zachodzącej nawet między poszczególnymi częściami i właściwościami ciała jednego i tego samego osobnika pod względem stopnia ich męskości lub żeńskości.

Nie należy przytem sądzić, jakoby współistnienie obok siebie w jednym człowieku pierwiastków męskich i żeńskich były w zupełności lub w przybliżeniu całkowicie równorzędne i współczesne. Ważny i nowy szczegół, który na tem miejscu podnieść należy, nietylko przyda się, jako wskazówka wyjaśniająca do tem odpowiedniejszego psychologicznego spożytkowania zasady, ale i uzupełnia w znacznej mierze wywody poprzednie. I tak: każdy człowiek waha się i oscyluje między mężczyzną i kobietą w nim tkwiącym raz wraz w jedną i drugą stronę; wahanie te, jakkolwiek mogą być u jednych niezmiernie wielkie, u innych małe, aż do niepoznaki, odbywają się jednak zawsze, uwidoczniając się w razie znaczniejszych odchyień także zmianą cielesnego wyglądu dotyczących osobników. Te odchylenia nacechowania płciowego dzielą się podobnie, jak odchylenia magnetyzmu ziemi na prawidłowe i nieprawidłowe. Prawidłowe są albo małemi wahaniami: np. niektórzy ludzie czują wieczorem bardziej po męsku niż zrana; albo należą do dziedziny większych i wielkich okresów życia organicznego, na które zaledwie dopiero zaczęto zwracać uwagę i których zbadanie, powinnyby, jak

się zdaje, rzucić światło na zgoła jeszcze nieobliczalną liczbę zjawisk. Wahania nieprawidłowe powstają prawdopodobnie wskutek czynników zewnętrznych, przede wszystkim pod wpływem charakteru płciowego osób postronnych. One to zapewne warunkują po części owe ciekawe zjawiska psychologicznego ustawienia, grające w psychologii tłumu rolę najwybitniejszą, jakkolwiek dotąd nie zwrócono na nie należytej im uwagi. Słowem, dwupłciowość nie występuje w jakimś jednym momencie, ale psychologicznie ujawnić się może tylko w momentach po sobie następujących, mniejsza o to, czy te czasowe różnice nacechowania płciowego podlegają pod względem czasu prawu periodyczności, czy nie, czy wahanie po stronie jednej płci mają inne odchylenia, jak wahania po stronie płci drugiej, czy też łuk wahadłowy fazy męskiej jest taki sam, jak fazy żeńskiej (co bynajmniej nie jest konieczne i stanowi przeciwnie tylko jeden z niezliczonych, równie możliwych wypadków).

Niezawodnie zatem możnaby już w zasadzie, nie przeprowadzając dla sprawdzenia żadnej jeszcze próby, skłaniać się do przyznania, że zasada pośrednich form płciowych umożliwia lepszy opis charakterologiczny indywiduów, nakazując szukać stosunku, w jakim pierwiastki męskie i żeńskie składają się na każde poszczególne indywiduum i wyznaczać amplitudę wahań, do jakich kto na obie strony jest zdolny. Stajemy jednak przed pytaniem, co do którego musi tutaj zapaść decyzja, gdyż od odpowiedzi na nie zawisł prawie wyłącznie dalszy tok tych dociekań. Chodzi o to, czy mamy najpierw, przebiegając nieskończenie bogatą dziedzinę pośrednich stopni

płciowych, całą różnorodność płciową w zakresie duchowym, starać się o zdobycie możliwie wiernych zdjęć stosunków faktycznych w punktach szczególnie się do tego nadających, czy też dalsze nasze doczekania rozpocząć mamy ustanowieniem typów płciowych, podejmując i przeprowadzając konstrukcję „idealnego mężczyzny” i „idealnej kobiety”, zanim rozpatrzymy *in concreto* różnorakie możliwości ich empirycznego połączenia i zanim zbadamy, o ile obrazy, utworzone w drodze deduktywnej, z rzeczywistością się pokrywają. Pierwsza droga zgodnie z psychologicznym porządkiem, w jakim myśli się zawsze rozwijają, postępując ku pojęciom ogólnym, czerpać może idee tylko z rzeczywistości, typy płciowe tylko z jedynie realnej różnorodności płci: byłaby to droga induktywna i analityczna. Druga droga: deduktywna i syntetyczna górowałaby nad pierwszą formalnie logiczną swą ścisłością.

Tą drugą drogą z tego powodu pójść nie chciałem, że mając dwa ściśle określone typy, każdy stosować może je z łatwością i całkiem samodzielnie do konkretnej rzeczywistości, ponieważ wystarczy znajomość stosunku, w jakim oba te typy są zmieszane, co i tak w każdym poszczególnym wypadku zawsze na nowo i osobno stwierdzone być musi, aby mieć już możliwość pogodzenia teorii z praktyką; po wtóre także dlatego, że (gdybyśmy, przypuśćmy, użyli przekraczającej kompetencję autora formy historyczno-biograficznych badań) musielibyśmy wciąż na nowo powtarzać rzeczy raz powiedziane, i zapuszczając się tak w szczegóły nie odnieśliśmy dla teorii żadnej korzyści, całe zainteresowanie

budząc na rzecz indywidualnych osobistości. Droga pierwsza, indukcyjna, jest dlatego niedogodną, że w tym znów wypadku obowiązek ciągłego powtarzania przyypadłby na część, mającą przedstawić całokształt typowych przeciwieństw płciowych, a poprzedzający ją rozbiór pośrednich stopni płciowych i połączone z nim preparowanie typów, nudziły przy tem czytelnika, zabierając mu czas bezużytecznie.

Należało przeto przeprowadzić rozkład pracy z innego punktu widzenia.

Ponieważ nie było moją rzeczą rozpatrywać pod względem morfologicznym i fizjologicznym krańcowe formy płciowe, omówilem tutaj tylko zasadę form pośrednich, ale wszechstronnie, o ile sądziłem, że może dać jakie wyjaśnienie, a więc także ze stanowiska biologicznego. Całość niniejszej pracy otrzymała przez to swój kształt ostateczny. Część pierwsza jej poświęcona została wspomnianemu właśnie rozpatrzeniu, podczas gdy druga zajmie się czysto psychologiczną analizą typu M i K, przeprowadzając ją możliwie głęboko i szeroko. Przykłady konkretne złoży sobie już każdy samodzielnie, stosując wiadomości, które ewentualnie tam uzyska i potrafi je z łatwością odtworzyć za pomocą nabytych tam poglądów i pojęć.

Ta druga część będzie się mogła tylko w bardzo małym stopniu oprzeć na znanych i utartych mniemaniach o różnicach duchowych płci. Tutaj jednak dla zaokrąglenia tylko, i nie przypisując im szczególnej wagi, chcę jeszcze w krótkości przytoczyć kilka punktów, dotyczących pośrednich form płciowego duchowego życia, uwidocznic w paru modyfikacjach kilka tylko powszechnie znanych właś-

ciwości, które dokładnej analizie poddane tu jeszcze być nie mogą.

Mężczyźni z naturą kobietą czują nieraz niezwykle silną potrzebę ożenku, chociażby materialnie byli świetnie sytuowani (co podnoszę dla uniknięcia nieporozumień). Oni to też należą do tych, którzy, mając tylko możliwość, w bardzo młodym wieku zawierają małżeństwo. Szczególnie im to zwłaszcza schlebia, gdy mogą mieć za żonę kobietą głośną, poetkę czy malarkę, śpiewaczkę, czy aktorkę.

Mężczyźni kobieco usposobieni są zgodnie ze swą kobiecością i cielesnie bardziej próżni, niż inni mężczyźni. Są i „mężczyźni“, którzy wychodzą na promenadę, aby dać podziwiać twarz swą o rysach kobiecych, zazwyczaj dostatecznie cel ten objawiającą i którym to duże sprawia zadowolenie. Prototyp Narcyza był takim „mężczyzną“. Te same naturalnie osoby dbają niezmiennie o fryzurę, strój, obuwie i bieliznę, ze swej momentalnej pozy, ze swego wyglądu każdodziennego, z najdrobniejszych szczegółów swej toalety, najprzelotniejszego spojrzenia, rzuconego na nich przez innych ludzi, zdają sobie równie ścisłą sprawę, jak to K zawsze czyni, a nawet kokietyują często chodem i ruchami.

U *Viragines* natomiast widzi się często rażące zaniedbanie toalety i brak pielęgnacji ciała; ubieranie trwa u nich często znacznie krócej, niż u niejednego mężczyzny z naturą kobietą. Całe „fircykostwo“ czy „gogostwo“, zarówno jak i po części emancypacja kobiet, pochodzi z łaźnijszego rozmnożenia się tych dwupłciowych stworzeń; wszystko to jest czemś więcej niż tylko „modą“. Wszak o to właśnie zawsze chodzi, dla czego coś może wejść w modę i wo-

góle znacznie mniej niezawodnie rzeczy jest „tylko modą”, niż to widz powierzchownie krytykujący sądzi.

Im jaka kobieta więcej pierwiastków K w sobie posiada, tem mniej będzie męczyznę rozumiała, tem silniej jednakowoż będzie on na nią działał swemi płciowemi właściwościami, tem większe wrażenie wywierać na nią będzie jako mężczyzna. Jest to nietylko zrozumiałe na podstawie wyłuszczonego prawa pociągu płciowego, ale i źródło swe ma w tem, że kobieta tem snadniej będzie w możności przejąć się swem przeciwieństwem, im czystszy jest stan jej kobiecości. Naodwrot, im więcej kto pierwiastków M posiada, tem mniej będzie zdolny rozumieć K, tem przenikliwszych atoli wrażeń doznawać będzie pod wpływem zewnętrznej powierzchowności kobiet, pod wpływem całej ich kobiecości. Tak zwani „znawcy kobiet”, tj. ci, którzy niczem więcej nie są, jak tylko „znawcami kobiet”, są dlatego wszyscy sami po największej części kobietami.

Mężczyźni z usposobieniem bardziej kobiecem umieją też często znacznie lepiej się obchodzić z niewiastami niż mężczyźni pełnej krwi, którzy się tego uczą dopiero po długich doświadczeniach, i to oprócz całkiem konkretnych wyjątków, nigdy w tem wogóle nie dochodząc do zupełnej wprawy.

Obok kilku tych przykładów, zaczerpniętych umyślnie z najtrzywialniejszej sfery trzeciorzędnych znamion płciowych, a mających ilustrować zastosowanie naszej zasady w charakterologii, nasuwają się tu jeszcze przykłady zastosowania jej wyników w dziedzinie pedagogji. I tak, mam nadzieję, że po-

wszechne uznanie wspólnej istoty tak tych i poprzednich, jak i wielu innych jeszcze faktów pociąganie za sobą przedewszystkiem jeden skutek: większe zindywidualizowanie wychowania. Łada szewc, biorący z nóg miarę, musi się lepiej znać na indywidualizowaniu, niż dzisiejsi wychowawcy w szkole i domu, którzy nie umieją w sobie obudzić żywego poczucia tego obowiązku moralnego! Dotąd bowiem wychowuje się pośrednie formacje płciowe (zwłaszcza wśród kobiet) celem możliwie krańcowego zbliżenia ich do męskiego lub żeńskiego dealu konwencjonalnej marki, uprawia się duchową ortopedję, torturującą w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Tem się nietylko usuwa ze świata mnogość zrozumienia, ale przytłumia się wiele związków, któreby mogły zapuścić korzenie, a inne się wypacza nienaturalnem położeniem, hodując sztuczność i obłudę.

Wychowanie nasze najdłużej działa uniformująco na wszystko, co przychodzi na świat z męskim lub żeńskim narządem płciowym. Nader rychło ubiera się „chłopców“, „dziewczęta“ w odmienną odzież, uczy się ich odrębnych zabaw, a już nauka elementarna jest całkiem odrębna, „dziewczęta“ uczą się bez wyjątku robót ręcznych itd., itd. Dzieje się to z krzywdą pośrednich formacyj płciowych. Jak potężnymi atoli mogą być w tak pokrzywdzonym człowieku instynkty, „determinanty“ jego przyrodzonych skłonności, okazuje się często przed porą dojrzewania: chłopcy bawią się najchętniej lalkami, uczą się od swych sióstr robót szydełkowych i pończoszkowych, ubierają się z upodobaniem w odzież dziewczęcą i lubią, jeśli ich nazywać

kobiecem i mieniem; dziewczęta mieszają się między chłopców, uczestniczą w dzikszych ich zabawach i często też przez nich są traktowane na równi, po koleżeńsku. Zawsze atoli natura z zewnątrz wychowaniem przytłumiona występuje na jaw po dojściu do dojrzałości: kobiety z usposobieniem męskim strzygą włosy krótko, dają pierwszeństwo ubiorom skrojonym po męsku, studjują, piją, palą, pną się po górach, polują zawzięcie; mężczyźni kobieco usposobieni zapuszczają długie włosy, noszą gorset, okazują wiele współczucia dla kobiecych kłopotów toaletowych, umiając o nich z równem przejęciem prowadzić koleżeńskie rozmowy, co więcej marzą też często szczerze o przyjacielskiej zażyłości między obojgiem płci, jak np. studenci kobieco usposobieni o „koleżeńskich stosunkach“ ze studentkami itd.

Pod kleszczowym naciskiem niwelującego wychowania cierpią jednakowo dziewczęta i chłopcy, później chłopcy więcej, wskutek podporządkowania ich pod jedno i te same przepisy prawne, dziewczęta zaś więcej, wskutek szablonowej równości obyczajów. Obawiam się przeto, że żądanie tu podniesione natrafi na bardziej bierny opór w umysłach ze względu na dziewczęta, niż ze względu na chłopców. Tu chodzi przede wszystkim o to, aby sobie gruntownie przyswoić przekonanie, że szeroko rozpowszechniony, przez potoczne autorytety popierany, i wciąż powtarzany pogląd o równości wszystkich kobiet, utrzymujący, że „niema wśród nich żadnych różnic, żadnych indywiduów, a kto jedną zna, zna je wszystkie“ jest nawskroś fałszywy.

Wśród osobników, zbliżonych bardziej do K niż do M (wśród „kobiet“) niema wprawdzie tylu różnic

i możliwości, co wśród innych — większe urozmaicenie wśród „samców” jest faktem powszechnym nie tylko u ludzi, ale w całej zoologii, co w szczególności Darwin wyczerpująco uwzględnił — w każdym atoli razie istnieje wśród nich jeszcze dosyć różnic. Ów tak szeroko rozpowszechniony fałszywy pogląd ma swe psychologiczne źródło w tem, że (por. rozdział III) każdy mężczyzna poznaje w swem życiu w sposób bardziej zażyły tylko pewną całkiem określoną grupę kobiet, w której wszystkie odznaczają się z natury przyrodzonego prawa wielu wspólnymi cechami. Słyszy się przecież i wśród kobiet nie raz, z tej samej przyczyny, a na podstawie jeszcze mniej uzasadnionej, że „mężczyźni są wszyscy jeden jak drugi”. Tem się też tłumaczy niejedno, delikatnie mówiąc, ryzykowne twierdzenie wielu „sufrażystek” o mężczyźnie, i rzekomo nieprawdziwej jego wyższości: a to tem, jakich mężczyzn właśnie one mają zwyczajnie sposobność poznać.

Widzimy zatem, że rozmaicie ustosunkowane współlistnienie pierwiastków M i K, które poznaliśmy jako naczelną zasadę wszelkiej naukowej charakterologii, jest faktem szczególnie doniosłym dla pedagogii specjalnej.

Nauka charakterologii pozostaje w takim stosunku do psychologii, uznającej w gruncie rzeczy jedynie teorię „aktualnych procesów” psychologicznych, jak anatomja do fizjologii. Ponieważ i psychologja różnic indywidualnych nie przestanie nigdy być potrzebą teoretyczną i praktyczną, należy ją uprawiać niezależnie od jej podstaw teorio-poznawczych i wyodrębnienia jej od przedmiotu psychologii ogólnej. Kto jest wyznawcą teorii parallelizmu psychologicznego,

godzić się będzie z zasadniczymi stanowiskami dotychczasowych rozstrząsań o tyle, że tak jak psychologia w znaczeniu ścislejsem i fizjologia (systemu ośrodków nerwowych) są dla niego umiejętnościami równoległymi, tak też charakterologia musi mieć odpowiadającą jej równoległą naukę morfologii. W istocie też możemy na przyszłość spodziewać się doniosłych odkryć z połączenia anatomji i charakterologii i wzajemnego ich oddziaływania na siebie. Związek ten oddałby zarazem nieocenione usługi diagnostyce psychologicznej, która jest warunkiem wszelkiego indywidualizowania w pedagogji. Tak więc zasada pośrednich form płciowych, a jeszcze więcej metoda parallelizmu morfologiczno-charakterologicznego w swem dalszem zastosowaniu otwiera nam widok na czasy, kiedy fizjognomika poruszająca zagadnienia, które zawsze z taką mocą nęciły najwybitniejsze umysły, wciąż odnowa je odstręczając, dostąpi nareszcie godności dyscypliny naukowej.

Zagadnienie fizjognomiki jest zagadnieniem stałego ułożenia szeregu zjawisk psychicznych, będących w spoczynku obok takichże zjawisk fizycznych, jak zagadnienie psychologii fizjologicznej i polega na prawidłowem uszeregowaniu zjawisk psychicznych w ruchu obok takichże zjawisk fizycznych (przez to bynajmniej nie przemawiamy za jakąś specjalną mechaniką procesów nerwowych). Pierwsze jest poniekąd statyczne; drugie raczej czysto dynamiczne, zasadniczo jednak: oba przedsięwzięcia są w równym stopniu uprawnione. Jest to zatem tak pod względem metodycznym jak i rzeczowym wielkim błędem, jeśli się uważa uprawianie fizjognomiki,

z powodu jej olbrzymich trudności, za zajęcie tak niesolidne, jak to się dziś raczej nieświadomie niż świadomie w kołach naukowych zwykło przyjmować i przy sposobności jawnie głosić, np. wobec usiłowań wznowionych po Gallu przez Moebiusa, zmierzających do oznaczenia fizjognomji urodzonego matematyka. Jeśli jest rzeczą możliwą z powierzchowności człowieka, którego się nigdy nie znało, wyciągnąć bardzo wiele trafnych wniosków o jego charakterze na podstawie bezpośredniego wrażenia, a nie na podstawie zapasu świadomych lub nieświadomych doświadczeń — a są ludzie, uzdolnieni w tym kierunku w wysokim stopniu — nie można też uważać za rzecz niemożliwą zbudowania naukowego systemu w tej dziedzinie. Chodzić tu będzie tylko o pojęciowe wyświechtanie pewnych silnych uczuć, o założenie kabla, łączącego je z ośrodkami mowy (że się tak bardzo zgrubsza wyrażę): zadanie, co prawda nieraz niezmiernie trudne do wykonania.

Zresztą: długo jeszcze potrwa, zanim nauka oficjalna nie będzie uprawiania fizjognomiki uważała już za coś w wysokim stopniu niemoralnego. Pozostanie się i nadal, jak dotąd, zaprzysięgłym zwolennikiem parallelizmu psychologicznego, a mimo to poczytywać się będzie równocześnie fizjognomików za ludzi zgubionych, za szarlatanów, jak niedawno jeszcze badaczy w dziedzinie hipnotyzmu: jakkolwiek niema człowieka, któryby nieświadomie nie był fizjognomikiem, niema wybitnego męża, któryby nie był nim świadomie. Zwrotem „to mu się patrzy z gęby“, posługują się także ludzie, nie przypisujący fizjognomice, jako nauce, żadnej wartości, a wizerunek wybitnego męża, zarówno jak podobizna rzezi-

mieszka, interesuje nader silnie i tych wszystkich, którzy słowa „fizjognomika“ nigdy nawet nie słyszeli.

W tej dobie istnej powodzi prac literackich, rozprawiających o stosunku zjawisk fizycznych do psychicznych, gdy drobna, ale zuchwała i coraz zwiększająca się garstka przeciwstawia hasło wzajemnego ich oddziaływania na siebie, zwartej większości zwolenników psychologicznego paralelizmu, byłoby rzeczą pożyteczną, stosunki te uwzględnić. Oczywiście, że należałoby sobie wtedy zadać pytanie, czy ustanowienie. mniejsza o to jak działającej współbieżności zjawisk psychicznych i fizycznych nie jest aprioryczną, syntetyczną funkcją naszego myślenia, dotąd przeoczoną—za czem mnie przynajmniej na pewno się wydaje przemawiać fakt, że przecież każdy człowiek uznaje fizjognomikę, uprawiając ją niezależnie od wszelkiego doświadczenia. Lubo faktu tego Kant nie zauważył, potwierdza to przecież słuszność jego zaopatrywania, że w sprawie stosunku zjawisk cielesnych do duchowych naukowon nic więcej nie da się dowieść ani poradzić. Zasadą, prawu podlegającego stosunku psychicznych i materialnych procesów, musi być zatem za zasadnicze prawo badania w celach heurystycznych przyjęta, a religiji i metafizyce należy pozostawić starania o ściślejsze jeszcze opisanie tego związku, o którego faktycznem istnieniu każdy człowiek jest *a priori* przeświadczony.

Czy więc charakterologja rozpatrywana będzie w związku z morfologją, czy nie, tak dla niej samej, jak też dla wynikającej ze skoordynowania ich obydwu fizjognomiki, byłoby rzeczą ważną uznać,

że prawie zupełna bezpłodność dotychczasowych wysiłków, podejmowanych celem ~~ufundowania~~ tych gałęzi umiejętności, ma wprowadzić swe głęboko uzasadnione przyczyny w samą naturę tego i tak już uciążliwego przedsięwzięcia, że jednak bądź co bądź niepowodzenie to należy w części bodaj nie najmniejszej przypisać brakowi odpowiedniej metody. Poniżej kreślę i proponuję w zastępstwie takiej metody kilka wytycznych punktów, które sędzę, że powinienem przedłożyć pod ocenę powszechną, zawdzięczając im pewność orientacji w niejednym labiryncie.

Są wśród ludzi miłośnicy psów, nie mogący znieść kotów, są znów inni, którzy lubią się przypatrywać kocim igraszkom, wstręt czując do psów. Wobec takich objawów zwykło się być, nie bez pewnej słuszności, bardzo dumnym, że się ma sposobność zadać pytanie: Dlaczego jeden woli koty, a inny przekłada psy? Dlaczego? Dlaczego?

Postawienie takiego pytania wydaje się atol tu właśnie niezbyt owocodajnem. Nie sędzę, aby Hume, a zwłaszcza Mach, mieli słuszność, nie uznając żadnej szczególniejszej różnicy między współczesnym, a następczym związkiem przyczynowym. Pewne niezaprzeczone analogie formalne przesadza się nie bez zadawania im gwałtu gwoździ podparcia chwiejnej budowy systemu. Nie uchodzi utożsamiać stosunku dwu zjawisk, stale po sobie w czasie następujących, ze stałym stosunkiem funkcjonalnym rozmaitych współczesnych elementów. W rzeczywistości nic nie uprawnia do przyjmowania wrażeń czasu i niema żadnej zgola racji stawiać obok innych zmysłów współrzędny z nimi zmysł

czasu, Kto zaś mniema, że się rzeczywiście z zagadnieniem czasu uporał, czas i kąt godzinny ziemi za jeden i ten sam fakt poczytując, przeocza co najmniej, że nawet w razie, gdyby ziemia zaczęła się nagle z niejednostajną chyżością obracać dokoła swej osi, nie przestalibyśmy aię mimo to i nadal, jak przedtem, posługiwać naszym apriorycznem założeniem jednostajnego upływu czasu. Odróżnianie czasu od materialnych przeżyć, na którem opiera się podział związków zależności na współczesne i następcze, a tem samem dociekanie przyczyny zmian, pytanie dlaczego, są z gruntu uzasadnione i owocodajne tam, gdzie zjawiska warunkujące i uwarunkowane występują w czasowem po sobie następstwie. W przytoczonum atoli powyżej przykładzie indywidualno-psychologicznego zagadnienia należałoby ze stanowiska wiedzy empirycznej, która stałego współistnienia poszczególnych cech w pewnym kompleksie nie tłumaczy nigdy metafizyczną substancją, nie tyle pytać dlaczego, jak raczej przede wszystkim zbadać: czem się jeszcze miłośnicy psów i kotów między sobą różnią.

Przyzwyczajenie się do wyszukania innych współrzędnych jeszcze różnic między przedmiotami w stanie spoczynku się znajdującemi, skoro się jedną różnicę między niemi zauważy, może, jak sądzę, nie tylko przynieść duży pożytek charakterologii, ale i przysłużyć się czystej morfologii i stać się przez to z natury rzeczy metodą fizjognomiki, jako ich połączenia. Już Arystoteles zauważył, że zmiany wielu cech nigdy nie występują u zwierząt niezależnie od siebie. Zjawiskom tego rodzaju „współzależności” poświęcili później, jak wiadomo, najpierw

Cuvier, a następnie Geoffroy, St. Hilaire i Darwin wyczerpujące studja. Istnienie stosunków stałej współzależności da się tu i ówdzie wyjaśnić z łatwością jednym i tym samym celem: tak np. z technologicznego punktu widzenia będzie się wprost zgóry na to przygotowanym, że tam, gdzie kanały trawienia przystosowane są do pokarmu mięsnego muszą się także znajdować przyrządy do żucia i organy zdatne do chwytania łupu. Dlaczego jednak wszystkie przeżuwające są zarazem parzystokopytkowemi, a samce u nich są rogate, dlaczego odporność niektórych zwierząt na pewne trucizny idzie zawsze w parze z pewną określoną barwą sierści, dlaczego odmiana gołębi z krótkimi dziobami posiada małe, a z długimi dziobami duże nogi, lub co więcej, dlaczego koty białe z niebieskimi oczyma są prawie wszystkie bez wyjątku głuche — wszystkie te stale i prawidłowo obok siebie współistniejące cechy nie dadzą się wytłumaczyć ani jakąś jedną zrozumiałą przyczyną, ani ze stanowiska jednego i tego samego celu.

Oczywiście, bynajmniej przez to nie twierdzimy, jakoby badanie miało już po wieczne czasy poprzedzać zasadniczo na samem stwierdzaniu stałego współistnienia pewnych cech; Wychodziłoby to bowiem na to samo, jak gdyby ktoś chciał utrzymywać, że zachowuje się po raz pierwszy w sposób naukowy, ograniczając się do stwierdzania tego, co zastanie: „Jeżeli do automatu wrzucam monetę, wypada pudełko zapalek“; co tę granicę przekracza, jest szkodliwą metafizyką, a rezygnacja jest sprawdzianem prawdziwego badacza. Zagadnienie tego rodzaju, skąd pochodzi, że długie

sploty włosów i dwa normalne jajniki stanowią prawie bez wyjątku współrzędnie istniejącą właściwość tych samych zawsze ludzi, są znaczenia jak najdonioślejszego; atoli właśnie **nie** należą one do dziedziny morfologii, ale wchodzą w zakres fizjologii. Być może, że cel idealnej morfologii da się trafnie wyznaczyć poglądem, że w swej deduktywno-syntetycznej części nie ma ona za każdym poszczególnym gatunkiem i odmianą zosobna myszkować po wszystkich dziurach i wszystkie dna morskie przetrząsać — byłaby to bowiem naukowość zbieracza znaczków pocztowych — ale że potrafi ona z danej liczby ilościowo i jakościowo ściśle określonych okazów, skonstruować cały ustrój, nie na podstawie intuicji, jak to Cuvier zrobił, ale zapomocą ściśle dowodowego postępowania. I tak, gdyby tej nauce przyszłości zapodano z całą dokładnością jakąś właściwość pewnego ustroju, byłby on już dla niej odrazu ściśle oznaczony i inną jakąś właściwością, atoli już nie dowolną, ale przez tamtą określoną już z taką samą ścisłością. W języku dzisiejszej termodynamiki dałoby się równie dobrze wyrazić żądaniem, że wedle takiej deduktywnej morfologii, organizm miałby mieć tylko skończoną liczbę „stopni wyzwolenia”. Albo też możnaby żądać, zastosowując pouczające wywody Macha, aby i świat organiczny, o ile ma być naukowo pojęty i opisany takim się przedstawiał, iżby w nim pośród n zmiennych istniała mniejsza od n liczba zrównań (a to wprost $n - 1$, jeśliby go miał system naukowy jednoznacznie określać: w razie mniejszej ich liczby niż te liczby zrównań stałyby się one bowiem nieoznaczonemi, w razie zaś większej ich liczby

możnaby stosunkowi zależności, wyrażonemu przez jedno zrównanie przeciwstawić drugie bez żadnej przeszkody).

Takie jest logiczne znaczenie zasady współrzędności w biologii: okazuje się ona zastosowaniem pojęcia związków funkcjonalnych do tworów żywych, i dlatego nadzieje teoretycznej morfologii spoczywają głównie na możliwości rozszerzenia i pogłębienia jej zakresu. Badanie związków przyczynowych nie jest przez to wykluczone, ale właśnie skierowane do najwłaściwszej swej dziedziny. Będzie się ono musiała starać o odkrycie w idjoplaźmie przyczyn tych zjawisk, na których zasada współrzędności się opiera.

Z możliwości psychologicznego zastosowania zasady współrzędności zmian korzystać będzie „psychologja dyferencjalna“, nauka o odmianach psychologicznych. A jednoznaczne powiązanie anatomicznej budowy i charakteru duchowego będzie zadaniem statycznej psychofizyki czyli fizjognomiki. Wytyczną wszystkich trzech umiejętności atoli może być pytanie, czem się dwa stworzenia, objawiające pod pewnym względem odmienne zachowanie się, jeszcze między sobą różnią. Zacytowany tu sposób pytania wydaje mi się jedyną do pomyślenia metodą „*inveniendi*“, niejako „*ars magna*“ owych umiejętności, którą przepoić się powinna cała technika ich dociekań. Aby zgłębić pewien charakterologiczny typ, nie trzeba będzie się już wysilać na wiercenie dziury w twardym gruncie pod hermetycznym zamknięciem, celem natrafienia na rozwiązanie pytania dlaczego, nie będzie się już wciąż na nowo krwawić, jak owe stereotropiczne

robaki Jakóba Loeba o kanty trójścianu, ani sobie kłapami okularnymi zasłaniać widoku na sprawy już obok siebie osiągalne, a węszyć wgłąb i wprost jeno przed siebie za przyczyną, dla wszelkiej wyłącznie empirycznej wiedzy niedocieczoną. Jeśli żadnej nie poddając się opieszałości i żadnym względom wygody, poweźmie się postanowienie zwracać zawsze baczną uwagę w razie pojawienia się jednej różnicy na inne, które w myśl przyjętej zasady nieuchronnie zachodzić jeszcze muszą; jeśli się za każdym razem „ustawi w intelekcie podchwytywacza” nieznanych właściwości, stojących w związku funkcjonalnym z właściwościami najaw występującymi, to widoki odkrycia nowych stosunków współrzędności wydatnie się zwiększają: postawić tylko trafnie pytanie, to prędzej, czy później, odpowiednio do wytrwałości i czujności badacza, a podatności materiału, podpadającego jego badaniom, odpowiedź się zjawi.

W każdym razie, posługując się świadomie tą zasadą, nie będziemy już wyłącznie zdani na czekanie, aż tam kiedyś komuś przy pomyślnym składzie myślowej konstelacji, wpadnie w oczy stałe współistnienie dwóch przymiotów w pewnym indywiduum; ale nauczymy się zawsze pytać natychmiast o ten drugi jeszcze współlistniejący przymiot. Jakże w znacznej bowiem mierze były dotąd wszystkie odkrycia zdane na przypadkowo pomyślną koniunkturę w pewnym umyśle ludzkim! Jak wielką rolę odgrywa tu dowolny zbieg okoliczności, doprowadzający w odpowiedniej chwili dwie różnorodne grupy pojęć do tego wzajemnego skrzyżowania się, które jedynie urodzić może owoc nowego poglądu i nowego po-

znania! Nowy sposób stawiania pytania i wola stosowania go w każdym poszczególnym wypadku została jak się zdaje, rolę tę znacznie osłabić. Wobec następstwa skutku po przyczynie, pobudka psychologiczna pytania o przyczynę jest z tego powodu bardziej uzasadniona, że każde nadwreżenie stałości i ciągłości istniejącego stanu psychicznego wywołuje bezpośrednie zaniepokojenie, „stwarza witalną dyferencję“, jak mówi Avenarius. Pobudka ta jednak odpada, tam gdzie zachodzi stosunek zależności równoczesnej. Dlatego też metoda ta mogłaby oddawać badaczowi nawet w toku jego czynności największe usługi, a co więcej, przyspieszać wogóle postęp wiedzy; poznanie heurystycznego znaczenia zasady współrzędności byłoby dorobkiem wiedzy, któryby się dalej krzewiąc, mógł się przyczyniać do zdobywania coraz nowych wiadomości.

ROZDZIAŁ VI.

Kobiety emancypowane.

W bezpośrednim związku z zastosowaniem zasady pośrednich form płciowych do psychologii różnic, musimy po raz pierwszy poruszyć tu kwestję, której teoretycznemu i praktycznemu rozwiązaniu książka niniejsza w gruncie rzeczy jest poświęcona, o ile ona w teorji nie jest kwestją etnologii i ekonomji politycznej, a więc nauki społecznej w najstarszem znaczeniu, w praktyce zaś kwestją prawnego i ekonomicznego ustroju: tj. kwestją kobiecą. Odpowiedź, którą rozdział ten ma dać na zagadnienia kwestji kobiecej, nie będzie jednak tego rodzaju, aby mogła rozwiązać dotyczący problem w całej jego rozciągłości. Jest ona raczej tylko tymczasową, gdyż nic więcej dać nie może ponad to, co z dotychczasowych zasad wynika. Zatrzymuje się ona całkowicie na nizinach indywidualnego doświadczenia, nie starając się stąd wznieść do twierdzeń ogólnych głębszego znaczenia; praktyczne wskazówki, jakich udziela, nie są maksymami moralnego postępowania, któreby miały lub mogły normować w przyszłości doświadczenie, są to tylko prawidła techniczne i wyabstrahowane z doświadczeń przeszłości do użytku społeczno-dietetycznego. Wynika to stąd, że tutaj

bynajmniej nie przystępujemy do ujęcia istoty męskiego i żeńskiego typu, co ma być dopiero zadaniem części drugiej. Tymczasowe te uwagi mają podać te tylko charakterologiczne wyniki zasady pośrednich form płciowych, które mają znaczenie dla kwestji kobiecej.

Z dotychczasowych wywodów dosyć jasno się przedstawia, jak to zastosowanie wypadnie. Kulminuje ono w tem, że potrzeba emancypacji i zdolność emancypacyjna kobiety zasadza się tylko na współudziale jej w pierwiastkach M, o ile w niej tkwią. Pojęcie emancypacji jest jednak wieloznaczne, a zaciemnianie jego było w interesie tych wszystkich nazwą tą często piętnowanych dążeń, które nie zdołały wytrzymać światła teoretycznych poglądów. Za emancypację kobiety nie uważam, gdy w domu swym rządy sprawuje, a mąż jej się w niczem sprzeciwić nie ośmiela. ani odwagi do przebywania w miejscach niepewnych w porze nocnej bez opieki towarzysza, ani lekceważenia konwencjonalnych form towarzyskich, które zabraniają prawie kobiecie żyć samopas, nie pozwalają jej składać wizyt mężczyźnie, a poruszanie tematów seksualnych przez nią lub przez innych w jej obecności potępiają; ani wreszcie dążenia do samoistnego zarobku, czy się jako środek do tego celu wybiera szkołę handlową, czy studia uniwersyteckie, konserwatorjum, czy seminarjum nauczycielskie. Istnieją może inne jeszcze objawy, które się ryczałtem kryją za szeroką tarczą ruchu emancypacyjnego, narazie jednak niema potrzeby w nie wchodzić. Emancypacja, którą ja mam na myśli, nie jest też pragnieniem zewnętrznego zrównania się ze stanowiskiem mężczyzny;

problemem dla przedsięwziętej tu próby wyświeatlenia kwestji kobiecej jest wola kobiety, pożąająca wewnętrznego dorównania mężczyźnie, zdobycia jego duchowej i moralnej swobody, przyswojenia sobie jego zainteresowań i jego siły twórczej. I oto utrzymujemy właśnie, że K nie ma zgoła żadnej potrzeby, a zgodnie z tem, żadnej też zdolności do emancypacji. Wszystkie niewiasty do emancypacji istotnie dążące, wszystkie z pewnych słusznych powodów słynące i pod względem umysłowym w jakimś kierunku wybitne, odznaczają się zawsze licznymi rysami męskimi i bystrzejsze oko rozpozna też u nich zawsze anatomiczne znamiona męskie, wygląd fizycznie do mężczyzny zbliżony. Wszystkie kobiety z przeszłości i terażniejszości, wymieniane zawsze imiennie przez męskich i żeńskich przodowników dążeń emancypacyjnych na dowód wielkich czynów, przez kobiety zdziałanych, pochodzą tylko z bardziej posuniętego zastępu, pośrednich form płciowych, możnaby nieomal rzec, że z tych w pośrodku leżących stopni, które się właśnie jeszcze co tylko zaliczają do „niewiast”. Zaraz pierwsza z kolei w tym historycznym szeregu, Safona, odznacza się opacnym popędem płciowym i po niej to stosunek płciowy między kobietami nazywa się safijskim albo lesbijskim. Tu widzimy, jak się nam wywody trzeciego i czwartego rozdziału przydają do orjentowania się w kwestji kobiecej. Materiał charakterologiczny, jakim rozporządzamy w dziedzinie t. zw. wybitnych. tj. *de facto* emancypowanych kobiet, jest zbyt szczupły, interpretowanie jego narażone na zbyt wiele sprzeczności, abyśmy się nim posługując mogli mieć nadzieję zadowal-

niającego rozwiązania. Brakło nam sprawdzianu, któryby umożliwiał ustalenie niedwuznaczne położenia pewnego człowieka między M i K. Zasadę taką odnaleźliśmy w prawie pociągu płciowego między mężczyzną i kobietą. Zastosowanie jej do zagadnienia homoseksualizmu wykazało, że kobieta z pociągiem płciowym ku kobiecie jest właśnie półmężczyzną. To zaś daje mniej więcej wszystko, czego potrzeba, aby na indywidualnych dowodach historycznych stwierdzić tezę, że stopień wyemancypowania kobiety jest identyczny ze stopniem jej męskości. Safo na rozpoczyna szereg tych kobiet, zapisanych na liście sław kobiecych, u których występowały uczucia homoseksualne lub co najmniej obupłciowe. Ze strony filologicznej usiłowano bardzo gorliwie oczyścić Sefonę z podejrzenia, jakoby utrzymywała z kobietami rzeczywiście stosunki miłosne, więcej niż przyjacielskie, jak gdyby zarzut ten, okazując się uzasadnionym, musiał kobietę koniecznie pod względem moralnym w wysokim stopniu poniżyć. Że się sprawa bynajmniej tak niema, że miłość homoseksualna przynosi kobiecie większą właśnie chlubę, niż stosunek heteroseksualny, pokaże to się jasno jeszcze w części drugiej. Tutaj wystarczy zauważyć, że skłonność kobiety do miłości lesbijskiej wypływa właśnie z jej męskiej natury, która jest warunkiem jej wyższości. Katarzyna II rosyjska i królowa szwedzka Krystyna, wielce utalentowana, niewidoma i głuchoniema Laura Bridgmann, jak podają informacje, zarówno jak już napewno George Sand, są po części biseksualne, po części wyłącznie homoseksualne, tak jak wszystkie kobiety i dziewczęta, odznaczające się choćby tylko pewnem, uwagi poniekąd

godnem uzdolnieniem, które miałem sam sposobność poznać.

Co się zaś tyczy owej znacznej liczby niewiast emancypowanych, co do których popędów lesbijskich nie mamy żadnych dowodów, nasuwają się tu prawie zawsze inne poszlaki, wykazujące, że nie jest zgoła twierdzeniem dowolnem małodusznie łakomego egoizmu, usiłującego z chciwości zaanektować wszystko tylko na rzecz płci męskiej, jeżeli mówimy o męskiej naturze wszystkich kobiet, wymienianych zazwyczaj z pewną słuszością na dowód wyższego uzdolnienia kobiet. Jak bowiem kobiety biseksualne utrzymują stosunek płciowy albo z niewiastami maskulinistycznymi, albo z mężczyznami feministycznymi, tak znów kobiety heteroseksualne tem zawsze jeszcze męskość swą objawiają, że ich dopełnieniem płciowem po stronie męskiej nie będzie nigdy mężczyzna pełny.

Z pośród wielu „stosunków” George Sand najgłośniejszym jest jej stosunek z Mussetem, lyrykiem najbardziej kobiecym, jakiego zna historia i z Chopinem, któregooby można nawet nazwać jedynie kobiecym muzykiem—tak jest feministyczny.*) Vittoria Colonna jest nie tyle głośna z tytułu swych własnych utworów poetycznych, jak z uwielbienia, jakie miał dla niej Michał Anioł, utrzy-

*) Świadczy o tem też jasno jego wizerunek. *Merimee* zowie *George Sand* „*maigre comme un clou*”. Podczas pierwszego ich spotkania „ona” jest najwidoczniej samcem, „on” całkowicie samicą: on się rumieni pod jej spojrzeniem na komplimenty, któremi ona jego swym niskim głosem częstuje.

mujący pozatem stosunki erotyczne tylko z mężczyznami. Powieściopisarka Daniel Stern była kochanką tego właśnie Franciszka Liszta, którego życie i dzieła mają w sobie w każdym razie coś kobiecego, a którego przyjaźń dla również niezupełnie męskiego i bądź co bądź nieco pederastycznie usposobionego Wagnera, zawierała prawie tyle pierwiastków homoseksualnych, co i cześć marzycielska, oddawana Wagnerowi przez króla Ludwika II bawarskiego. Co do Madame de Staël, której dzieło o Niemczech musi być uważane za niewybitniejszą może książkę pióra kobiecego, istnieje prawdopodobieństwo, że utrzymywała stosunek płciowy z homoseksualnym nauczycielem domowym swych dzieci, Augustem Wilhelmem Schleglem. Małżonka Klary Schumann mogłoby się w pewnych okresach jego życia, po twarzy tylko sądząc, uważać snadniej za niewiastę, niż za mężczyznę, a i w muzyce jego zawiera się wiele, jakkolwiek nie zawsze w tym samym stopniu, pierwiastków kobiecych.

Gdzie brak wszelkich danych o ludziach, z którymi stosunek płciowy utrzymywano lub osoby takie wogóle nie są wymienione, znajdujemy często sówite powetowanie w drobnych szczegółach, dotyczących powierzchowności słynnych niewiast: świadczą one, jak maskulinizm tych kobiet odbijał się także fizjognomicznie na ich twarzy i postaci i potwierdzają w ten sposób, zarówno jak pozostałe po tych niewiastach portrety, słuszność rozwiniętych tu poglądów. Mówi się o szerokim, potężnie sklepionym czole George Eliota: „jej ruchy, jak jej mimika były ostre i stanowcze, zbywało im jednak na wdzie-

ku kobiecej miękkości"; o „ostrych, przeduchowionych rysach twarzy Lavinji Fontany, dziwnem przejmujących wrażeniem". Rysy Racheli Ruysch „mają w sobie charakter męskiej prawie stanowczości". Biograf najoryginalniejszej poetki, Annety von Droste-Hülshoff, opisuje jej „rusałkowo smukłą, wiotką postać i twarz tej artystki o wyrazie surowej męskości, przypominającym dalekim swem podobieństwem rysy Danta". Autorka i matematyczka Sonja Kowalewska miała na głowie, podobnie jak już Safona, nienormalnie krótki porost włosów, krótszy jeszcze niż go mają zazwyczaj dzisiejsze poetki i studentki, które się stale przedewszystkiem na nią powołują, ilekroć się wytoczy kwestję duchowej działalności kobiety. A ktoby się w twarzy najwybitniejszej malarki Rosy Bonheur dopatrywał jednego choćby rysu kobiecego, dalby się tylko chyba uwieść brzmieniu jej imienia. Bardzo męski wygląd ma też sławna Helena Petrówna Bławatska. Z żyjących jeszcze twórczo czynnych i emancypowanych kobiet umyślnie żadnej nie przytaczam, milcząc o nich, chociaż im to właśnie zawdzięczam tak pochoch do niejednej z myśli tu wypowiedzianych, jak też pełne stwierdzenie swego przekonania, że prawdziwa kobieta K niema nic wspólnego z „emancypacją kobiet". Badania historyczne muszą zatem przyznać słuszność mądrości ludowej, która—wyprzedzając oddawna wyniki naukowe—głosi, że „im dłuższy włos, tem krótszy rozum". Przysłowie to sprawdza się z zastrzeżeniem, zawartem w rozdziale drugim. A co się tyczy niewiast emancypowanych: tylko mężczyzna tkwiący w nich jest tem, co się chce emancypować.

Z przyczyn głębszych, niż się to sądzi, kobiety piszące przybierają tak często nazwiska męskie: czują się one właśnie prawie że mężczyznami, a u osobników takich jak George Sand odpowiada to całkiem ich upodobaniu do męskiego stroju i męskich zajęć. Pobudka do przybierania sobie pseudonimu męskiego musi tkwić w poczuciu, że ten tylko właśnie odpowiada ich całej naturze: nie może zaś wpływać z potrzeby większego poważania i uznania w opinii publicznej. Utwory bowiem kobiece, wskutek łączącej się z nimi pikanterji płciowej, budziły zdawien dawna większe zainteresowanie, niż *ceteris paribus* dzieła mężczyzn, a z powodu zawsze już zgóry stałego w odniesieniu do nich obniżania poziomu wymogów, obchodzono się z nimi zawsze z większą pobłażliwością i gdy były dobre, sławiono je zawsze nierównie wyżej, niż tej samej miary dzieła mężczyzn. Tak się też rzecz ma i dzisiaj i ciągle jeszcze kobiety zdobywają duże powodzenie utworami, na któreby zaledwie uwagę zwracano, gdyby pochodziły od mężczyzn. Pora już, aby tu zacząć wyróżniać i wyłączać. Wystarczy tylko wziąć za miarę porównawczą dzieła męskie, które w dziejach literatury, filozofji, wiedzy i sztuki uchodzą za wartościowe, aby zobaczyć, jak się sromotnie za pierwszą raz próbą skurczy wcale bądź co bądź pokaźna liczba kobiet, wymienianych raz po raz, jako wybitne umysły. W istocie bardzo dużo potrzeba pobłażliwości i wyrozumiałości. aby bodaj skromny tytułik do znaczenia przypisać kobietom tego rodzaju, jak Angelika Kaufmann albo M-me Lebrun, Fernan Caballero albo Hroswitha von Gandersheim, Mary Somerville albo George Egerton, Elżbieta Barret-Brow-

ning albo Zofja Germain, Anna Marja Schurmann albo Sybilla Merian. Nie chcę mówić o tem jak dalece przecenia się zawsze poszczególne osobistości z kobiet, wymienionych poprzednio, jako przykłady wiraginizmu (np. autorkę Droste-Hülshoff); nie chcę też praktycznie rozpatrywać miary sławy, zdobytej przez współcześnie żyjące artystki. Wystarczy ogólnie stwierdzić, że z pośród wszystkich (choćby najbardziej maskulinistycznych) niewiast z historii ducha ani jedna nie może być *in concreto* na serjo porównywana z genjuszami płci męskiej, choćby tylko pięto- i szóstorzędnymi, do jakich np. zalicza się z pośród poetów taki Rückert, z pośród malarzy van Dyck, z pośród filozofów Schleiermacher.

Wyłączmy narazie histeryczne wizjonerki,*) jak Sybille, Pytje Delfickie, Bourignon i Klettenberg, Jeanne de la Mothe-Guyon, Joanna Southcott, Beata Sturmin lub św. Teresa, a pozostaną jeszcze do rozpatrzenia przykłady takie, jak Marja Baszkirczew. Była ona (o ile wygląd jej pamiętam) bez wątpienia wybitnie kobiecej budowy ciała, z wyjątkiem może czoła, nieco męskie wrażenie czyniącego. Kto jednak widział w Salle des Etrangers, galerji luksemburskiej w Paryżu, obrazy jej, wiszące obok dzieł umiłowanego przez nią Bastien-Lepage'a, wie, że ona przyswoiła sobie styl jego nie inaczej i w sposób nie mniej doskonały, jak w Goethego „Powinowactwach z wy-

*) Histerja jest przyczyną główną wyższych dążeń bardzo wielu wybitnych niewiast. Ale zwykłe jej, do patologicznych ekscesów ciała ograniczone pojęcie, jest zbyt ciasne; w drugiej części postaramy się sprawę tę rozpatrzeć (rozdział XII).

boru" uczyniła to Otylja z charakterem pisma Edwarda.

Pokażną resztę przykładów stanowią liczne wypadki, w których jakiś talent w pewnej rodzinie wszystkim wrodzony, przypadkowo występuje najsilniej u jednego z żeńskich jej członków, który bynajmniej nie musi być przytem genialnym. Tylko talent bowiem jest dziedziczny, nie genjusz. Małgorzata van Eyck i Sabina von Steinbach niechaj tu służy za typowe przykłady długiego szeregu takich artystek, o których wedle słów Ernesta Guhla, autora nadzwyczaj przychylnie usposobionego dla niewiast, uprawiających sztukę, „wyrażną mamy wiadomość, że były one przez ojca, matkę lub brata do sztuki zaprawiane albo że innemi słowy pocho-p do zawodu artystycznego znalazły we własnej rodzinie. Jest ich dwieście do trzystu, a ileż setek jeszcze prócz tego skutkiem wpływów całkiem podobnych zapewne wychowało się na artystki, jakkolwiek w historii dla wzmianki o nich nie może być miejsca! Aby ocenić znaczenie tych cyfr, należy uwzględnić, że bezpośrednio przedtem Guhl wspomina o nazwiskach około tysiąca znanych kobiet-artystek. Na tem możemy przegląd historyczny kobiet emancypowanych zamknąć. Dowiódł on słuszności twierdzenia, że warunkiem istotnej potrzeby emancypacji i prawdziwej zdolności do emancypacji w kobiecie jest jej męskość. Przeważającą bowiem liczbę tych kobiet, które z pewnością wcale a wcale dla sztuki lub wiedzy nie żyły, którym zajęcie to raczej zastępuje miejsce robót ręcznych i w niezmarconej sielance życia służy tylko za rozrywkę — i wszystkie te, dla których działalność umysłowa czy

artystyczna jest tylko olbrzymiem napięciem kokieteryj wobec mniej lub więcej oznaczonych osób płci męskiej — obie te znaczne grupy wolno i trzeba było dla zachowania czystości roztrząsań wyłączyć. Wszystkie inne zaś okazują się ogółem, po bliższem przypatrzeniu się, pośrednimi formami płciowemi.

Jeśli jednak potrzeba wyzwolenia i zrównania się z mężczyzną objawia się tylko u kobiet męskich, uzasadniony jest wniosek *per inductionem*, że K nie czuje żadnej potrzeby emancypacji, jakkolwiek wyprowadzamy go tu narazie wyłącznie tylko z rozpoznania indywidualnych przykładów historycznych, a nie z rozbioru duchowych właściwości typu K.

Stając na higienicznem (nie etycznem) stanowisku praktyki, jak najściślej przystosowanej do naturalnych skłonności, wydalibyśmy przeto o „emancypacji kobiety” wyrok następujący. Nonsens dążeń emancypacyjnych ~~lewi~~ w ruchu, w agitacji. Jeśli się pominie motywy próżności lub meżolówstwa, a uwzględni w wysokim stopniu rozwinięty zmysł naśladownictwa u kobiet, musi się uznać, że agitacją przedewszystkiem uwiedzione zaczynają i takie także kobiety studjować, pisać itd., które nigdy bezpośrednio i wprost nie odczuwały tego rodzaju pragnienia; albowiem wobec istotnie wielkiej, jak się zdaje, liczby kobiet, starających się emancypować z pewnej wewnętrznej potrzeby, udziela się ich dążność do wykształcenia także i tamtym i tak staje się studjowanie dla kobiet modą, a śmieszna agitacja wśród nich każe im wreszcie wszystkim wierzyć w szczerosc tego; co dla pocziwej „pani domu”

jest tak często tylko środkiem demonstracyjnym przeciwko mężowi, dla córki zaś często tylko osten-
tacyjną manifestacją przeciwko władzy macierzyńskiej. Za praktyczną wskazówkę postępowania w całej tej kwestji należałoby przeto uważać następującą zasa-
dę, która (choćby już wskutek swego płynnego cha-
rakteru) nie może i nie powinna stać się podsta-
wą ustawodawstwa: Wolny dostęp wszędzie i droga
bez przeszkód dla tych, które z istotnej potrzeby
psychicznej, stosownie do swego cielesnego ustroju
skłonne są do zajęć męskich, dla kobiet zatem o
męskich rysach. Ale precz z robotą partyjną, precz
z fałszywem rewolucjonizowaniem, precz z całym
ruchem kobiecym, który stwarza w tak wielu kobie-
tach wypaczające je, sztuczne, w gruncie rzeczy
kłamliwe dążności.

I precz też z nedorzecznym, wyświechtanym
frazesem o „zupełnej równości!” Nawet kobieta z
najbardziej męską naturą nie ma chyba nigdy więcej
ponad 50% pierwiastków M i tej subtelnej za-
wartości zawdzięcza ona właśnie całe swe zna-
czenie, a raczej to tylko, jakiego ewentualnie mieć
mogła. Nie należy zgola, jak to podobno czynią prze-
ważnie intelektualistki, wyciągać ogólnych wniosków
o mężczyźnie z kilku indywidualnych (i to w dodat-
ku, jak zauważyłem, ~~zgoła~~ nie typowych, doświad-
czeń, które one zebrać mają sposobność i z których
nie tylko równość, ale nawet wyższość płci żeńskiej
wynikałaby, ale trzeba, jak to Darwin proponował,
porównywać ze sobą szczyty ~~jednej~~ ze szczytami
drugiej. Ale „gdyby kiedy ~~sporządzono~~ spis najwy-
bitniejszych mężczyzn i kobiet w dziedzinie poezji,
malarstwa, rzeźby, muzyki, ~~zaniepokars~~ przyrodo-

znawstwa i filozofji i umieszczono pod każdym przedmiotem pół tuzina nazwisk, obie te listy obok siebie po porównaniu nie zdołałyby się ostać". Jeśli się zaś jeszcze zważy, że osoby listy kobiecej, obejmowane dokładnie, świadczyłyby tylko znów o męskości genjuszu, oczekiwać wolno, że sufrażystki w odwadze swej do sporządzania tego rodzaju zestawień jeszcze bardziej, niż dotąd, ostygną.

Ułarty zarzut, który i teraz podniesiony będzie, opiewa, że historia niczego nie dowodzi, gdyż dopiero ruch stworzyć musi teren dla nieskrępowanego rozwoju duchowego kobiety. Zarzut ten nie dostrzega, że kobiety emancypowane, kwestja kobieca i ruch kobiecy istniały we wszystkich epokach, jakkolwiek występowały nie zawsze z jednaką żywotnością; przesadza niezmiernie trudności, jakie kiedy wogóle ze strony mężczyzny były robione kobietom, dążącym do umysłowego wykształcenia i jakie się im rzekomo teraz właśnie znów stawia*), przeocza wreszcie, że i dzisiaj żądania emancypacji nie podnosi prawdziwa kobieta, ale że to czynią naogół tylko bardziej męskie kobiety, które mylnie sobie tłumaczą swą własną naturę i nie rozumiejąc pobudek swego postępowania sądzą, że przemawiają w imieniu kobiety.

Jak każdy inny ruch w historii, był i ruch kobiecy przekonany, że jest pierwszą nową i pierwszej nigdy jeszcze niebywałą; jego pionierki uczyły, że kobieta spoczywała dotąd w mroku spętana i ląk-

*) Istniało zresztą wielu zgola nieuczonych wielkich artystów (Burns, Wolfram von Eschenbach), ale nie było żadnej porównanie z nimi wytrzymującej artystki

nać, a teraz dopiero przejrzawszy zaczyna przyrodzonych swych praw się domagać. Jak się jednak ma z każdym ruchem historycznym, można było i śladem analogicznych ruchów kobiecych iść coraz dalej i dalej wstecz: i tak istniała nie tylko pod względem społecznym kwestja kobieca w starożytności i w wiekach średnich, ale i duchową emancypację popierały czynnie w czasach dawno zamierzchłych kobiety produktywne dziełami swemi, a oprócz tego męscy i żeńscy apologetci płci żeńskiej teorytecznemi roztrząsaniem. Tak więc zgoła mylną jest wiara, tyle zapалу i świeżości nadająca bojownikom o prawa kobiece, jakoby kobiety po ostatnie aż lata nigdy nie miały sposobności do swobodnego wyładowania swych rozwojowych możliwości. Jakób Burckhardt opowiada z dziejów odrodzenia: „Za największą chlubę poczytywano wówczas znakomitym włoszkom przyznanie im, że miały męski umysł i usposobienie męskie. Wystarczy tylko zważyć na całkowicie męską postawę przeważnej liczby kobiet w poematach heroicznym, zwłaszcza u Bayarda i Aryosta, aby poznać że chodzi tu o określony ideał. Miano „virago“, które nasze stulecie za bardzo dwuznaczny uważa komplement, było wówczas czystą chlubą“. W XVI wieku dopuszczono kobiety na scenę; widział on pierwsze aktorki. „W owym czasie przypisywano kobiecie zdolność dopięcia narówni z mężczyznami najwyższego stopnia wykształcenia“. Jest to okres, w którym raz po raz ukazują się panegiryki na cześć płci niewieściej. Tomasz Morus domaga się zupełnego jej zrównania z płcią męską, a Agrippa von Nettesheim wynosi nawet kobiety wysoko ponad mężczyzn. I wielkie to powodzenie płci żeńskiej cał-

kiem się później zatraciło, a cały okres utonął w niepamięci, skąd go dopiero wiek XIX napowrót wydobyl.

Nie jestże to w wysokim stopniu uderzające, że kobiece dążenia emancypacyjne zdają się występować w dziejach świata w stałych odstępach, w pewnych powtarzających się jednakich okresach czasu?

W wieku X, XV i XVI, a obecnie znów w XIX i XX, było wedle wszelkich danych, znacznie więcej kobiet emancypowanych, a ruch kobiecy znacznie był silniejszy, niż w czasach między temi okresami. Byłoby przedwcześnie opierać już na tem hipotezę, ale w każdym razie należy wziąć pod uwagę możliwość, że zachodzi tu na rozległą skalę zjawisko perjodyczności, na mocy której, w pewnych regularnie wracających fazach, przychodzi na świat więcej mieszańców płciowych, niż w odstępach między nimi. Okresy takie zauważono u zwierząt w pokrewnych dziedzinach.

Byłyby to, stosownie do naszego poglądu, okresy słabszego gonochoryzmu; a z faktu, że w pewnych okresach rodzi się męskich kobiet więcej, niż w innych, możnaby wnosić, że odpowiednio do tego także i po stronie przeciwnej w tych samych okresach więcej mężczyzn kobiecych na świat przychodzi. Istotnie też widzimy, że przypuszczenie to się sprawdza w sposób zdumiewający. Cały smak „secesyjny“, przyznający palmę piękności dużym, wysmukłym kobietom o płaskich piersiach i wąskich biodrach, do tego może da się sprowadzić. Rozmnożenie się fircykostwa, jak i homoseksualizmu w ostatnich latach, przyczynę swą może mieć tylko w

większej kobiecości naszej ery. I nie bez głębszych powodów estetyczny i seksualny smak tej doby szuka oparcia w stylu prerafaelitów.

Jeżeli w życiu organicznem zachodzą takie perjody, podobne oscylacjom w życiu pojedynczego osobnika, ale rozciągające się na cały szereg pokoleń, otwiera to nam widoki na zrozumienie niejednych ciemnych punktów w dziejach ludzkości znacznie dalsze, niż to uczynić były zdolne pretensjonalne „poglądy na dzieje“, których tyle w ostatnich namnożyło się czasach, w szczególności ze stanowiska ekonomiczno-materjalistycznego ich pojmowania. Bez wątpienia należy w przyszłości oczekiwać i dla poznania dziejów ludzkości nieskończenie wielu jeszcze wyjaśnień od rozpatrywania ich biologicznego. Tutaj postaramy się tylko zastosować je do sprawy nas obchodzącej.

Jeśli prawdą jest, że w pewnych czasach rodzi się więcej, w innych mniej osobników hermafrodytycznych, należałoby z tego wnioskować, że ruch kobiecy po największej części sam w sobie znów się rozpłynie i po dłuższej przerwie znów najaw wystąpi, aby znów się zanurzać i wynurzać rytmicznie bez końca. Kobiety bowiem, które same się chcą emancypować, rodzić się będą raz w większej, to znów w znacznie mniejszej liczbie.

Oczywiście niema tu mowy o stosunkach ekonomicznych, które mogą zapędzać wybitnie kobiecą żonę proletariusza, obdarzonego licznem potomstwem, do pracy fabrycznej lub przy budowie. Związek przemysłowego i rękodzielniczego rozwoju z kwestją kobiecą jest znacznie luźniejszy, niż to zważ-

cza ze strony teoretyków socjalno-demokratycznych zwyczajnie bywa przedstawiane, a w stopniu jeszcze słabszym są z sobą przyczynowo związane dążenia, zmierzające do ekonomicznej zdolności konkurencyjnej z dążeniami do współzawodnictwa umysłowego. We Francji np., jakkolwiek wydała ona trójkę najwybitniejszą niewiast, ruch kobiecy nigdy właściwie nie potrafił zapaść korzeni, a przecież w żadnym innym kraju europejskim nie ma tylu kobiet handlowo samoistnie czynnych, co właśnie tam. Walka o wyżywienie ekonomiczne nie ma zatem nic wspólnego z walką o duchową treść życia; o ile taką rzeczywiście jakaś grupa niewiast prowadzi i należy obie ściśle rozróżniać.

Przyszłość, jaką wróżyć można ruchowi kobiecu na polu umysłowym, nie zapowiada się wesoło; jest ona bezwątpienia jeszcze bardziej ponura, niż los, któryby mu można rokować, gdyby zgodnie z niektórymi autorami musiało się przyjąć, że rozwój rodu ludzkiego postępuje ciągle w kierunku zupełnego zróżnicowania płci a więc ku zdecydowanej dwupostaciowości płciowej.

Ostatnie to zapatrywanie wydaje mi się z tego powodu nieuzasadnione, że w świecie zwierzęcym bynajmniej nie da się stwierdzić, jakoby rozdział płciowy wzrastał stopniowo na wyższych szczeblach jego systematu. Niektóre z sikwiaków i kołowrotków, mnóstwo ptaków, a nawet z pośród małp jeszcze mandryl ujawniają znacznie silniejszy stopień gonochoryzmu, niż to z morfologicznego punktu widzenia da się zauważyć u człowieka: Gdy jednak według tego przypuszczenia nadejść ma czas, w którym

potrzeba emancypacji przynajmniej na zawsze zagaśnie i istnieć będą już tylko kompletnie męskie i kompletnie żeńskie osobniki, przyjęcie perjodycznych powrotów ruchu kobiecego skazuje wszystkie dążenia bojowniczek o prawa kobiece w sposób najokrutniejszy na bolesną bezsilność, przedstawia całą ich działalność w świetle pracy Danaid, której wyniki z biegiem czasu same przez się wciąż się w tę samą nicość rozplywają.

Ten przykry los przypadłby emancypacji kobiet w udziale, gdyby ona i nadal wciąż celów swych szukała w dziedzinie społecznej tylko, w dziejowej przyszłości gatunku, dopatrując się ślepo wrogów swych w mężczyznach i w urządzeniach prawnych, przez nich stworzonych. Oczywiście, że w takim razie musiałby się wciąż na nowo formować hufiec Amazonek, który nic nigdy trwałego nie mógłby osiągnąć, gdyż niebawem po swem uformowaniu za każdym razem znówby się rozpręgał. Pod tym względem jest ruch kobiecy epoki odrodzenia i jego przepadnięcie bez śladu wzorem i nauką dla bojowniczek o prawa kobiece. Istotnego wyzwolenia ducha nie zdobywa się szturmem choćby nie wiem jak wielkiej i rozdziczonej armji, musi o nie walczyć każde indywiduum dla siebie z osobna. Przeciwko komu? Przeciwko temu, co w jego własnem usposobieniu opór mu stawia, Największym i jedynym wrogiem emancypacji kobiety jest kobieta.

Udowodnić to będzie zadaniem części drugiej.

CZĘŚĆ DRUGA CZYLI GŁÓWNA

TYPY PŁCIOWE.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

ASTOR LENOX AND TILDEN FOUNDATIONS

500 N. 5TH ST. NEW YORK, N. Y.

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

ROZDZIAŁ I.

Mężczyzna i kobieta.

„All that a man does is physiognomical of him“

Carlyle.

Badaniu istoty rzeczywistego przeciwieństwa płciowego otwiera drogę poznanie, że kobietę i mężczyznę pojmować należy tylko, jako typy, i że zawrotna rzeczywistość, nastroczająca notorycznym sporom wciąż nowego pokarmu, da się odtworzyć jedynie za pomocą aligerowania dwóch tych typów. Jedynie rzeczywiście istniejące pośrednie formy płciowe omówiliśmy w części pierwszej niniejszych dociekań i to, jak obecnie musimy zauważyć, w sposób nieco schematyzujący. Względ na powszechną biologiczną wartość wyłożonych zasad wymagał tego. Obecnie, gdy jeszcze bardziej wyłącznie niż dotąd człowiek tylko ma być przedmiotem naszych roztrząsań, a psychofizjologiczne rozpatrywania ustąpić mają analizie introspektywnej, uniwersalne uroszczenia zasady pośrednich form płciowych muszą podpaść ważnej restrykcji.

U roślin i u zwierząt obecność prawdziwego hermafrodytyzmu jest faktem ponad wszelkie wątpli-

wości stwierdzonym. Ale nawet u zwierząt obupłciowość wydaje się częstokroć raczej współlistnieniem obok siebie męskiego i żeńskiego gruczołu płciowego w jednym osobniku, niż zrównoważeniem się obojga płci w nim, raczej współbytnością obu ostateczności, niż zupełnie neutralnym stanem, pośrednie między nimi miejsce zajmującym.

O człowieku zaś da się pod względem psychologicznym z całą stanowczością twierdzić, że musi on być koniecznie, narazie przynajmniej w jednym i tym samym czasie albo mężczyzną albo kobietą. Stoi z tem w zgodzie nie tylko fakt, że wszystko, co się uważa bezwzględnie za kobietę i mężczyznę, także i w swym dopełnieniu widzi poprostu kobietę lub mężczyznę „wogóle“ *). Najsilniejszym dowodem tego uniseksualizmu jest fakt, którego teoretycznej wartości nie można dosyć przeceniać, że nawet w stosunku dwóch homoseksualnych osobników ze sobą, zawsze jeden obejmuje fizyczną i duchową rolę mężczyzny, w razie dłużej trwającego obcowania zatrzymuje też swe męskie imię lub je przybiera, podczas gdy drugi odgrywający rolę kobiety, swe kobiece imię albo zachowuje, albo je przybiera, albo jeszcze częściej — rzecz dosć znamienita — otrzymuje je od drugiego.

*) Słyszałem raz, jak na widok pewnej biseksualnie czynnej artystki dramatycznej z lekkim zarostem, niskim, doniosłym głosem i prawie bez włosów na głowie, pewien mężczyzna biseksualny zawołał: „Co za przepyszna kobieta“! „Kobieta“ jest bowiem właśnie dla każdego inna, a przecież ta sama, „w kobiecie“ opiewał każdy poeta coś odmiennego, a przecież jedno i to samo.

A więc w stosunku płciowym dwóch lesbijek, czy dwóch urningów spełnia zawsze jedna osoba funkcję męską, druga żeńską. Jest to fakt dużego znaczenia. Stosunek mężczyzny i kobiety okazuje się tu fundamentalnym w punkcie rozstrzygającym, czemś, poza co wyjść niepodobna.

Mimo wszelkie pośrednie formy płciowe jest człowiek ostatecznie przecież jednym z dwojga: albo mężczyzną albo kobietą. I w tej najstarszej, więc empirycznej dwoistości, tkwi (nie wyłącznie anatomiczna i w wypadku konkretnym zgoła nie w bezwzględnie ściślejszej zgodności ze stanem morfologicznym) głęboka prawda, której bezkarnie przeoczać nie wolno.

Uczyniliśmy zda się krok niezmiernej doniosłości dla dalszego ciągu naszych roztrząsań równie zbawiennym, jak fatalnym stać się mogący. Ustanawia on pojęcie bytu. Znaczenie bytu tego zbadać jest oczywiście zadaniem dalszych części tej pracy dociekań. Gdy jednak problemat ten bytu potrąca bezpośrednio o główną trudność charakterologii, przyda się nam, zanim z jędrną śmiałością do pracy takiej przystąpimy, zorjętować się w krótkości w tem najdrażliwszym zagadnieniu, u którego progu już odwaga wszelka ustaje.

Trudności jakie każde przedsięwzięcie charakterologiczne ma do zwalczania, są przez samo już skomplikowanie materiału olbrzymie. Nazbyt często zdarza się, że droga, którą się w gęstwinie leśnej za odnalezioną już uważa, gubi się w nieprzebytym gąszczu i nici niepodobna już wyplatać z nieskończonej gmatwaniny. Najgorsza jednak, że co do metody systematycznego przedstawienia materiału rze-

czywiście różnorodnego, co do zasadniczego oświetlenia początkowych, pomyślnych nawet wyników, nasuwa się wciąż nowe i bardzo poważne skrupuły, piętrząc się przeciwko konstruowaniu typów. W kwestji przeciwieństwa płciowego np. okazała się jedynie przydatną dotychczas hipoteza pewnego rodzaju dwóch biegunowo skrajnych ostateczności i niezaliczonych między nimi stopniowań. Podobnie i w przeważnej części innych praw charakterologicznych — o niektórych będę miał sposobność sam jeszcze pomówić — zachodzi, jak się zdaje, również coś nakształt biegunowości (co już pitagorejczyk Alkmaion z Krotony przeczuwał); i może na tym terenie schellingowska filozofja przyrody doczeka się jeszcze całkiem innego zadośćuczynienia, jak zmarłych. wstanie, które jej pewien przedstawiciel dzisiejszej chemji fizykalnej wedle swego mniemania zgotował.

Jestże jednak uzasadnioną nadzieja, że przez postawienie indywiduum w pewnym oznaczonym punkcie na liniach, łączących dwie ostateczności, przez nieskończone nagromadzanie tych linii, przez cały system skoordynowania ich w nieskończenie wielu wymiarach potrafimy kiedyś samo indywiduum wyczerpać? Czyż oczekując wyczerpującego w formie recepty opisu indywiduum ludzkiego, nie popadamy przez to w dogmatyczny sceptyzm Machowsko-Hume'owskiej analizy jaźni, tylko na terenie znacznie konkretniejszym? Czyż przez to nie zaprowadzi nas pewnego rodzaju Weissmannowska atomistyka determinant do jakiejś mozaikowej psychognomiki i to zanim jeszcze zdołaliśmy ochłonąć z mozaikowej psychologii.

Stoimy tu przed starem, nowo sformułowanym i jak się okazuje zawsze jeszcze żywotnie jarem zagadnieniem zasadniczym: czy istnieje w człowieku byt jednolity i pojedynczy i w jakim stosunku pozostaje on do niezaprzeczalnie obok niego istniejącej wielości? Czy istnieje dusza? I w jakim stosunku pozostaje dusza do zjawisk duchowych? Pojmujemy teraz, dlaczego dotąd żadnej jeszcze nie mamy charakterologii: samo istnienie charakteru, jako przedmiotu tej nauki, jest problematyczne. Zagadnienie wszelkiej metafizyki i teorii poznania, najogólniejsza kwestja zasadnicza w psychologii jest więc zarazem zagadnieniem charakterologii, problematem wstępnym do „wielkiej przyszłej charakterologii, która będzie mogła wystąpić, jako nauka“, przynajmniej pod względem krytyczno-poznawczym świadoma swych założeń, dróg i celów, i zmierzająca do wyświeatlenia różnic, tkwiących w istocie człowieka.

Taka, prawdę mówiąc, zarozumiała charakterologja, pragnie być czemś więcej, niż ową „psychologją różnic indywidualnych“, której postawienie za cel umiejętności psychologicznej jest bądź co bądź dużą zasługą L. Williama Sterna. Chcąc dać więcej, niż biuletyny wrażeniowych i motorycznych reakcyj jednostki nie ma ona z miejsca spaść na poziom innych współczesnych eksperymentalnych badań psychologicznych, stanowiących tylko osobliwszą kombinację seminarjum statystycznego z gabinetem fizykalnym. W ten sposób ma ona nadzieję utrzymać żywy kontakt z bogatą rzeczywistością duchową, której całkowitem zabaczeniem tylko wytłumaczyć sobie można samo zadowolenie z siebie sprężynowej psychologii śrub i nie obawia się, że będzie zmuszona

ciekawość studenta psychologii, łaknącego wyjaśnień o sobie samym zaspokajać badaniem wyuczania się jednozgłoskowych słówek i wpływu małych dawek kawy na dodawanie liczb. Jest to wprawdzie smutnym, ale z drugiej znów strony zrozumiałym objawem zasadniczych współczesnej psychologicznej roboty niedomagań, powszechnie zresztą, aczkolwiek niejasno odczuwanych, gdy znamienici uczeni, dopatrujący się w psychologii czegoś więcej, niż nauki o wrażeniach i asocjacjach, wskutek wszechwładnej w niej jałowizny nabrali przekonania, że wiedza rozumująca musi zagadnienia tego rodzaju, jak bohaterstwo lub poświęcenie, obłąd lub zbrodnia pozostawić na zawsze jednemu organowi ich zrozumienia, sztuce, rzekając się wszelkiej nadziei, nie lepszego od niej ich zrozumienia (byłoby to zuchwalstwem wobec Szekspira lub Dostojewskiego), ale choćby systematycznego ze swej strony ujęcia.

Żadna nauka, przestając być filozoficzną, nie musi tak rychło spłyć jak psychologja. Wyzwolenie się z filozofji jest istotną przyczyną upadku psychologii. Z całą pewnością psychologja powinna była nie w założeniach swych, ale w swych finalnych zamierzeniach pozostać filozoficzną. Byłaby wtedy przedewszystkiem doszła do poznania, że nauka o wrażeniach zmysłowych nie ma z psychologją żadnego bezpośredniego związku. Dzisiejsze psychologje empiryczne rozpoczynają od wrażeń dotykowych i ustrojowych, aby skończyć na „rozwoju charakteru moralnego”. Analiza wrażeń należy jednak do fizjologii zmysłów, a wszelkie próby głębszego powiązania specjalnych jej zagadnień z istotną treścią psychologii muszą chybić.

Było to nieszczęściem psychologii naukowej, że uległa najsilniej wpływowi dwóch fizyków, F e c h n e r a i H e l m h o l t z a, i skutkiem tego mogła przeoczyć, że z samych wrażeń składa się wprawdzie świat zewnętrzny, ale nie wewnętrzny. Dwaj najwybitniejsi z empirycznych psychologów ostatnich dziesiętna lat, W i l l i a m J a m e s i R y s z a r d A v e n a r i u s, są też jedynymi, którzy bodaj instynktownie czuli, że psychologii nie należy rozpoczynać od zmysłu dotyku i zmysłu mięśniowego, cała jednak reszta współczesnej psychologii jest mniej lub więcej klajstrowaniem wrażeń. W tem tkwi przez D i l t h e y a niezbyt ściśle określony powód, że do zagadnień, które się zwykło przecież uważać za wybitnie psychologiczne, do analizy morderstwa, przyjaźni, samotności itd. psychologia dzisiejsza wcale nie dochodzi, co więcej — i pod tym względem chybia stare powoływanie się na stosunkowo bardzo wczesną jej młodość — wogóle dojść do nich zgoła nie może, zdążając w kierunku, który żadną miarą nie może jej do nich zaprowadzić. Stąd też naczelnem hasłem walki o psychologję psychologiczną powinno być: Precz w psychologii z nauką o wrazeniach!

Zagadnienie charakterologii w nakreślonem powyżej szerszym i głębszym znaczeniu zawiera w sobie przedewszystkiem pojęcie charakteru, jako bytu stałego i jednolitego. Jak przedmiotem morfologii, już w rozdziale piątym części pierwszej dla porównania przywiedzionej, jest forma tworów organicznych przy wszystkich zmianach fizjologicznych trwale niezmienną, tak znów charakterologia zakłada sobie swój przedmiot w trwałym i niezmiennym pierwiastku życia duchowego, który w każdym

duchowym objawie życia w sposób analogiczny zawierać się powinien, i staje przez to w przeciwieństwie przede wszystkim do tej teorii aktualnych psychologicznych procesów, która pierwiastków trwałych uznać się może, choćby dlatego już, że jej zasadniczą podstawą jest atomistyczny, na wrażeniach oparty, pogląd.

Charakter nie jest zatem czemś, co tronuje poza myśleniem i czuciem jednostki, ale ujawnia się on w każdej myśli jej i w każdym jej uczuciu. „Wszelkie działanie człowieka ma wartość fizjognomiczną“. Jak każda komórka mieści w sobie przymioty całego indywiduum, tak też każdy objaw psychiczny człowieka, a nie tylko kilka poszczególnych „rysów charakteru“ odbija w sobie całą jego istotę, przyczem atoli pewne właściwości występują bardziej w jednym momencie, inne w innym.

Jak znów dalej niema zgoła wrażeń odosobnionych, a natomiast istnieje zawsze pole widzenia i całokształt wrażeń, jako podmiotowi przeciwstawiony przedmiot, jako świat jaźni na którego tle raz ten, drugi raz inny przedmiot wyraziściej się odcina; jak dalej nie kojarzymy nigdy „wyobrażeń“, a tylko momenty własnego życia, różnorakie, rozmaicie wypełnione stany świadomościowe swej przeszłości (z których każdy ma punkt zaczepienia w polu widzenia) tak też w każdej chwili życia duchowego tkwi cały człowiek, a tylko akcent pada w każdym momencie na inny punkt jego istoty. Ten w stanie psychicznym każdej chwili stwierdzić się dający byt jest przedmiotem charakterologii. W ten sposób ona dopiero stanowiłaby konieczne uzupełnienie dotychczas-

sowej psychologii empirycznej, która w osobliwej sprzeczności z nazwą swą psychologii uwzględniła dotychczas prawie wyłącznie zmiany na polu wrażeń, pstrą rozmaitość świata, zaniedbując całkowicie bogactwo jaźni. Jako nauka o całości, składającej się ze skomplikowanego podmiotu i skomplikowanego przedmiotu (które oba z całości tej tylko drogą specjalnej abstrakcji dają się wyodrębnić), mogłaby charakterologja oddziaływać na psychologję ogólną zapładniając i ją odrodzić. Niejedną kwestję sporną w psychologii—i to może właśnie jej najbardziej zasadnicze zagadnienie—zdola w ogólności tylko charakterologiczne ich rozpatrzenie rozstrzygnąć, gdyż ono ukaże, dlaczego jeden popiera to, inny tamto zapatrywanie, dlaczego się różnią, mówiąc o tym samym temacie i wyjaśni, że nie z innego powodu mają o tem samem zdarzeniu i tym samym procesie duchowym odmiennie zapatrywanie, jak że u każdego z nich przybrały one indywidualne zabarwienie, piętno jego charakteru. Tak umożliwi właśnie dopiero psychologiczna nauka o różnicach zgodność poglądów w dziedzinie psychologii ogólnej.

Formalna istota jaźni byłaby ostatniem zagadnieniem dynamicznej, materialna jej treść wypełniona ostatniem zagadnieniem statycznej psychologii. Tymczasem jednak podają w wątpliwość, czy charakter wogóle istnieje; a przynajmniej konsekwentny pozytywizm w duchu Hume'a, Macha, Avenariusa powinienby temu przeczyć. Łatwo z tego wyrozumieć, dlaczego jeszcze niema charakterologji, jako nauki o określaniu charakterów.

Zespolenie charakterologii z nauką o duszy wyrzuciło jej jednak największą szkodę. Że charakterologia związana została historycznie z losami pojęcia jaźni, samo przez się nie uprawnia jeszcze do rzeczowego ich z sobą łączenia. Absolutny sceptyk różni się od absolutnego dogmatyka tylko jednym słowem, więcej niczem innym. Ale tylko kto dogmatycznie staje na stanowisku absolutnego fenomenalizmu, sądząc, że ono jedynie zwalnia od wszelkich ciężarów dowodu, które z chwilą przyjęcia jego, *eo ipso* spada już na wszystkie inne stanowiska, odrzuci bez skrępowań pojęcie bytu, który stwierdza charakterologia, a które zgoła jeszcze nie jest identyczne z metafizyczną substancją.

Charakterologia ma do zwalczania dwóch szkodliwych przeciwników. Jeden uznaje istnienie charakteru, ale przeczy, jakoby nauka mogła nim zawładnąć tak, jak sztuka artystycznego przedstawienia. Drugi za jedynie rzeczywiste uważa wrażenia; rzeczywistość i wrażenie spływają się u niego w jedno, wrażenie stanowi kamień węgielny świata i jaźni. Charakter dla niego nie istnieje. Cóż ma więc począć charakterologia, nauka o charakterze? „*De individuo nulla scientia, individuum est ineffabile*”, mówią jej z jednej strony, która dotrzymuje wiary jednostce; z drugiej znów strony, która jest zaprzysięgłą wyznawczynią czystej naukowości i nie uratowała sobie „sztuki, jako organu zrozumienia życia” raz wraz jej powtarzają, że nauka nie wie nic o charakterze.

W takim ogniu krzyżowym musiałaby się charakterologia utrzymać. I kogóż nie ogarnia obawa, że podzieli ona los swych siostrzyc, pozostając

wiecznie nleżiszczą zapowiedzią, jak fizjognomika, lub sztuką objawicielską, jak grafologia?

I to jest jedynem z zagadnień, na które dalsze rozdziały niniejszej książki mają szukać odpowiedzi. Zadaniem ich jest zbadać pojedyncze czy wielorakie znaczenie bytu, który stwierdza charakterologja. Dla czego w ogólności zagadnienie to wiąże się tak ściśle z kwestją psychicznych różnic płciowych, to oczywiście okaże się jasno dopiero z ostatecznych jej wyników.

ROZDZIAŁ II.

Seksualizm męski i żeński.

„Kobieta nie zdradza swej tajemnicy“

Kant.

„Mulier taceat de muliere“.

Nitsche.

Przez psychologję w ogólności rozumieć należy zazwyczaj psychologję psychologów, tymi zaś są wyłącznie mężczyźni: odkąd ludzie dzieje swe kreślą, nie słyszano jeszcze o psychologu płci żeńskiej. Z tego powodu psychologja kobieca stanowi rozdział, który się do psychologji ogólnej nie inaczej doczepia, jak psychologję dziecka. A że mężczyźni piszą psychologję stale, uwzględniając wyłącznie tylko, aczkolwiek nie całkiem ze świadomością, psychologję mężczyzn, więc psychologja ogólna stała się psychologją „mężczyzn“, a zagadnienie psychologji płci wyłania się zawsze dopiero na myśl o psychologji kobiety. Tak mówi Kant: „W antropologii są dla filozofów właściwości kobiece bardziej przedmiotem studjów, niż męskie“. Psychologja płci będzie się zawsze pokrywać z psychologją K.

Atoli psychologję K piszą również mężczyźni tylko. Można by zatem z łatwością stanąć na stano-

wisku, że napisać psychologję jest rzeczywiście rzeczą niemożliwą, gdyż musi ona zawierać twierdzenia o ludziach obcych, zgoła nie sprawdzone własną ich samoobserwacją. Przypuściwszy, że K byłaby kiedy zdolną opisać samą siebie z bystrością, jakiej się od tego wymaga, nie przesądzałoby to wogóle jeszcze kwestji, czy sprawy, które nas głównie zajmują, budziłyby w niej to samo zainteresowanie; a gdyby nawet, co więcej, mogła i chciała ona siebie samą poznać z dokładnością jak najściślejszą, — przypuśćmy tę ewentualność — to zawsze jeszcze zachodziłoby pytanie, czy dałaby się nakłonić do mówienia o sobie. Okaże się w ciągu roztrząsań, że potrójne to nieprawdopodobieństwo wypływa z jednego źródła w naturze kobiecej.

Roztrząsań tych podjąć się tedy można tylko z tem uroszczeniem, że nie będąc kobietą, jest się zdolnym do trafnego o kobiecie orzekania. Narazie zatem pierwszy ów zarzut pozostaje w mocy, a że odparcie jego znacznie później dopiero nastąpić może, nie pozostaje tymczasem nic innego, jak przejść nad nim do porządku. Tyle tylko tu zauważę. Nigdy jeszcze naprzykład — byłoby i to tylko skutkiem ucisku, wywieranego na nią przez mężczyznę — kobieta w ciąży nie wyraziła w poezji, pamiętnikach, rozprawie ginekologicznej lub gdziekolwiek indziej swych wrażeń i uczuć; a jak Schopenhauer słusznie zwrócił uwagę — nie może to być wynikiem nadmiernej wstydlivości, gdyż uczucie wstydu z powodu brzemienności jest samo dla siebie kobiecie całkiem obce. Zresztą istniałaby możność z ówczesnych stanów duchowych zdać sprawę z pamięci po ukończeniu ciąży; gdyby wówczas mimo to wstyd

powstrzymywał od wyznań, motyw ten późniejby przecież odpadł, a zainteresowanie, jakieby z wielu stron tego rodzaju wynurzeniom okazano, byłoby dla wielu i tak dostateczną przyczyną do przełamania milczenia. Ale ani śladu tego! Jak w ogólności mężczyznom tylko zawdzięczamy istotnie wartościowe ujawnienia procesów duchowych kobiety, tak i tu mężczyźni tylko przedstawiali uczucia kobiety w ciąży. Jak to uczynić byli zdolni?

Jakkolwiek w ostatnim czasie mnożą się wyznania pół-kobiet i trzy ćwierci kobiet o swem życiu duchowem, mówią one jednak więcej o mężczyźnie w sobie, niż o właściwej kobiecie. Jesteśmy więc zdani na jedno tylko, na to, co w mężczyznach samych jest kobiecem. Okazuje się tu, że zasada pośrednich form płciowych, jest w pewnem swem znaczeniu warunkiem możliwości prawdziwego sądu mężczyzny o kobiecie. Później jednak przekonamy się, że znaczenie to będziemy musieli ograniczyć i uzupełnić. Przyjęcie jego bowiem bez zastrzeżeń, musiałoby prowadzić do wniosku, że mężczyzna najbardziej kobiecy potrafi najlepiej kobiety opisać, z czego konsekwentnie wynikałoby, że zupełna kobieta sama siebie najlepiej przeniknąć może, a tośmy dopiero co w wysokim stopniu zakwestjonowali. Już tu nas zatem uderza, że mężczyzna może w pewnej mierze zawierać w sobie pierwiastki kobiece, bynajmniej przez to nie będąc jeszcze w tym samym stopniu pośrednią formą płciową. Tem dziwniejszem się wydaje, że mężczyzna ma być zdolnym do prawdziwego orzekania o naturze kobiecej; a gdy zdolności tej wobec wybitnej męskości wiel bezprzecnie doskonałych obserwatorów kobiet, nawet im

odmówić nie możemy, tem ciekawsze zagadnienie stanowi kompetencja mężczyzny do zabierania głosu o kobiecie*) i tem mniej będziemy mogli się uchylić później od obowiązku rozwiązania zasadniczych merytorycznych wątpliwości co do tej kompetencji. Narazie jednak, jak powiedziałem, uważamy zarzut ten za niebyły i przystępujemy do rozpatrzenia rzeczy samej. Na czym polega istotna różnica psychologiczna między mężczyzną, a kobietą? oto pytanie, które podejmujemy.

Za arcyróżnicę płci między sobą, z której wszystkie inne dałyby się wywieść, chciano uważać większe napięcie popędu płciowego u mężczyzny. Pomijając zupełnie kwestję, czy twierdzenie to jest słuszne i czy słowo „popęd płciowy“ oznacza coś jednoznacznego i wymiernego, to zasadnicze uprawnienie tego rodzaju wywodu jest niezawodnie jeszcze bardzo problematyczne. Wprawdzie we wszystkich starożytnych i średniowiecznych teoriach o wpływie „niezaspokojonej macicy“ na kobietę i „seminis retenti“ na mężczyznę tkwi, jak się zdaje, coś prawdziwego i nie potrzeba było tu dopiero tak ulubionego dziś frazesu, że „wszystko“ jest tylko „przeistoczonym popędem płciowym“, ale na domysłach związków tak nieokreślonych nie można oprzeć systematycznego obrazu rzeczy. A dotąd nie postarano się na pewno stwierdzić, czy od większej lub mniejszej siły popędu płciowego zależy stopień innych przymiotów.

*) W dalszych ustępach oznacza zawsze „mężczyzna“ M a przez kobietę rozumiem zawsze K, nie zaś „mężczyzn“ i „kobiety“.

Twierdzenie zaś, że napięcie popędu płciowego jest u M większe, niż u K, jest samo przez się fałszywe. I istotnie, twierdzono również wręcz przeciwnie i również fałszywie. W rzeczywistości miara pożądania po akcie płciowym jest u mężczyzn nawet o jednako silnym stopniu męskości rozmaita, a podobnie też, przynajmniej z pozoru sądząc, u kobiet z tą samą zawartością pierwiastków K. — Tutaj wpływ mają właśnie pośród mężczyzn zgola inne jeszcze czynniki klasyfikacyjne, które udało mi się po części odnaleźć i którymi w innej mo-
że publikacji szczegółowo się zajmę.

A więc na większej popędlivosti żądzы spółkowania nie polega, wbrew wielu popularnym zapatrywaniom, żadna różnica płci. Natomiast różnicę taką dostrzegamy pod względem dwu analitycznych momentów, które Albert Moll z pojęcia popędu płciowego wyodrębnił, przejawiających się inaczej u mężczyzn i kobiety: a to pod względem popędu *detumescencji* i *kontraktacji*. Pierwszy z nich jest wynikiem uczuć przykrych, wywołanych nagromadzeniem się większej ilości dojrzałych komórek zarodkowych, drugi jest potrzebą cielesnego zetknięcia się z osobnikiem, który ma służyć do płciowego dopełnienia. Otóż podczas gdy M posiada oba popędy, tak detumescencji jak kontraktacji, właściwy popęd detumescencji u kobiety całkiem nie istnieje. Wynika to już z tego, że w akcie płciowym nie kobieta mężczyźnie, ale mężczyzna kobiecie coś udziela: K zatrzymuje tak męskie, jak i żeńskie wydzieliny. W budowie anatomicznej uwydatnia się to również wystającym położeniem męskich narządów płciowych, które ciało mężczyzny pozbawia tak rażąco cha-

rakteru naczynia. W każdym razie można w tym fakcie morfologicznym widzieć pewnego rodzaju odzwierciedlenie męskości popędu detumescencji, nie nawiązując zaraz do tego żadnych filozoficznych wnioskowań. Że w kobiecie brak popędu detumescencji, świadczy o tem ten także fakt, że przeważna część ludzi, zawierających ponad $\frac{2}{3}$ pierwiastków M, popada w młodości bez wyjątku prawie w onanię dłużej lub krócej trwającą, w nałóg, któremu z pośród kobiet podlegają tylko najbardziej do mężczyzn podobne. K sama nie zna masturbacji. Wiem, że stawiam tu twierdzenie, któremu przeczą zapewnienia wręcz przeciwne. Ale doświadczenia pozornie przeciwko niemu przemawiające dostatecznie się niebawem wyjaśnią.

Najpierw atoli mamy jeszcze omówić popęd kontrektacji u K. Ten odgrywa u kobiety najważniejszą, bo jedyną rolę. Ale i co do niego nie można twierdzić, jakoby u jednej płci był większy, niż u drugiej. W pojęciu popędu kontrektacji nie leży bynajmniej rola czynna w zetknięciu się, a tylko potrzeba cielesnego kontaktu z drugim w ogólności osobnikiem, bez względu na to, kto z nich jest stroną dotykającą, a kto dotkniętą.

Dezorjentacja w tych sprawach, wskutek której intensywność pragnienia utożsamia się zawsze z pragnieniem czynnego działania, pochodzi stąd, że w całym świecie zwierzęcym, jest M wobec K, w świecie zaś mikrokosmicznym każdy zwierzęcy roślinny plemnik wobec komórki jajowej zawsze stroną poszukującą i agresywną. Nasuwa się błędny wniosek, że czynne zachowanie się, zmierzające do osiągnięcia pewnego celu

i pragnienie dopięcia tegoż związane są ze sobą w prawidłowym i stale proporcjonalnym stosunku przyczyny i następstwa i na tej podstawie przypuszcza się nieobecność poczucia potrzeby tam, gdzie brak wyraźnych ruchów, zmierzających do jej zaspokojenia. To spowodowało, że popęd kontrektacji uważa się za specjalnie męski i wprost go się u kobiety nie uznaje. Jest jednak zrozumiałe, że i tu jeszcze w granicach popędu kontrektacji trzeba umieć dobrze rozróżniać. Okaże się jeszcze niżej, że M ma pod względem płciowym potrzebę atakowania (w znaczeniu tak przenośnem, jak dosłownem), K zaś potrzebę być atakowaną i jest jasne, że potrzeba kobieca nie musi być zgoła z powodu swej skłonności ku roli piernej słabszą, niż potrzeba czynnego działania u mężczyzny. O rozróżnieniach tych przydałoby się pamiętać w tak częstych debatach nad wciąż ponawianem zagadnieniem, w której z płci właściwie istnieje silniejszy popęd ku drugiej.

To, co się u kobiety nazywa masturbacją, wypływa z innej przyczyny, a nie z popędu detumescencji. K jest płciowo znacznie pobudliwszą od mężczyzny, i tu mamy sposobność po raz pierwszy poruszyć rzeczywistą między nimi różnicę. Fizjologiczna pobudliwość (nie wrażliwość) kobiety jest pod względem sfery seksualnej znacznie silniejszą. Fakt tej łatwej pobudliwości płciowej może się u kobiety przejawiać albo w pragnieniu podniecenia płciowego, albo też w szczególnym, bardzo drażliwym, samego siebie, jak się zdaje, niezbyt pewnym, a stąd niespokojnym i głębokim lęku przed doznaniem podniecenia płcio-

wego wskutek cielesnego zetknięcia. Pragnienie ekscytacji płciowej jest o tyle rzeczywistą oznaką łatwej pobudliwości, że bynajmniej nie należy ono do tego rodzaju pragnień, którym I o s w samej naturze człowieka ugruntowany nigdy ziścić się nie pozwala, ale przeciwnie wskazuje, że cały ustrój jest w wysokim stopniu podatny i skłonny do przejścia w stan podniecenia płciowego, przez kobietę możliwie intensywnie i możliwie nieprzerwanie pożądany i nie kończący się, tak jak u mężczyzny, na detumescencji w kontrektacji osiągniętej. Celem aktów za onanie kobiety uważanych nie jest tak jak u mężczyzny usunięcie stanu podniecenia płciowego; wynikają one raczej z żądy wywołania tego stanu, wzmocnienia go i przedłużenia. — Z lęku przed podnieceniem płciowym, lęku, którego analiza stanowi dla psychologii kobiety bynajmniej nie łatwe, może nawet jedno z najtrudniejszych zadań, można również napewno wnosić o dużej słabości pod tym względem.

Stan podniecenia płciowego jest dla kobiety tylko najwyższym stopniowaniem całego jej istnienia. Jest ono zawsze i nawskroś płciowe. Kobietę pochłania całkowicie życie płciowe, sfera zapłodnienia i rozmnażania wypełnia w zupełności jej jestestwo. Podczas gdy M jest nie tylko istotą płciową. Tu tkwi więc w rzeczywistości ta różnica, której dopatrzyć się usiłowano w rozmaitem natężeniu popędu płciowego. Należy się zatem wystrzegać utożsamiania porywczosci żądy płciowej i siły afektów płciowych z rozciągłością pragnień i zainteresowań płciowych u mężczyzny i kobiety. Jedynie szersza rozciągłość sfery płciowej, rozpostartej na całą istotę człowieka u K, stanowi specyficzną róż-

nicę obu skrajnych przedstawicieli płci, bardzo ważną i doniosłą.

Gdy więc K jest całkowicie wypełniona i pochłonięta płciowością, mężczyznę M zajmuje jeszcze tuzin innych spraw: walka i gra, życie towarzyskie i biesiady, dyskusje i nauka, interesy i polityka, religja i sztuka. Nie mówię tu o tem, czy było kiedyś inaczej; niewiele to nas obchodzi; rzecz ma się z tem tak, jak z kwestją żydowską: utrzymują, że żydzi stali się dopiero takimi, jakimi są obecnie i że byli kiedyś całkiem inni. Być może: ale my o tem nie wiemy. Kto ma tak wielkie zaufanie do rozwoju, niechże w to wierzy; dowodu na te rzeczy niema żadnego, a każdej historycznej wiadomości przeciwstawia się zaraz inna. Tu zaś chodzi o to, jakimi kobiety są dzisiaj. A jeżeli natrafiamy na objawy, które niepodobna, aby były istotnie jakiej z zewnątrz zaszczone, możemy śmiało przyjąć, że od wieków jest ona zawsze jednaka. Dzisiaj więc, co najmniej, to jedno jest pewne: K zajmuje się, z pewnym pozornym wyjątkiem (rozdział 12), sprawami pozapłciowymi tylko przez wzgląd na mężczyznę, którego kocha lub przez którego chciałaby być kochaną. Zainteresowania dla spraw tych, samych w sobie, zgoła nie posiada. Zdarza się, że kobieta prawdziwa uczy się języka łacińskiego; dzieje się to jednak tylko w tym celu, aby naprzykład synowi swemu, uczęszczającemu do gimnazjum, i w tym kierunku jeszcze móc przyjść z pomocą i opieką. Zamiłowanie jednak do jakiejś rzeczy i talent do niej, zainteresowanie się nią i łatwość przyswojenia jej sobie są do siebie zawsze proporcjonalne. Kto nie ma mięśni, nie ma też ochoty do ciężkich ćwiczeń fizycznych; a

studjom matematycznym poświęci się tylko ten, kto ma zdolność do matematyki. A więc nawet talent wydaje się być w kobiecie prawdziwej rzadszym i mniej intensywnym (choć o to nie chodzi: płciowość byłaby nawet i w razie przeciwnym zbyt silną, aby dopuścić inne poważnie traktowane zajęcia); dlatego też zapewne brak kobiecie warunków do tworzenia interesujących kombinacji, które u mężczyzny wprawdzie nie stanowią indywidualności, ale mogą ją kształtować.

Odpowiednio do tego mężczyźni wyłącznie kobieco tylko usposobieni uganiają bezustanku za kobietami, nie umiając niczem innym się zająć, jak tylko miłostkami i stosunkami płciowymi. Bynajmniej jednak nie należy tego uważać za załatwienie zagadnienia Don Juana lub choćby za poważne jego poruszenie.

K jest niczem innym, jak tylko płciowością, M jest płciowy z pewną jeszcze ponad to nadwyżką. Szczególnie wyraźnie okazuje się to z tak odmiennego zgoła sposobu przeżywania przez mężczyznę i kobietę początku okresu dojrzałości płciowej. U mężczyzny pora pokwitania jest zawsze krytyczną; czuje on, że w istnienie jego wkracza obcy żywioł, coś co się wdiera w dotychczasowe jego myślenie i czucie bez jego woli. Jest to fizjologiczna erekcja nad którą wola niema władzy; i stąd odczuwa każdy mężczyzna pierwszą swą erekcję, jako fakt zagadkowy i niepokojący, którego szczegóły bardzo wielu mężczyzn przez całe życie pamięta z największą dokładnością. Kobieta zaś oswaja się nietylko z dużą łatwością ze stanem pokwitania, ale czuje ona odtąd istnienie swe, że tak powiem, spotęgowane, a własną,

swą wagę nieskończenie urosłą. Jako chłopiec, nie odczuwa męczyzna zgoła żadnej potrzeby dojrzałości płciowej; kobieta zaś spodziewa się już, jako całkiem młode dziewczę po tym okresie wszystkiego. W mężczyźnie wywołują objawy jego cielesnej dojrzałości uczucia przykre, nawet wrogię i pełne niepokoju, kobieta śledzi swój fizyczny rozwój podczas pokwitania z największym napięciem, z gorączkowem, najniecierpliwszym oczekiwaniem. To świadczy, że płciowość mężczyzny nie leży w prostej linii jego rozwoju, gdy tymczasem u kobiety zachodzi tylko olbrzymie spotęgowanie jej dotychczasowego stanu bytowania. Mało jest chłopców w tym wieku, którzyby ze zgorszeniem nie odrzucili, za śmieszną ją uważając, myśli, że mogliby się zakochać i ożenić (ożenić, jako fakt w ogólności, nie w odniesieniu do jakiejś oznaczonej dziewczyny); natomiast najmniejsze już dziewczątka zdają się pożądlwie oczekiwać od miłości i małżeństwa wogóle dopełnienia bytu swego. Dlatego kobieta ocenia pozytywnie tak u siebie samej, jak u innych kobiet tylko okres dojrzałości płciowej; stosunku swego do dzieciństwa i starości nie umie w sposób właściwy ułożyć. Wspomnienie dzieciństwa jest dla niej później tylko wspomnieniem własnej naiwności, własną swą starość widzi już naprzód w perspektywie lęku i obrzydzenia. Z dzieciństwa wydobywa pamięć jej tylko momenty płciowe, jako pozytywnie wartościowe, a i te tracą na porównaniu z późniejszym nieporównanie wyżej spotęgowaniem napięciem jej życia, wypełnionego właśnie życiem seksualnem. Noc poślubna wreszcie, moment deflacji, jest najważniejszym, możnaby rzec, szczytowym

punktem całego życia kobiety. W stosunku do znaczenia, jakie ma dla płci żeńskiej pierwszy całus, nie odgrywa on w życiu mężczyzny żadnej wogóle roli.

Kobieta jest tylko płciową, mężczyzna jest także płciowym: różnicę tę można snuć jeszcze dalej, zarówno pod względem przestrzennym jak i czasowym. Na ciele mężczyzny jest punktów, w których może on doznać podniecenia płciowego, niewiele, i te są ściśle zlokalizowane. U kobiety jest płciowość rozproszoną po całym ciele, każde dotknięcie w jakimkolwiek miejscu pobudza ją seksualnie. Jeżeli zatem w drugim rozdziale części pierwszej mówiliśmy o określonym nacechowaniu płciowym całego ciała męskiego, jak i żeńskiego, nie należy sądzić, jakoby każdy punkt ciała mógł być równomiernie podrażnionym zarówno u mężczyzny, jak i u kobiety. Istnieją oczywista i u kobiety miejscowe różnice pod względem pobudliwości, ale niema tu między całą resztą ciała, a okolicą narządów płciowych tak ostrego przedziału, jak u mężczyzny.

Morfologiczny fakt odstawiania genitaljów męskich od ciała mężczyzny, możnaby uważać również za symboliczny objaw tego stanu rzeczy.

Podobnie, jak seksualizm mężczyzny odcina się u niego miejscowo od aseksualnych okolic ciała, nierównomierność tego samego rodzaju znamionuje także zachowanie się jego w rozmaitych czasach. Popęd płciowy istnieje w kobiecie zawsze (pozorne wyjątki, przeciwko płciowości kobiety stale wytaczane, będzie jeszcze sposobność bardzo szczegółowo omówić), u mężczyzny spoczywa on zawsze przez czas dłuższy lub krótszy. Tem się też

tłumaczy wybuchowy charakter męskiego popędu płciowego, który mu nadaje wyrazistość silniejszą od kobiecego, przyczyniając się również do rozpowszechniania błędnego mniemania, jakoby popęd płciowy mężczyzny był silniejszym, niż kobiety. Istotna różnica polega tu na tem, że dla M popęd spółkowania jest, że tak rzekę, świerzbem przerywanym, dla K bezustannem łaskotaniem.

Wyłączna i ciągłotrwała płciowość kobiety pod względem cielesnym i duchowym ma jednak jeszcze daleko sięgające następstwa. To, że u mężczyzny seksualizm jest tylko pewnego rodzaju przyczynkiem, nie stanowiąc dlań wszystkiego, umożliwia mu również i psychologiczne wysunięcie go z tła, tem samem więc uświadomienie go sobie. Mężczyzna umie się więc przeciwstawić swej płciowości i może wziąć ją pod uwagę w oderwaniu od reszty swej istoty. — Płciowość kobiety natomiast nie może się ani ograniczeniem pory swych wybuchów, ani odpowiednim narządem anatomicznym, w którymby nazewnątrż była widocznie umiejscowiona, od sfery nieseksualnej odgrodzić. Dlatego mężczyzna wie o swoim seksualizmie, podczas gdy kobieta już choćby dlatego może jej sobie nie uświadamiać i co za tem idzie w dobrej wierze ją zaprzeczać, że jest niczem innym, jak tylko płciowością, że ona to jest samą właśnie płciowością, jak uprzedzając późniejsze wywody, odrazu dodać możemy. Brak kobietom, dlatego, że są istotami płciowemi, koniecznej do postrzegania seksualizmu, jak do każdego innego postrzegania, dwoistości, gdy tymczasem u mężczyzny, będącego zawsze czemś więcej jeszcze niż tylko seksualnym, płciowość odcina się

nie tylko anatomicznie, ale i psychologicznie od całej reszty jego istoty. Dlatego jest on zdolnym zająć stanowisko samoistne wobec płciowości; może, porajac się z nią, ujmować ją w karby lub jej folgować, może jej opór stawiać lub przytakiwać: tkwią w nim, jako możliwości zadatki na Don Juana i na świętego, może z nich wybrać jedną lub drugą. Z grubiańska to wyrażając: mężczyzna ma pennis, ale kobieta ma vagina.

Wydedukowaliśmy zatem prawdopodobieństwo, że mężczyzna uświadamia sobie swój seksualizm i samoistnie mu się przeciwstawia, podczas gdy kobiecie, jak się zdaje, brak tej zdolności; wniosek ten zaś opiera się na większym zroźniczkowaniu u mężczyzny, w którym sfera seksualna i aseksualna wyodrębniły się od siebie. Zdolność lub niezdolność uchwycenia myślą pewnego poszczególnego przedmiotu nie mieści się jednak w pojęciu, jakie się zazwyczaj wiąże ze słowem świadomości. W pojęciu tem mieści się raczej to znaczenie, że jeżeli istota jaka ma świadomość, to może każdy wogóle przedmiot uczynić jej treścią. Nasuwa się tu zatem kwestja natury świadomości kobiecej w ogólności, a roztrząsania tego tematu zawiodą nas z powrotem po długiej dopiero dygresji znów do tego punktu, który tu tylko pobieżnie poruszyliśmy.

ROZDZIAŁ III.

Świadomość męska i żeńska.

Zanim się zajmiemy dokładniej główną różnicą duchowego życia płci, o ile ono przedmioty świata zewnętrznego i własnego wnętrza treścią swą czyni, musimy się najpierw zastanowić nad kilku kwestjami psychologicznymi i kilka pojęć ustalić. Zważywszy, że poglądy i zasady panującej psychologii rozwinęły się bez względu na ten specjalny temat, byłoby to wprost dziwnem tylko, gdyby teorie jej dały się bez trudności w tej dziedzinie zastosować. Prócz tego, nie ma dziś jeszcze wcale psychologii, a są dotąd tylko różne psychologje; przyłączenie się więc do pewnej określonej szkoły, celem rozpatrzenia całego tematu wyłącznie ze stanowiska podstawowych jej twierdzeń miałoby niezawodnie znacznie bardziej charakter dowolności, niż droga, którą tu pójść postanowiliśmy w tym zamiarze, aby trzymając się jak najściślej dotychczasowych zdobyczy, sprawy tę, w granicach potrzeby samoistnie i na nowo zgłębić.

Dążenia do jednolitego poglądu na całe życie duchowe, do oparcia go na jedynym wyłącznie procesie podstawowym przejawiały się w psychologii empirycznej przedewszystkiem w zapatrywaniach poszczególnych badaczy na stosunek zachodzący

między wrażeniami i uczuciami. Herbart wywiódł uczucia z wyobrażeń, Horwicz natomiast sądzi, że wrażenia rozwinęły się dopiero z uczuć. Najwybitniejsi z współczesnych psychologów wskazali na beznadziejność tych monistycznych usiłowań. Mimo to na dnie ich tkwiła pewna prawda.

Aby tę prawdę znaleźć, należy przestrzegać rozróżnienia, które jakkolwiek nader dostępnem się wydaje, szczególnym sposobem w dzisiejszej psychologii zgoła uwzględnionem nie jest. Należy pierwsze doznanie pewnego wrażenia, pierwsze pomyślenie pewnej myśli, pierwsze odczucie pewnego uczucia odróżniać od późniejszych powtórzeń tego samego procesu, w których już tylko ponawia się ich rozpoznanie. Dla szeregu zagadnień ma rozróżnienie to, jak się zdaje, znaczenie doniosłe, jakkolwiek dzisiejsza psychologia go nie zna.

Każde wyraźne, jasne, plastyczne wrażenie, zarówno jak każdą dobitnie zindywidualizowaną myśl, zanim po raz pierwszy w słowa jest ujęta, wyprzedza, często oczywiście bardzo krótkie, stadium niejasności. Podobnie też przed każdym nie dosyć jeszcze biegle przyswojonem skojarzeniem, trwa mniej lub więcej krótki przeciąg czasu, w którym istnieje tylko niejasne poczucie dążenia ku treści skojarzyć się mającej, pewne ogólne przeczucie asocjacji, pewne poczucie przynależności do czegoś innego. Stanami pokrewnymi zajmował się niewątpliwie Leibniz szczególnie, a Herbart i Horwicz znaleźli w więcej lub mniej dokładnym ich opisie pochoch do wspomnianych wyżej teoryj.

Gdy za elementarne, podstawowe formy wszystkich uczuć uważa się przyjemność i przykrość, co najwyżej jeszcze zgodnie z Wundtem napięcie i zwolnienie, uspokojenie i podniecenie, podział zjawisk duchowych na wrażenia i uczucia jest dla stanów, należących do zakresu owych przedjasnościowych stadiów, jak to się zaraz dokładnie okaże, za ciasnym i stąd do opisu ich zastosować się nie daje. Celem ścisłego rozgraniczenia chcę zatem oprzeć się na najogólniejszej, jaką wogóle przeprowadzić można było, klasyfikacji zjawisk psychicznych, a to na avenariusowskim podziale ich na „elementy” i „charaktery” (charakter w tym znaczeniu nie ma nic wspólnego z przedmiotem charakterologii) Avenarius utrudnił zastosowanie swych teorii nie tyle swą, jak wiadomo całkowicie nową terminologią, (która atoli zawierając dużo pomysłów doskonałych dla pewnych spraw przez niego po raz pierwszy zauważonych i określonych, jest bodaj że niezbędną); przyjęciu wielu jego poglądów stoi na przeszkodzie nieszczęsna jego manja wyprowadzania psychologii z systemu mózgowo-fizjologicznego, który on sam wysunął tylko z psychologicznych faktów wewnętrznego doświadczenia (uwzględniając z zewnątrz najogólniejsze wiadomości biologiczne o równowadze między wyżywieniem, a pracą). Psychologiczna druga część jego „krytyki czystego doświadczenia” była podwaliną, na której w nim samym spoczęła hipoteza fizjologicznej części pierwszej; w wykładzie stosunek ten odwrócił się i stąd pierwsza ta część sprawa na czytelniku wrażenie opisu podróży po Atlantydzie. Wskutek tych trudności jestem zmuszony wyłożyć tu w krótkości zasadniczą myśl avenariusow-

skiego podziału, który okazuje się najbardziej przydatnym dla mego celu.

„Elementem“ jest dla Avenariususa to, co się w psychologii szkolnej nazywa „wrażeniem“, „treścią wrażenia“ lub poprostu „treścią“ (i to zarówno przy „percepcji“ jak i „reprodukcji“), u Schopenhauera „wyobrażeniem“, u Anglików „impression“ albo „idea“, w potocznym życiu „rzecz, przedmiot“; bez względu na to, czy działa bodziec zewnętrzny na narządy zmysłowe czy nie, co jest bardzo ważne i nowe. Przytem tak dla jego, jak i naszych celów jest zgoła rzeczą podrzędną, gdzie tak zwana analiza ustaje, czy się uważa całe drzewo za „wrażenie“, czy tylko pojedynczy liść, pojedynczą jego szypułkę, czy nawet za składnik „najprostszy“ uznaje się (kończąc przeważnie na tem analizie) ich barwę, wielkość, konsystencję, zapach i temperaturę. Możnaby bowiem w tym kierunku dalej jeszcze idąc twierdzić, że zieloność liścia jest już kompleksem, a to złożonym z jego jakości, intensywności, jasności, nasycenia i rozciągłości i te dopiero składniki uważać za elementy; podobnie, jak się to ma często z atomami, które raz już musiały ustąpić „amerom“ a teraz znów „elektronom“.

Gdy zatem cechy „zielony“, „niebieski“, „ciepły“, „zimny“, „twardy“, „miękki“, „słodki“, „kwaśny“ są elementami. to charakterem jest wedle Avenariususa wszelkiego rodzaju „zabarwienie“, „ton uczuciowy“, w jakim cechy te występują; i tak **nie** tylko „przyjemny“, „piękny“, „miły“ i ich przeciwieństwa, lecz także przez Avenariususa po raz pierwszy za psychologicznie do tej sfery zjawisk zaliczone cechy, „zastanawiający“, „zaufania godny“, „niesamo-

wity", „stateczny", „inny", „pewny", „znany", „faktyczny". „wątpliwy", itd. itd. To co naprzykład przypuszczam, sędzę, wiem, w co wierzę, jest „elementem", że jednak właśnie przypuszczam to, nie zaś wierzę w to, lub wiem o tem, to to psychologicznie (nie logicznie) stanowi „charakter" „elementu".

Istnieje atoli stadjum w życiu duchowem, w którem także i ten najstarszy podział zjawisk psychicznych, jest przedwczesny i nie do przeprowadzenia jeszcze. Wszystkie elementy zjawiają się mianowicie w początkach swych, jakby na tle zatarciem i zamazaniem, jako „*rudis indigestaque moles*", podczas gdy charaktery (mniej więcej zatem=tony uczuciowe) całość wtedy żywo zabarwiają. Jest to podobne do procesu, jaki się odbywa, gdy się zbliżamy do jakiegoś przedmiotu w okolicy z oddali, do krzaka lub stosu drzewa: pierwotne wrażenie, jakiego się od niego doznaje, tę pierwszą chwilę, kiedy się jeszcze dłuższy czas nie wie, co „to" jest właściwie, ten moment pierwszej najsilniejszej niepewności i niejasności, proszę sobie przedewszystkiem uprzytomnić dla zrozumienia dalszego ciągu.

W tym tedy momencie jest „element" i „charakter" absolutnie nie do rozeznania (nierozdzielne mi są one zawsze w myśl niezawodnie słusznej modyfikacji, przeprowadzonej przez Petzoldta w poglądzie avenariusowskim), W gęstej ciżbie ludzi spostrzegam np. twarz, której widok natychmiast mi przysłaniają tłoczące się w pośrodku tłumu. Nie mam pojęcia, jak twarz ta wygląda, nie byłbym zgoła zdolnym opisać ją lub podać choćby jeden

znamienny rys jej; a przecież wprawiła mnie ona w nader żywe rozdrażnienie i z niepokojem trwożliwej, nienasyconej ciekawości zapytuję: gdzie też ja twarz tę już raz widziałem?

Zdarza się często, że ktoś ujrawszy na „chwilę” twarz kobiecą, która nań bardzo silne wrażenie zmysłowe wywiera, nie umie nawet sam sobie zdać sprawy z tego, co właściwie widział, a czasami nie może sobie przypomnieć nawet barwy włosów. Warunkiem atoli jest tu zawsze, aby wyrażając się, w stylu całkiem fotograficznym, siatkówka była przez czas dostatecznie krótki, przez ułamek sekundy wystawiona na działanie przedmiotu.

Zbliżając się z dużej odległości do jakiegoś przedmiotu, rozróżnia się zawsze najpierw tylko zgoła niepewne jego zarysy; przytem jednak doznaje się uczuć nader żywych, które ustępują w miarę, jak się zbliżamy i pojedyncze szczegóły wyraźniej się rysują. (O „uczuciach oczekiwania”, na co jeszcze specjalnie zwrócimy uwagę, tu nie mówimy). Przypomnijmy sobie na przykład pierwszy widok wyjętej ze szwów swych ludzkiej kości klinowatej, albo wrażenie niektórych obrazów i malowideł, gdy się stanęło w odległości o pół metra bliżej lub dalej, niż należy; pamiętam specjalnie wrażenie, jakie wywierały na mnie pasaże z trzydziestodwójkami w beethovenowskich wyciągach fortepianowych i pewna rozprawa z samemi potrójniami całkami, zanim jeszcze znałem nuty i miałem pojęcie o rachunku całkowym. Otóż Avenarius i Petzoldt przeoczyli właśnie, że: wszelkiemu uwydatnieniu się elementów towarzyszy pewnego rodzaju wyodrębnienie charakterystyki (zabarwienia uczuciowego).

Z temi wynikami autoobserwacji można zesta-
wić także kilka faktów, przez psychologję ekspe-
rymentalną stwierdzonych. Jeżeli w ciemnicy pod-
damy oko, znajdujące się w stanie przystosowania
do ciemności, momentalnemu lub nader krótki czas
trwającemu działaniu podrażnienia barwnego, pa-
trzący dozna tylko wrażenia światła i nie będzie
mógł podać dokładnie jakości barwnej podrażnienia
światelnego; ma się wrażenie „czegoś” bez żadnego
zgoła dokładniejszego oznaczenia, „wrażenie światła
w ogólności”; a ściśle określenie jakości barwnej
nawet i wtedy jeszcze niełatwo jest możliwem, gdy
ie trwanie podniety przedłuży (naturalnie nie ponad
pewną miarę).

Tak samo jednak każde naukowe odkrycie,
każdy wynalazek techniczny, każde artystyczne dzie-
ło poprzedza pokrewne stadium ciemności podobnej
do tej, z jakiej Zarathustra wywołuje na światło
swą naukę wieczystego powrotu: „Na górę, wzwyż,
przepastna myśli, z mej głębi! Jestem twym kurem
i szarym przedświtem zaspany robaku: nużel na nogi!
już cię porannem pianiem głos mój budzi ze snu!”—
Cały ten proces od zupełnej gmatwy aż do najjaś-
niejszej światłości da się w przebiegu swym porów-
nać z szeregiem obrazów, jakich się jest biernym
widzem podczas kolejnego zdejmowania z jakiejś
plastycznej grupy czy wypukłorzeźby znacznej liczby
spowijających ją wilgotnych płócien; podobnego
wrażenia doznaje widz przy odsłonięciu pomnika.
Atoli i wtedy, kiedy sobie coś przypominam, np. ja-
kąś słyszana raz melodię, proces ten z nów się od-
bywa, co prawda często w formie nader skróconej i
stąd trudnej do uchwycenia. Każdą nową myśl

poprzedza taka „przedmyśl”, jakby się wyrazić można, kiedy to wyłaniają się pierzchając płynne geometryczne kształty, wzrokowe fantazmaty, twory z mgły „chwijne postacie”, przysłonięte obrazy i tajemniczo wabiące maski; początek i koniec tego procesu, który w całości nazywam zwięźle procesem „wyklarowywania”, mają się pod pewnym względem tak do siebie, jak wrażenie, które ktoś w wysokim stopniu krótkowidzący odbiera z przedmiotów bardzo odległych przez szkła pomocnicze i bez szkieł.

Jak zaś w życiu pojedynczego człowieka (który umiera może, nie doznawszy całego procesu) tak też i w historii nauki „przeczcucia” poprzedzają zawsze jasne i pewne wiadomości. Jest to ten sam proces wyklarowywania, na pokolenia rozłożony. Przypominają się np. liczne greckie i nowożytnie antycypacje teorii L'amarcka i Darwina, z powodu których wielbi się dziś „poprzedników” aż do przesytu, liczni zwiastuni Roberta Mayera i Helmholtza, wszystkie te punkty, w których Goethe i Leonardo da Vinci, ludzie coprawda najwszechstronniejsi może, wyprzedzili późniejszy postęp wiedzy itd., itd. O takie stadja poprzedzające zazwyczaj chodzi, ilekroć się odkrywa, że ta lub owa myśl zgoła nie jest nową, że mieści się już w tem a tem dziele. — I we wszystkich stylach artystycznych, w malarstwie, zarówno jak i w muzyce, można dostrzec podobny proces rozwojowy: od niepewnych kroków poomacku i ostrożnego balansowania do wielkich zwycięstw. Również i myślowy postęp ludzkości w nauce polega prawie wyłącznie na coraz lepszym opisie i poznaniu tych samych rzeczy; jest to proces rozjaśniania, rozciągają-

cy się na całą historję ludzkości. Nowe rzeczy, które poznajemy, nie grają właściwie zbyt dużej o b o k tego roli.

Przez ile stopni wyrazistości i zróżnicowania przejść może pewna treść wyobrażeniowa, zanim dojdzie do myśli zupełnie sprecyzowanej, żadną mgłą w zarysach swych już nie przyciemnionej, przekonać się można, ucząc się jakiegoś nowego trudnego przedmiotu wiedzy np. teorii funkcji eliptycznych. Ileż to stopni zrozumienia przebyć nam potrzeba (w matematyce zwłaszcza i mechanice), póki się wszystko przed nami nie ułoży pięknie w całkowity ład i porządek, w niezmaconą i doskonałą harmonję części i całości, dla myśli uważnej przejrzystą i łatwo uchwytną! Stopnie te odpowiadają poszczególnym etapom na drodze wyklarowywania.

Proces klarowania może mieć również przebieg wsteczny od zupełnego wyodrębnienia aż do największego zatarcia. To odwrócenie przebiegu klarowania jest niczem innem, jak procesem zapomnienia, który atoli zwyczajnie trwa przez dłuższy przeciąg czasu i po większej części przypadkowo tylko w tym lub owym punkcie swego toku bywa spostrzeżony. Nikną niejako drogi niegdyś dobrze wytknięte, dla których utrzymania nie przedsięwzięto żadnej „reprodukcji”; jak z młodzieńczych przedmyślowych stanów wyblyskuje w najwyższem napięciu „myśl”, tak znów „myśl” popada w stan starczej zgrzybiałości; i jak długo nieuczęszczana droga leśna zarastać zaczyna z obu stron trawą, ziołami i krzewami, tak się z dnia na dzień zaciera wyrazista wypukłość nieodświeżanej myśli. Wyjaśnia

to też praktyczną regułę, przez jednego z mych przyjaciół odkrytą i na sobie samym sprawdzoną: kto chce się czegoś nau czy ć, czy to jakiegoś utworu muzycznego, czy też ustępu z historii filozofii, nie potrafi naogół oddać się dotyczącej pracy w ten sposób, aby jej nie przerywać i nie być zmuszonym do powtórnego przerabiania pewnych części materiału. Zachodzi tu więc pytanie, jak wielkie pauzy między jednym i drugim powtarzaniem przedmiotu odpowiadają najbardziej celowi? Otóż okazało się — i naogół musi się tak dziać powszechnie, że należy się brać do powtarzania, dopóki jeszcze praca nie budzi w nas znów zainteresowania, dopóki się nam jeszcze zdaje, że panujemy nad materiałem. Skoro tylko bowiem ten się do tyła zatrze, że znów interesuje, zaciekawia i pociąga, świadczy to, że wyniki, pochodzące z pierwszego przerobienia, już się zatraciły i ponownem przerobieniem nie łatwo dadzą się wzmocnić, tak, że na nowo podjąć się trzeba znów sporej części pracy wyklarowywania.

Być może, że w myśli teorii Zygmunta Exnera o „torowaniu“, zgodnej z nader popularnym poglądem, należy rzeczywiście za równoległy fizjologiczny proces klarowania przyjąć to, że przez włókna nerwowe, względnie przez ich fibry, musi być droga, mająca bodźcom służyć na przewód, dopiero utorowaną zapomocą wystawienia ich na (dłużej trwające lub częściej powtarzane) działanie. Podobnie też należałoby w razie zapomnienia sądzić, że rezultat takiego „torowania“ zatracą się, a wytworzone przezeń w poszczególnym neuronie elementy morfologicznej budowy wskutek braku ćwiczenia zanikają.

Avenariusowska teoria zjawisk powyższym objawom pokrewnych — jako wyjaśnienie spraw tych przyjął Avenarius różnice „artykulacji” lub „uczłonkowania” w procesach mózgowych (w „niezawisłych wahaniach systemu C”) — przerzuca przecież w sposób niezawodnie zbyt prosty i zbyt dosłowny właściwości „szeregu zawisłego” (tj. psychicznego) na szereg „niezawisły” (fizyczny), aby można ją specjalnie dla kwestji związków psychofizycznych uważać za przydatną. Natomiast samo wyrażenie „artykułowany”, „uczłonkowany” na określenie stopnia wyodrębnienia poszczególnie danych faktów duchowych wydaje się nader odpowiedniem, wobec czego zastrzegamy sobie niniejszem późniejsze zastosowanie go do tego celu.

Proces wyklarowywania trzeba tu było w całym jego przebiegu przedstawić, aby poznać zakres i treść nowego pojęcia. Atoli dla obecnie interesującej nas z kolei kwestji ważnem jest tylko stadjum początkowe, punkt wyjścia klarowania. Do treści psychicznej, odbywającej w dalszym ciągu proces klarowania, zaraz w pierwszym momencie jej pojawienia się, nie da się jeszcze, jak to wyjaśniliśmy, zastosować avenariusowski podział na „elementy” i „charaktery”. Kto zatem podział ten akceptuje dla wszystkich stanów rozwiniętych, duchowych, będzie zmuszony dla treści duchowej w stadjum, kiedy taka dwoistość nie da się jeszcze rozróżnić, wprowadzić osobną nazwę. Pozwalam sobie dla faktów duchowych w tym najbardziej prymitywnym stanie ich dzieciństwa zaproponować wyraz „henida”, nie roszcząc sobie przytem żadnych pretensyj, sięgających poza ramy niniejszej pracy (od grec-

cze w zupełności tą artykułowaną treścią, różniąc się od niej w pewien sposób mniejszym stopniem świadomości, brakiem wypuklenia, zlanie się rzeczy głównej z uboczną, brakiem „punktu patrzenia” na „polu widzenia”.

Pojedynczej henidy zatem nie można obserwować, ani opisywać: można tylko powziąć wiadomość o tem, że była.

Zasadniczo zresztą można henidami równie dobrze myśleć i żyć, jak elementami i charakterami; każda henida stanowi indywiduum i doskonale się od wszystkich innych wyróżnia. Z przyczyn, które później będą wyłuszczone, należy przyjąć, że przeżycia najwcześniejszego dzieciństwa (w szczególności ma się rzecz tak prawdopodobnie w pierwszych 14 miesiącach w życiu wszystkich bez wyjątku ludzi) są henidami, aczkolwiek może nie w znaczeniu absolutnem. W każdym razie zdarzenia duchowe najwcześniejszego dzieciństwa nigdy przynajmniej nie oddalają się zbyt od stadium henidalnego; podczas gdy u człowieka dorosłego rozwój treści duchowej ponad stan ten w znacznej części ją wynosi. Natomiast uznać trzeba widocznie henidę za formę życia wewnętrznego najniższych tworów żyjących i może bardzo wielu roślin i zwierząt. Człowiek posiada zdolność rozwoju od stanu henidy do pełni zróżniczkowanego, plastycznego czucia i myślenia, jakkolwiek stanowi ona dla niego ideał całkowicie nigdy nieosiągalny. Jak z jednej strony absolutna henida nie dopuszcza jeszcze wogóle mowy, gdyż rozczłonkowanie mowy wynika tylko z rozczłonkowania myśli, tak z drugiej znów strony istnieją i na najwyższym dla człowieka dostępnym szczeblu roz-

woju umysłowego niejasne jeszcze i niewysłowne momenty.

Ostatecznie zatem teoria henid usiłuje przyczynić się do uśmierzenia sporu między wrażeniem i uczuciem o godność starszeństwa i w miejsce określników „element“ i „charakter“, wyjętych przez Avenariususa i Petzoldta ze środka procesu klarowania, chce dać ewolucyjny opis stanu rzeczy: na podstawie fundamentalnego spostrzeżenia, że dopiero z chwilą wyłonienia się „elementów“ można je od „charakterów“ odróżnić. Dlatego to jest się usposobionym do „nastrojów“ i wszelkich „sentymentalizmów“ wtedy tylko, gdy rzeczy nie przedstawiają się w ostrych konturach, i podlega się im łatwiej w nocy, niż za dnia. Skoro noc ustępuje światłu, zmienia się i sposób myślenia u ludzi.

W jakim stosunku atoli stoją wywody te do psychologii płci? jaka różnica zachodzi między M i K pod względem stadjów rozjaśnienia? Widocznie bowiem, że cały ten przydługi wykład w tym celu był podjęty.

Na to dać trzeba następującą odpowiedź: mężczyzna ma tę samą, co, kobieta treść duchową w formie artykułowanej; tam, gdzie ona mniej lub więcej myśli w henidach, tam on myśli już w jasnych, wyodrębnionych wyobrażeniach, z którymi się wiąza wyraźnie uczucia, dające się zawsze od rzeczy odzielić. U K „myślenie“ i „uczucie“ jest jednym i nierozłącznym, u M należy je rozróżniać. K przeżywa zatem wiele jeszcze rzeczy w formie henid, gdy u M już oddawna nastąpiło wyklaro-

wanie. *) Dlatego K jest sentymentalną i kobieta zna tylko rozczulenie, a nie zna wstrząśnienia.

Większej artykulacji faktów duchowych u mężczyzny odpowiada też większa ostrość cielesnej jego budowy i jego rysów twarzy w stosunku do miękkości, krągłości, braku stanowczości w prawdziwie kobiecej postaci i fizjognomji. Z poglądem tym zgodne są dalej wyniki porównawczych pomiarów wrażliwości u obu płci przeprowadzonych, które, wbrew powszechnemu mniemaniu, wykazały u mężczyzn wszędzie większą wrażliwość zmysłową, już przeciętnie biorąc, a różnice te wystąpiłyby z pewnością w stopniu znacznie jeszcze wyższym, gdyby pod uwagę wzięto typy. Jedyny wyjątek stanowi zmysł dotyku: wrażliwość dotykowa jest u kobiet delikatniejszą, niż u mężczyzn. Zauważyć tu jeszcze należy, że zato wrażliwość na ból jest u mężczyzny nieporównanie silniejsza, niż u kobiety, co ważnem jest dla fizjologicznych badań „zmysłu bólu” i jego odróżnienia od „zmysłu skóry”.

Słaba wrażliwość będzie z pewnością sprzyjać pozostawianiu treści duchowych w pobliżu stadium henidального; nie da się jednak wykazać, jakoby mniejszy stopień wyklarowania był jej koniecznem następstwem; stwierdzić da się tylko, że zachodzi między nimi bardzo prawdopodobny związek. O słabszej artykulacji wyobraźni kobiecej świadczy niewątpliwie większa stanowczość w sądach mężczyzny lubo nie dałaby się ona sama przez się wywieść w

*) Nie należy przytem przyjmować absolutnego stanu henid u kobiety, ani też absolutnego wyklarowania u mężczyzny.

zupełności z mniejszego zróżnicowania myśli u kobiety (być może, że jedno i drugie ze wspólnego głębszego źródła wypływa). To jedno przynajmniej jest atoli pewne, że póki jesteśmy w pobliżu stadium henidального, póty po większej części wiemy tylko dokładnie, jak się jakaś sprawa nie odbywa i to wiemy zawsze na długo przedtem, zanim wiemy, jak się ona właściwie odbywa: na tem, na posiadaniu treści w formie henid polega niezawodnie i to, co Mach „instynktownem odświadczeniem nazywa.“ W stanie blizkim stadium henid okrążamy zawsze jeszcze przedmiot przez omówienie i poprawiając się przy każdej nowej próbie dokładnego jego określenia, mówimy: To także jeszcze nie jest właściwy na to wyraz“. Naturalnym wynikiem takiego stanu jest niepewność sądu. Dopiero z całkowitem wyklarowaniem myśli także i sąd nasz nabiera stanowczości i ustala się: sam akt wydawania sądu jest uwarunkowany pewnem oddaleniem od stadium henidy, nawet jeśli wypowiedzianym ma być sąd analityczny, który umysłowego dorobku człowieka nie pomnaża.

Atoli o słuszności poglądu, uważającego henidę za właściwość K, treść zaś zróżnicowaną za właściwość M i na tem fundamentalne dwu płci przeciwieństwa zasadzającego świadczy ten fakt rozstrzygający, że gdzie tylko kiedy ma być wydany jakiś nowy sąd i nie można poprzestać na jednym więcej jeszcze powtórzeniu już oddawna gotowego sformułowania, zawsze w takich razach K oczekuje od M wyś etlenia swych niejasnych wyobrażeń, wytłumaczenia henidy. Tam, gdzie kobieta nie ma jasnej

świadomości swych wyobrażeń, tam ona wprost oczekuje, życzy sobie i wymaga od mężczyzny unaocznienia w mowie uszykowanego ładu myśli, jako (trzeciorzędnej) cechy jego płci, która na nią, jako taka, działa. O to właśnie idzie, gdy tak wiele dziewcząt oświadcza, że pragnie poślubić takiego tylko mężczyznę lub conajmniej takiego tylko może pokochać, który jest rozumniejszy od nich; stąd też pochodzi, że może je to zniechęcać, a nawet pod względem płciowym odstręczać, jeśli mężczyzna poprostu przytakuje tylko temu, co mówią i nie umie tego zaraz lepiej od nich wypowiedzieć, słowem tem się tłumaczy, dlaczego kobieta odczuwa to właśnie jako kryterjum męskości, że mężczyzna góruje nad nią umysłowo i pociąga ją nieprzeparcie ten mężczyzna, przed którego myśleniem się korzy, oddając tem samem bezwiednie głos rozstrzygający przeciw wszelkim teorjom równości.

M żyje świadomie, K żyje nieświadomie. Do tego wniosku o obu typach krańcowych jesteśmy uprawnieni. K świadomość swą dostaje od M: funkcja uświadamienia tego, co nieświadome, jest funkcją płciową typowego mężczyzny wobec typowej kobiety, która pozostaje z nim w stosunku idealnego dopełnienia.

Tak więc w wywodach swych dotarliśmy do problematu uzdolnienia: cały spór teoretyczny w kwestji kobiecej toczy się dziś prawie tylko o to, kto ma wyższe zdolności duchowe: „mężczyźni“, czy „kobiety“. Popularny sposób stawiania tego zagadnienia obchodzi się bez utypowienia; tutaj

przedstawiliśmy poglądy na typy, które nie mogą pozostać bez wpływu na rozwiązanie tego zagadnienia. Jakie fakty w dziedzinie stosunków tych zachodzą, o tem należy obecnie pomówić.

ROZDZIAŁ IV.

Uzdolnienie i genialność.

Ze względu na to, że o istocie genialnych zalet napotyka się w wielu księgach najrozmaitsze opinie, jest wskazaniem dla uniknięcia nieporozumień, zanim się wogóle przystąpi do samej rzeczy, ustalić kilka faktów.

Chodzi tedy przedewszystkiem o odgrodzenie od pojęcia talentu. Pogląd popularny prawie zawsze tak genjusz i talent wiąże, jakby pierwszy będąc wyższym lub najwyższym stopniem drugiego mógł się z niego wytworzyć przez najsilniejsze spotęgowanie lub nagromadzenie rozmaitych talentów i jakby co najmniej istniały między niemi pośrednie przejściowe stany. Pogląd ten jest zgoła opaczny. Lubo istnieje napewno wiele rozmaitych stopni i rozmaicie wysokich szczebli genialności, stopnie te jednakowoż nie mają nic wspólnego z t. zw. „talentem“. Talent, np. talent matematyczny, może ktoś mieć w niezwykłym stopniu od urodzenia; będzie wtedy w stanie najtrudniejsze działy tej wiedzy z łatwością sobie przyswoić; atoli genialności, tego zatem, co jest oryginalnością, indywidualnością i warunkiem własnej swoistej twórczości może przytem zgoła ani krzty nie posiadać. Naodwrot bywają ludzie nawet

genjalni, w których nie rozwinął się żaden specjalny talent w szczególnie wysokim stopniu. Przypominam Novalisa i Jean Paula. Genjusz nie jest zatem zgoła najwyższym superlatywem talentu; przepaść całego świata dzieli je od siebie, są one oba z natury nawskroś różnorodne, ani mierzyć ich z sobą, ani porównywać nie można. Talent jest dziedziczny, może być wspólnem dobrem rodzinnem (jak u Bachów); genjusz nie jest przenośnym, nie jest nigdy własnością rodową, ale zawsze indywidualną (Jan Sebastjan).

U wielu łatwo olśnić się dających miernych głów, w szczególności atoli u kobiet, uchodzi naogół umysłowa zręczność i genjalność za to samo. Lubo wewnętrzne pozory zdają się mówić inaczej, kobiety nie mają w rzeczywistości zgoła żadnego poczucia genjuszu i każdy wybryk przyrody, którym się jakiś mężczyzna z pośród innych naocznie wybi-ja, dla zaspokojenia ich ambicji płciowej w jednej z nim jest cenie; mieszają dramatyka z aktorem i nie czynią różnicy między wirtuozem i artystą. Człowiek sprytny i zręczny uchodzi u nich za genialnego, Nietzsche za typ genjusza. A przecież cała francuszczyzna jego umysłowości, żonglującej tylko swemi pomysłami w najdalszem nie jest pokrewieństwem z prawdziwą wyżyną ducha. Wielcy ludzie spoglądają zbyt poważnie na świat i na siebie samych, aby mogli być częściej, niż przygodnie, tylko „sprytnie bystrymi“. Ludzie nie będący niczem więcej jak tylko „sprytnie bystrymi“ są to ludzie nie uznający świętości; są to tacy, którzy nie dając się nigdy naprawdę sprawom pochłonać, nigdy się szczerze i głęboko niemi nie zajmują, w których nic nie gotuje

się długo i ciężko do porodu. O to tylko dbają, aby myśl ich iskrzyła się i błyszczała jak cudnie oszlifowany kamień, nie zaś, aby coś także oświecała! A pochodzi to stąd, że przedewszystkiem na to się oglądają, co inni o ich myślach powiedzą, — który to wzgląd bynajmniej nie zawsze bywa „pełen względów“. Są mężczyźni gotowi żenić się z kobietą wcale ich nie pociągającą — dlatego tylko, że się innym podoba. A takie związki małżeńskie istnieją też między niejednym mężczyzną i jego myślami. Mam tu na myśli napastliwą, grubiańską, obcesową metodę pisarską jednego z żyjących autorów, który chcąc udać ryk lwa, szczeka tylko. Niestety, zdaje się, że i Fryderyk Nietzsche, skądinąd (choć tak wysoko wznosi się, że zestawiony być z tamtym nie może) w późniejszych swych pismach niejednokrotnie tem się przedewszystkiem w swoich pomysłach kierował, co wedle jego przypuszczenia musiało ludzi wprawiać w rozdrażnienie. Jest on często właśnie tam najbardziej próżnym, gdzie się wydaje najbezwzględniejszym. Jest to próżność zwierciadła, błagającego pożądlwie o uznanie odzwierciadlonego: „Patrz, jak dobrze, jak na nic nie mając względów odzwierciadlam!“ W młodości, dopóki się jeszcze samemu nie jest utrwalonym, każdy przecież mniej więcej usiłuje się utrwalić atakowaniem innych; ale namiętne-agresywnymi są mężowie wybitnie wielcy zawsze chyba tylko z konieczności. Nie w nich to szukać podobieństwa do świeżo narokowanej studenterji w pogoni za pierwszym pojedyńkiem lub do młodej dziewczyny, dlatego przedewszystkiem zachwyconej swą nową toaletą, że się jej „przyjaciółki“ tak nią martwić będą.

Genjusz! genialność! Ileż to niepokoju i duchowej niestrawności fenomen ten nabawił większość ludzi, ile wywołał nienawiści i zazdrości, ileż zawiści i żądz obniżania, ileż niezrozumienia ujawnił — i ile popędu naśladowczego! „Jak on chrząka, jak kaszle, jak pluje“...

Rozstajemy się chętnie z imitacjami genjuszu, zwracając się ku niemu samemu i prawdziwym jego wcieleniom. Ale zaiste, od czego tylko chciałoby się tu zacząć rozpatrywania, wobec splotu nieskończonej pełni, zawsze tylko dowolny punkt wyjścia będzie mógł być wybranym. Wszystkie przymioty, które za genialne uznać się musi, są z sobą tak ściśle związane, że osobne rozpatrywanie któregoś z nich, z zamiarem powolnego dopiero wspinania się do wyższych uogólnień, nastęczałoby możliwie największe trudności: w przedstawieniu rzeczy musiałyby się mieć ciągłą obawę przed pokusą przedwczesnego zaokrąglenia całości i grożącą niezdolnością utrzymania się przy metodzie izolowania.

Wszystkie dotychczasowe rozbiory istoty geniuszu są albo natury biologiczno-klinicznej i z zabawną zarozumiałością uważają swą szczyptę wiedzy z tej dziedziny za wystarczającą do rozwiązywania najzawilszych i najgłębszych zagadnień psychologicznych. Albo też zstępują one z wysokości stanowiska metafizycznego, aby genialność w systemie swym umieścić. Jeśli wybrana tu przez nas droga nie prowadzi od razu do wszystkich celów, tkwi to właśnie w naturze jej, jako drogi.

Zważmy, o ile wielki poeta umie się lepiej wżyć w dusze ludzkie, niż człowiek przeciętny. Zastanówmy się nad niezmiernie wielką liczbą charak-

terów przez Szekspira i Eurypidesa stworzonych; lub przypomnijmy sobie ogromną różnorodność osób, występujących w powieściach Zoli. Henryk Kleist stworzył po Pentezilei całkowite jej przeciwieństwo, Kasię z Heilbronu; Michał Anioł mocą swej wyobraźni ucieleśnił Ledę i Sybillę delficką. Mało jest zapewne ludzi z tak małym zasobem zdolności artystycznego przedstawienia jak Immanuel Kant i Józef Schelling, a jednak oni; to właśnie wypowiedzieli prawdy najgłębsze o sztuce.

Otóż, aby człowieka móc poznać lub przedstawić, trzeba go rozumieć. Aby zaś człowieka rozumieć, trzeba być do niego podobnym, trzeba być takim, jak on; aby móc postępkę jego odtworzyć i należycie ocenić, trzeba mieć zdolność do wytworzenia w sobie samym psychologicznych warunków, które je wywołały: rozumieć człowieka znaczy mieć go w sobie. Trzeba być podobnym do ducha, którego się chce pojąć. Dlatego hultaj rozumie dobrze zawsze tylko innego hultaja, a zupełnie pocziwiec nie potrafi znów nigdy pojąć tamtych, tylko zawsze podobną sobie dobrodusznosc; pozer uważa prawie zawsze zachowanie się innych ludzi za pozy i snadniej umie przeniknąć innego pozera, niż człowiek prosty, w którego pozer ze swej strony nigdy na serjo nie jest zdolnym uwierzyć. Człowieka rozumieć znaczy więc: być nim samym.

Wedle tego atoli musiałby każdy człowiek siebie samego najlepiej rozumieć, co z pewnością nie jest prawdą. Siebie samego nie może żaden człowiek nigdy rozumieć, musiałby bowiem, aby to się stać mogło, wyjść z siebie samego, aby podmiot

poznania i woli miał możliwość stania się przedmiotem: tak całkiem, jak aby zrozumieć wszechświat, potrzebnem byłoby zająć stanowisko poza wszechświatem leżące, co osiągnąć jest zgodnie z pojęciem wszechświata niemożliwością. Ktoby się sam mógł rozumieć, mógłby świat rozumieć. Że twierdzenie to ma nie tylko wartość porównania, ale że tkwi w niem znaczenie bardzo głębokie, okaże się zwolna w ciągu badania. Narazie jest pewnem, że własnej swej najgłębszej istoty nikt sam rozumieć nie może. I jest to rzeczywiście prawdą: o ile jest się wogóle rozumianym, nie jest się nim nigdy przez siebie samego, lecz zawsze tylko przez innych. Dla tego tylko bowiem, kto jest do innego podobnym, pod innym zaś znów względem całkiem od niego się różni, podobieństwo to może się stać przedmiotem jego rozwagi, może on siebie w tamtym, lub tamtego w sobie rozpatrywać, przedstawiać, rozumieć. Człowieka rozumieć znaczy tedy: być nim także.

Człowiek genialny atoli ukazał się nam właśnie w przytoczonych przykładach, jako taki, który nie równie więcej istot rozumie, niż człowiek przeciętny. Goethe miał o sobie powiedzieć, że niema występu, ani zbrodni, do którejby on nie czuł w sobie skłonności, którejby on w jakim momencie swego życia do dna nie był rozumiał. Człowiek genialny jest zatem bardziej skomplikowany, złożony, bogatszy; i tem genialniejszym uznać należy człowieka, im więcej ludzi on w sobie łączy i to jeszcze, jak dodać trzeba, im on żywiej, z im większą intensywnością innych ludzi w sobie piasruje.

Gdyby rozumienie istoty bliżniej płonęło w nim tylko jak słaby ogarek, nie byłby on zdolnym, jako wielki poeta, zapalać w swych bohaterach potężny płomień życia, figury jego byłyby bez krwi i kości. Ideałem właśnie artystycznego geniusza jest żyć we wszystkich ludziach, utonąć we wszystkich, rozplynać się w wielości. Filozofa natomiast zadaniem jest wszystkich innych w sobie odnaleźć, wchłoniąć ich w jedność, która będzie zawsze jego tylko jednością właśnie.

Tej proteuszowej natury geniusza, podobnie jak przedtem dwupłciowości, nie należy szukać w formie równoczesnych przejawów; i największemu geniuszowi nie jest dane, o jednym i tym samym czasie, w jednym i tym samym dniu naprzykład, istotę wszystkich ludzi rozumieć. Dalej sięgające, bogatsze w treść zdolności umysłowe człowieka mogą się tylko pomału w stopniowym rozkwitaniu całej jego istoty ujawnić. Prawdopodobnie ukazują się i one w pewnych stale oznaczonych czasokresach. Okresy te jednak nie powtarzają się w ciągu życia w sposób jednakowy, jakby każdy był tylko zwyczajnem powtórzeniem poprzedniego, ale, że tak powiem, w sferze coraz wyższej; niema dwóch momentów indywidualnego życia, któreby były całkiem sobie podobne; a między późniejszymi zachodzi tylko podobieństwo punktów wyższej linii spiralnej z analogicznymi punktami niższej. Stąd pochodzi, że ludzie wybitni tak często w młodości swej układają sobie plan pewnego dzieła, po długiej przerwie w wieku męskim przez lata całe niepodejmowany pomysł opracowują na nowo i powtórnie go odstawiwszy, kończą je wreszcie dopiero w starości; tak to w rozmaitych

okresach, w które kolejno wstępują, zajmują się oni wciąż innymi przedmiotami. Okresy takie istnieją u każdego człowieka, tylko z rozmaitem natężeniem i z rozmaitą „amplitudą”. Ponieważ genjusz zawiera w sobie w najwyższym napięciu większość ludzi, kąt odchylenia okresów będzie u niego tem wybitniejszy, im on jest znaczniejszym człowiekiem pod względem duchowym. Ludzi wybitnych spotykają przeto już od młodości ze strony ich wychowawców po większej części zarzuty, że wpadają ciągle „z jednej ostateczności w drugą”. Jak gdyby im szczególnie dobrze z tem było. Właśnie u człowieka znamienitego przejścia takie przybierają wybitnie charakter kryzysów. Goethe wspomniał raz o „kilkakrotnem dojrzwaniu” artystów. To, co miał przy tem na myśli, wiąże się ściśle z tą sprawą.

Właśnie bowiem silna perjodyczność u genjusza sprawia, że u niego lata płodne następują zawsze dopiero po jałowych, a po okresach bardzo twórczych zawsze następują znów czasy płonne — czasy, w których on siebie ma za nic, co więcej psychologicznie (nie logicznie) mniej o sobie mniema, niż o każdym innym człowieku: wszak dręczy go pamięć okresu twórczości, a przedewszystkiem jakże swobodnymi widzi wszystkich, takimi wspomnieniami nie trapionych! Jak uniesienia jego są potężniejsze od zachwytów innych, tak i depresje jego duchowe są straszniejsze. Każdy wybitny człowiek przechodzi takie okresy, dłuższe lub krótsze; czasy, kiedy w zupełnem zwątpieniu o sobie samym dojść może nawet do myśli samobójczych, czasy, w których przychodzą mu wprowadzić także różne pomysły do głowy, a przedewszystkiem

łęże się mnóstwo rzeczy dla przyszłego żniwa; w których jednak nie zjawia się nic z potężnem piętnem okresu twórczego, w których, słowem, wicher nie nadchodzi; są to chwile, kiedy to się o ludziach takich, usiłujących mimo swego stanu dalej tworzyć, mówi: „Jakżeż ten teraz podupadł!” „Jakże ten się docna wyczerpał!” „Jakżeż ten siebie samego kopjuje!” itd., itd.

Ale i inne przymioty człowieka genialnego, nie tylko on sam wogóle, lecz i materiał, z którego tworzy i duch, jakim twórczość swą ożywia, podlegają zmianom i silnej perjodyczności. Jest on raz bardziej refleksyjny i naukowy, innym razem znów bardziej usposobiony do kształtowania artystycznego (Goethe); uwaga jego skupia się najpierw na kulturze i dziejach ludzkości, potem znów na przyrodzie (Nietschego „Roztrząsania nie w porę” w zestawieniu z jego „Zaratustrą”); to jest mistyczny, to naiwny (przykładu na to dostarczyli w ostatnim czasie Björnson i Maurice Maeterlinck). Tak wielką jest przecież w człowieku wybitnym „amplituda” okresów, w jakich rozmaite strony istoty jego, znaczny szereg ludzi intensywnie w nim żyjących po sobie następuje, że perjodyczność ta i pod względem fizjognomicznym wyraźnie się przejawia. Można by tem wyjaśnić uderzający objaw, że u ludzi więcej uzdolnionych wyraz twarzy znacznie częściej się zmienia, niż u ludzi bez talentu, a nawet że w rozmaitych czasach mogą mieć oni nie do uwierzenia odmienną fizjognomję; wystarczy porównać tylko wizerunki Goethego, Beethovena, Kanta, Schopenhauera, zachowane z rozmaitych epok ich życia! Można liczbę twarzy, jaką pewien człowiek posiada, uważać

wprost za fizjognomiczny sprawdzian jego uzdolnienia *). Ludzie, którzy zawsze jedną i tę samą twarz zgoła niezmienną okazują, stoją i pod względem intelektualnym bardzo nisko. Natomiast nie powinno to fizjognomisty dziwić, że ludzie z wyższym uzdolnieniem, ujawniający także w obcowaniu towarzyskiem i w rozmowie nowe wciąż strony swej istoty, o których przeto nie tak rychło urobić sobie można w myśli sąd gotowy, właściwość tę i wyglądem swym stwierdzają.

Być może, że przeciw tymczasowemu pojęciu geniusza, tutaj rozwiniętemu, stawiane będą z oburzeniem zarzuty, ponieważ wypływa z niego z konieczności, że taki Szekspir musiał mieć w sobie całe prostactwo Falstaffa, całe szelmostwo Jagona, całą nieokrzesaność Kalibana; obniża więc ono moralnie ludzi wielkich, imputując im najściślejszą znajomość wszelkiej także nikczemności i nicości ludzkiej. I trzeba przyznać, że wedle tego poglądu ludzie genialni są pełni najliczniejszych i najgwałtowniejszych namiętności i od najobrzydliwszych nawet popędów nie są wolni (co zresztą biografje ich w całej rozciągłości potwierdzają). Ale mimo to zarzuty te są nieuzasadnione. Okaże się to jeszcze z późniejszego pogłębienia zagadnienia; narazie wolno wskazać na to, że tylko powierzchowne wnioskowanie może je uważać za wynik konieczny przesłanek dotychczas naprowadzonych, które raczej same już

*) Używam wyrazu uzdolnienie, ażeby o ile możności unikać słowa genialność i oznaczam nim to przysposobienie, którego najwyższem spotęgowaniem jest genialność. Uzdolnienie i talent są tu więc ściśle rozgraniczone.

są wystarczającym uprawdopodobnieniem twierdzenia przeciwnego. Zola, który tak doskonale zna popęd do morderstwa z lubieżności, nie mógłby mimo to nigdy zbrodni takiej popełnić, dlatego, że w nim samym tkwi właśnie tyle jeszcze innych rzeczy. Prawdziwy morderca z lubieżności jest ofiarą swego popędu: w pocie całe bogactwo jego różnorodnych uzdolnień przeciwdziała tym podnieciom. Ono sprawia, że taki Zola znać będzie mordercę z lubieżności znacznie lepiej, niż każdy rzeczywisty taki morderca znać siebie może, że jednak właśnie przez to łatwiej go pozna, gdyby miał być rzeczywiście narażony na pokuszenie; i przez to samo już mu się przeciwstawia oko w oko i umie się przed nim bronić. W ten sposób popęd zbrodniczy w człowieku wielkim ulega uduchowieniu, staje się motywem artystycznym, jak u Zoli lub filozoficzną koncepcją „pierwiastka radykalnie złego“, jak u Kanta, i dlatego nie popycha go już do zbrodniczego czynu.

Z mnóstwa możliwości, tkwiących w każdym wybitnym człowieku wynikają ważne konsekwencje, wiążące się znów z przedstawioną w poprzednim rozdziale teorią henid. To, co się ma w sobie, spostrzega się prędzej niż to, czego się nie rozumie (w przeciwnym razie obcowanie ludzi ze sobą nie byłoby prawie możliwe — przeważnie bowiem nie zdają sobie sami sprawy z tego, jak często się fałszywie rozumieją); genjusz, który rozumie o tyle więcej od człowieka przeciętnego, będzie zatem także więcej od niego spostrzegał. Intrzygant z łatwością zauważy, gdy ktoś jest do niego podobny, zamiętny gracz wnet zmiarkuje, gdy ktoś jawia ochotę do gry, natomiast ujdzie to uwadze innych, uspo-

sobionych inaczej. O człowieku więcej skomplikowanym powiedzieliśmy atoli, że jest on w stanie każdego człowieka lepiej rozumieć, niż ten siebie samego pod warunkiem, że jest tym człowiekiem zarazem i jeszcze czemś więcej, dokładniej, jeżeli tak tego człowieka jak i jego przeciwieństwo, obu ich ma w sobie. Dwoistość jest zawsze warunkiem spostrzeżenia i pojmowania; na zapytanie o najkardynalniejszy warunek uświadomienia, „wyróżnienia“, odpowiada psychologia, że koniecznym takim warunkiem jest kontrast. Gdyby istniała tylko jednostajna szarość, niktby nie miał świadomości, a cóż dopiero pojęcia barwy; absolutna jednostajność szmeru sprowadza u człowieka rychły sen: dwoistość (światło, które^{*} rzeczy dzieli i różni) jest przyczyną jawy świadomości.

Dlatego nikt nie może siebie samego rozumieć, choćby całe swe życie nieprzerwanie o sobie rozmyślał, a zrozumie zawsze tylko kogoś innego, do którego jest wprawdzie podobny, ale którym nie jest całkowicie, mając w sobie z jego przeciwieństwa tyle właśnie, ile z niego samego. Takie bowiem rozłożenie stosunku jest dla rozumienia najpomyślniejsze: wspomniany poprzednio przykład Kleista. Ostatecznie zatem rozumieć człowieka znaczy tyle, co: jego i przeciwieństwo jego mieć w sobie.

Że naogół biorąc muszą w człowieku tkwić zawsze razem pary przeciwieństw, aby mógł on sobie uświadomić choćby tylko jeden człon z każdej pary, posiadamy na to w nauce o poczuciu barwnym wzroku znaczniejszą liczbę dowodów, z których tylko przytoczę znane zjawisko, że ślepotą na barwy rozciąga się zawsze na obie barwy dopełniające; ślepy

na barwę czerwoną jest także ślepy na kolor zielony i są tylko ślepi na barwę niebieską i żółtą, a niema człowieka, któryby był wrażliwy na kolor niebieski, nie będąc nim na barwę żółtą. Prawo to jest regułą powszechną w dziedzinie duchowej, jest ono podstawowem prawem wszelkiego uświadczenia. Kto się, na przykład, zawsze łatwo skłania do wesołości, ten i w usposobienie posępne popada łatwiej, niż ten, kto jest stale równomiernie usposobiony; niejednen melancholik potrafi się tylko jakimś żarliwym urojeniem utrzymać na powierzchni; a kto ma tyle, co Szekspir, poczucia wszelkiego rodzaju subtelności i delikatności, ten i najbardziej nieokrzesaną rubaszość, jako grożące im niejako niebezpieczeństwo, najpewniej odczuje i pojmie.

Im kto więcej typów ludzkich i ich przeciwieństw w osobie swej łączy, tem mniej on przeoczy z tego, co ludzie robią i czego zaniedbują, gdyż rozumiejąc, tem samem i spostrzegać lepiej będzie, tem łatwiej potrafi przeniknąć, co czują, myślą i czego chcą właściwie. Niema człowieka genialnego, któryby nie był wielkim znawcą ludzi; człowiek wybitny przeziera ludzi prostszych często na pierwszy rzut oka aż na dno i nierzadko umie ich natychmiast całkowicie scharakteryzować.

Z pośród przeważnej części ludzi atoli ma jeden dla tej tylko rzeczy, inny dla owej, mniej lub więcej jednostronnie rozwinięte zrozumienie. Ten zna wszystkie ptaki i rozróżnia jaknajsubtelniej ich głosy, tamten ma od młodości szczególne zamiłowanie i pociąg do roślin; jeden czuje się wzruszony uwarstwieniem tellurycznych pokładów, a gwiazdozbiory ślą mu wprawdzie uprzejme pozdrowienie, lecz

często nie więcej właśnie ponad to (Goethe), inny wstrząsa się pokornym dreszczem przecucia pod nocnym chłodem firmamentu (Kant), dla niejednego góry są martwe, a nęci go tylko i wabi wieczyscie wzburzone morze (Böcklin), inny nie umie się żyć z jego nieustannym niepokojem i wraca do wzniosłej potęgi gór (Nietzsche). Tak człowiek każdy, choćby najprostszy, znajduje coś w przyrodzie, co go pociąga i na co zmysły jego stają się wrażliwsze, niż na wszystko inne. Jakże by więc największy genjusz, wszystkich tych ludzi, w wypadku idealnym w sobie obejmujący, nie miał wraz z wewnętrznym ich życiem łączyć też w sobie ich upodobań i umiłowanych związków ze światem zewnętrznym? Tak wrasta weń nie tylko, co wszechludzkie, ale i przyroda cała; jest on człowiekiem, który stoi w najściślejszej zażyłości z jak najszerszym zakresem przedmiotów, którego uwadze najczęściej spraw podpada, najmniej zaś się wymyka, który rozumie ich jaknajwięcej i jaknajgłębiej już dlatego właśnie, że będąc w stanie porównać je z najrozmaitszymi rzeczami i odróżnić wśród najrozlicniejszych, umie je najlepiej wymierzyć i odgrodzić. W człowieku genialnym uświadamia się najczęściej rzeczy i to w stopniu najsilniejszym. Dlatego też i wrażliwość jego jest niewątpliwie najbystrzejsza; nie należy tego jednak, jak się to widocznie wskutek zbyt jednostronnego uwzględniania artystów tylko dzieje, tłumaczyć wyłącznie na korzyść wyostrożonej wrażliwości zmysłowej, większej bystrości wzroku u malarza (lub poety), większej bystrości słuchu u kompozytora (Mozart): miary genialności należy szukać nie tyle w zmysłowej wrażliwości na różnice ile w duchowej; zresztą i

tamta wrażliwość zwraca się często także więcej ku wnętrzu.

Świadomość genialna jest tedy jak najdalej oddaloną od stadjum henidy; ma ona raczej największą, najostrzejszą, czystość i jasność. Genjalność okazuje się tu już odmianą męskości, a przeto K genialną być nie może. Takie jest konsekwentne zastosowanie wniosku, wyprowadzonego w poprzednim rozdziale, że M żyje bardziej świadomie, niż K, do istotnych wyników niniejszego rozdziału, polegających na twierdzeniu, że genialność jest identyczna z z wyższą, bo rozleglejszą, świadomością. Atoli ta intensywniejsza wszechświadomość jest sama możliwa dopiero wskutek ogromnej liczby przeciwności, w wybitnym człowieku nagromadzonych. Dlatego to jest zarazem uniwersalizm znamieniem genjusza. Niema genialnych specjalistów, niema genjuszów w matematyce, muzyce lub w szachach, a są tylko genjusze uniwersalni. Człowieka genialnego można określić, jako takiego, który wie wszystko, nie ucząc się tego wcale. Przez tę „wiedzę wszystkiego“ nie należy naturalnie rozumieć znajomości teoretycznych usystematyzowań, przeprowadzonych przez naukę wśród faktów, lub hiszpańskiej wojny sukcesyjnej lub eksperymentów nad diamagnetyzmem. Ale nie z optycznych studjów dopiero nabywa artysta wiadomości o barwie wody przy pogodnem i pochmurnem niebie i nie potrzeba mu się zagłębiać w charakterologję, aby stworzyć jednolitą postać człowieka. Im kto bowiem jest więcej uzdolniony, tem więcej zawsze już samoistnie przemyślał i z tem więcej rzeczami osobisty wiąże go stosunek.

Teorja genjuszy-specjalistów, pozwalająca na przykład mówić o „genjuszach muzycznych“, który „pod każdym innym względem jest niepojętym“, miesza również talent z genjuszem. Muzyk, jeśli jest prawdziwie wielki, może być w języku, do którego go specjalny talent skłania, zupełnie tak samo uniwersalny, może zupełnie tak samo cały zewnętrzny i wewnętrzny świat ogarniać, jak poeta lub filozof; takim genjuszem był Beethoven. Ale może on również poruszać się w sferze ograniczonej, całkiem tak samo, jak umysł przeciętnie naukowy lub artystyczny; takim umysłem był Jan Strauss, którego żywej, ale w granicach bardzo ciasnych obracającej się, wyobraźni zawdzięczamy wprawdzie dużo pięknych kwiatuśków, lecz byłibyśmy niepomniernie zdziwieni, gdyby go kto nazwał genjuszem. Istnieją, aby jeszcze raz to podkreślić, różnorakie talenty, ale genialność jest tylko jedna, i ta może się posługiwać jakimś dowolnie wybranym talentem w swej działalności. Jest coś wszystkim ludziom genialnym, jako genjuszom, wspólnego, aczkolwiek poza tem może się wielki filozof od wielkiego malarza, wielki muzyk od wielkiego rzeźbiarza, wielki poeta od wielkiego założyciela religii w wysokim stopniu różnić. Talent, za którego pośrednictwem istotne zdolności człowieka się objawiają, gra rolę znacznie podrzędniejszą, niż to się mniemać zwykło, przeważnie przeceniając zbytnio znaczenie jego z tego nazbyt bliskiego stanowiska, z którego niestety tak często wysnuwa się rozpatrywania filozoficzne sztuki.

Nietylko różnice uzdolnienia, ale i usposobienie umysłu i światopogląd, niewiele się troszcząc o

przegrody między poszczególnymi gałęziami sztuki, rozsadza je; wynikają stąd często podobieństwa za dziwające, a dla oka nieuprzedzonego dostrzegalne; zamiast tedy szperać za analogjami w obrębie dziejów muzyki, względnie dziejów sztuki, literatury i filozofji, przydałoby się raczej porównać śmiało np. Bacha z Kantem, Karola Marję W. Webera postawić obok Eichendorffa, a Böcklina obok Homera; a jeśli na tej drodze można zyskać wielce zapładniający materiał do rozpatrzenia i bogate wyniki, to ostatecznie odniesie stąd korzyść i umiejętność duszoznawcza, na której dotkliwy brak całe dziejopisarstwo sztuki i filozofji w wysokim stopniu cierpi. Wskutek jakich to zresztą warunków organicznych i psychologicznych genjusz staje się mistycznym wizjonerem lub np. wielkim rysownikiem, jest to kwestja, którą tu, jako małoważną dla celów niniejszej pracy, na uboczu pozostawić musimy.

Jest jednak wykluczone, aby kobieta mogła być uczestniczką owej genjalności, która mimo wszystkich niejednokrotnie bardzo głęboko sięgających różnic między pojedynczymi genjuszami, jest zawsze jedną i tą samą i w myśl przedstawionego tu poglądu może wszędzie się objawić. Jakkolwiek później dopiero ma być rozstrzygnięta kwestja, czy mogą istnieć genjusze czysto naukowci lub genjusze wyłącznie czynu, nietylko zaś artystyczni i filozoficzni: ma się wszelkie powody przestrzegać większej niż dotąd ostrożności przy nadawaniu tytułu genjalnego. Okaże się to jeszcze jasno, że, chcąc sobie wogóle urobić wyobrażenie genjalności i wytworzyć jej pojęcie, musi się kobietę uznać za niegenjalną, a mimo to nikt nie będzie mógł zarzucić naszym wywodom, jakoby

ze względu na płeć kobiecą skonstruowały były najpierw dowolne jakieś pojęcie i dopiero potem je, jako istotę genjalności przedstawiły, aby tylko kobiet nie musiało się w obrębie jego pomieszczać.

Tutaj możemy znów wrócić do początkowych uwag tego rozdziału. Podczas gdy kobieta nie ma zrozumienia genjalności, chyba że okazuje je, ewentualnie, dla osobistości żyjącego jeszcze geniusza, mężczyznę wiąże ze zjawiskiem tem, samem dla siebie, ów głęboki stosunek, który Carlyle w swem zawsze jeszcze tak mało zrozumianem dziele Hero-worship, kult bohaterów, tak pięknie przedstawił, nazwę mu dając. W uwielbieniu mężczyzny dla bohaterów znajduje znów wyraz fakt, że genialność jest złączoną z męskością, że stanowi męskość idealną, spotęgowaną *); albowiem kobieta nie ma świadomości samorodnej, lecz otrzymuje ją od mężczyzny, żyje ona nieświadomie, mężczyzna świadomie: najwyższą atoli świadomość ma geniusz.

*) Uzdolnienie (nie talent) i płeć są to jedynie dwie rzeczy, których się nie dziedziczy, lecz które są niezależne od „masy spadkowej” i zdają się jakby samorzutnie powstawać. Już ten fakt pozwala przypuszczać, że genjalność, względnie brak jej, musi stać w związku z męskością lub kobiecością człowieka.

ROZDZIAŁ V.

Uzdolnienie i pamięć.

Obierając za punkt wyjścia teorię henid, przytoczę następujące spostrzeżenie. Notowałem sobie właśnie, napół mechanicznie, stronę pewnego ustępu z rozprawy botanicznej, z której wyjątki zamierzałem sobie później wypisać, kiedy przyszło mi coś na myśl w formie henidy. Atoli mimo wszelkich wysiłków nie mogłem sobie już w następnej zaraz chwili przypomnieć, co wtedy myślałem, jak to myślałem i co o drzwi mej świadomości pukało. Właśnie dlatego jednak jest przykład ten — a jest on typowy — szczególnie pouczającym.

Im bardziej plastyczną formę posiada pewien kompleks wrażeń, tem łatwiej daje się odtworzyć. Wyrzistość świadomości jest pierwszym warunkiem wspomnienia, pamięć wzruszenia świadomości jest proporcjonalna do intensywności jego. „Tego nigdy nie zapomnę“, „o tem pamiętać będę póki życia mego“, „to mi już nigdy z pamięci nie wyjdzie“, mówi człowiek przecie o zdarzeniach, które go głęboko wzruszyły, o chwilach, którym zawdzięcza wzbogacenie swej wiedzy i swych doświadczeń. Jeśli zatem możność odtworzenia treści wiadomości stoi w prostym stosunku do jej rozcłunkowania, jest

rzeczą jasną, że absolutnej henidy wogóle przypomnieć sobie nie można.

Gdy więc uzdolnienie rośnie w miarę stopnia artykulacji wszystkich przeżyć, to — im kto jest bardziej uzdolnionym, tem prędzej będzie on w stanie pamiętać całą swą przeszłość, wszystkie swe myśli i uczynki, wszystko, co kiedykolwiek widział i słyszał, co czuł i czego doznał, z tem większą pewnością i tem żywiej będzie mógł wszystko z życia swego odtworzyć. Uniwersalna pamięć wszystkich swych przeżyć jest przeto najpewniejszą, najpowszechniejszą i najłatwiej rozpoznawalną oznaką geniusza. Jest to wprawdzie szeroko rozpowszechniona i zwłaszcza wśród wszystkich kawiarnianych literatów ulubiona teoria, jakoby jednostki twórcze (tworząc rzeczy nowe) nie miały pamięci: ale widocznie dlatego tylko, że jest to jedyny warunek twórczości, który oni wypełniają.

Oczywista, że wielkiej tej rozciągłości i żywości pamięci człowieka genialnego, którą narazie wysnuwam całkiem dogmatycznie z systemu, nie popierając jej doświadczeniem, nie należy przeciwstawiać rychłego zapominania całej gimnazjalnej nauki historii lub nieregularnych czasowników greckich. Chodzi o pamięć rzeczy przeżytych, nie o pamiętanie rzeczy wyuczonych; to, co jest przedmiotem nauki do egzaminów, w bardzo małej zawsze tylko części bywa zapamiętane, w tej tylko części, która odpowiada specjalnemu talentowi ucznia. Malarz pokojowy może mieć lepszą pamięć barw, niż największy filozof, a najbardziej ograniczony filolog pamięta lepiej aorysty przed laty napamięć wyuczone, niż jego kolega, który jest może genialnym poetą. Świadczy to

o całej nędzy i bezradności eksperymentalnego kierunku w psychologii (więcej atoli jeszcze o nieudolności ludzi, którzy uzbrojeni w arsenał baterij elektrycznych i bębenków sfigmografjonowych, powołując się na „ścisłość“ nudnych swych eksperymentów, roszczą sobie *in rebus psychologicis* prawo głosu przed wszystkimi innymi), że wierzy on w wolność zbadania pamięci ludzkiej takimi próbami, jak wyuczenie się liter, liczb wielocyfrowych i szeregu słów bez związku. Od właściwej pamięci człowieka, od pamięci, która rozstrzygającą gra rolę, gdy człowiek czyni rachunek swego życia, eksperymenty te są tak dalekie, że mimowolnie narzuca się pytanie, czy też owi gorliwi eksperymentatorzy wiedzą coś o istnieniu tej innej pamięci, a cóż dopiero o istnieniu życia duchowego w ogólności. Badania ich poddają najrozmaitszych ludzi warunkom całkowicie uniformującym, wobec których indywidualność nigdy ujawnić się nie może, abstrahują one właśnie jakby umyślnie od rdzenia jednostki, traktując ją poprostu, jako dobry lub zły przyrząd do rejestrowania. Tkwi w tem głęboki rozum, że język niemiecki słowa „*bemerken*“ (sposzrzec) i „*merken*“ (spamiętać) z jednego stworzył źródłosłowu. Tylko to, co samo przez się skutek wrodzonych właściwości uwagę zaprzęta, zapamiętuje się. To, co sobie przypominamy, musiało pierwotnie budzić w nas zajęcie, a jeśli czego zapominamy, dowód to, że nie dość silnie to nas obeszło. Człowiekowi religijnemu utkwia dlatego w pamięci najsilniej i najdłużej nauki religijne, poecie wiersze, mistycznemu wyznawcy liczb—liczby.

Nawiązując tu w innym punkcie do wywodów

poprzedniego rozdziału, możemy jeszcze na innej drodze wydedukować, że ludzie wybitni odznaczają się szczególną wiernością pamięci. Im kto bowiem jest wybitniejszy, tem więcej ludzi, tem więcej zainteresowań w sobie łączy, tem więcej pamięć jego musi ogarniać. Ludzie mają naogół zgola jednaka miarę zewnętrznej sposobności do „percypowania“, z nieskończonej masy atoli „apercypują“ nieskończenie drobną tylko cząstkę. Ideał geniusza musiałby być istotą, której wszystkie „percepcje“ byłyby zarazem „apercepcjami“. Istoty takiej niema. Niema atoli także człowieka, któryby nigdy nie „apercypował“. Już dlatego muszą istnieć wszelkie możliwe stopnie genialności*); co najmniej żadna istota męska nie może być całkowicie niegenjalną, Ale i zupełna genialność jest ideałem: niema człowieka bez żadnej apercepcji i niema człowieka z apercepcją uniwersalną (którą możemy uważać za dalsze określenie zupełnego geniuszu). Pamięć, jako stan posiadania, jest tak pod względem swej pojemności jak i trwałości proporcjonalna do apercepcji, jako władzy, obejmującej w posiadanie. Tak więc od człowieka, żyjącego bez jakiegokolwiek ciągłości od chwili do chwili, dla którego żadne przeżycie znaczenia mieć nie może, gdyż żadne z poprzedniem związać się nie da — taki człowiek atoli nie istnieje — prowadzi nieprzerwany szereg ludzi do człowieka, żyjącego całkowicie w ciągłości, który nigdy niczego nie zapomina (tak intensywnie wszystko nań oddziaływa i tak silnie wszystko on odczuwa), który atoli również nie istnieje:

*) Z talentem nie mają one jednak nic wspólnego.

nawet największy genjusz nie w każdej chwili swego życia jest genialny.

Pierwszem potwierdzeniem przekonania o koniecznej łączności między pamięcią i genialnością, jako też przeprowadzonej tu dedukcji tej łączności, stanowi nadzwyczajna samych posiadaczy jej nieraz zdumiewająca pamięć na pozornie podrzędne okoliczności, na drobiazgi, jaką się ludzie bardziej uzdolnieni odznaczają. Przy uniwersalności ich uzdolnień bowiem wszystko ma dla nich nieraz przez nich samych długo nieuświadomione znaczenie; tak więc rzeczy te uparcie tkwią w ich pamięci, wdrażają się w nie niewymazalnie same przez się, bez najmniejszego naogół trudu z ich strony celem specjalnego zapamiętania tych rzeczy, którym też żadnej specjalnej uwagi nie poświęcają. Można by przeto już teraz, w znaczeniu głębszem, które dopiero później wyjaśnione będzie, człowieka genialnego, jako takiego, określić, który nie umiałby ani wobec siebie ani wobec innych posługiwać się zgoła mu nieznanym zwrotem, że to lub owo wydarzenie z czasów ubiegłych „całkiem już nie jest prawdziwe”. Przeciwnie, nie ma on nic, coby dlań nie było już prawdziwe, jakkolwiek, a może właśnie dlatego, że odczuwa znacznie silniej, niż wszyscy inni wszystkie zmiany, jakie z biegiem czasu zaszły.

Uzdolnienie i wartość duchową pewnego człowieka najlepiej przeto w ten sposób obiektywnie sprawdzić, że się po dłuższem z nim przestaniu nawiązuje rozmowę do ostatniego z nim widzenia się i do przedmiotu ówczesnej rozmowy. Spostrzeże się wtedy odrazu, jak żywo on się nią przejął; jak trwały wpływ nań wywarła i zobaczy nade wszystko, jak

on wiernie szczegóły jej zapamiętał. Każdy, kto chce, może się zresztą przekonać, jak zdumiewająco, wprost przerażająco wiele rzeczy z życia swego ludzie bez zdolności zapominają. Zdarza się, że się z nimi przed kilku tygodniami spędzało razem długie godziny, a śladu po nich nie pozostaje w ich pamięci. Można spotkać ludzi, z którymi się przed kilku laty w przeciągu ośmiu lub czternastu dni przypadkowo lub w pewnych sprawach miało bardzo wiele do czynienia, a którzy po upływie czasu tego nic już z tego nie są w stanie sobie przypomnieć. Oczywiście, że jeśli im się dokładnie opisz, o co chodziło, przedstawi całą sytuację we wszystkich jej szczegółach, uda się bądź co bądź zawsze, po dostatecznie długich wysiłkach, wywołać w nich najpierw słaby błysk zupełnie prawie wygasłego wspomnienia, a wreszcie zwolna i samo to wspomnienie. Na podstawie takich doświadczeń, uważam za rzecz wielce prawdopodobną, że hipoteza, jakoby całkowite zapomnienie nie istniało, teoretycznie zawsze dopuszczalna, dałaby się także empirycznie i to nietylko drogą hipnozy, sprawdzić, gdyby się tylko umiało podsuwaniem odpowiednich wyobrażeń nieść pamięci pomoc.

Idzie więc o to, ażeby można było komuś z jego życia, z tego — co kiedyś powiedział lub słyszał, co widział lub czuł, co zrobił lub czego doznał, możliwie jak najmniej takich rzeczy opowiedzieć, którychby sam nie znał. Po raz pierwszy jest tu sformułowane kryterjum uzdolnienia, łatwo przez innych poznawalne i nie wymagające koniecznie poprzednich dowodów twórczej działalności. Jak bogate zastosowanie znaleźć ono może w dziedzinie wycho-

wania, wyluszczać tutaj nie będziemy. Dla rodziców i nauczycieli zarówno ono ważne być powinno.

Od pamięci człowieka zależy naturalnie także i stopień jego zdolności spostrzegania tak różnic, jak i podobieństw. Zdolność ta będzie najwięcej u tych rozwinięta, w których życie terażniejsze zawsze cała ich przeszłość się wplata, tak, że wszystkie pojedyncze momenty ich życia w jedno się spływając wzajemnie z sobą porównywane być mogą. Stąd im właśnie przede wszystkim nastęrcza się sposobność używania porównań i to właśnie zawsze z takim *tertium comparationis*, które w danym wypadku szczególnie jest trafne; z przeszłości bowiem wydobędą zawsze to, co najwięcej jest z terażniejszością zgodne, gdyż oba ich przeżycia, tak obecne jak i dawne, które się celem porównania z tamtem zestawia, dostatecznie będąc artykułowanemi, żadnej różnicy i żadnego podobieństwa oczom ich nie kryją; i dlatego też właśnie może się u nich to, co już dawno minęło, oprzeć zacierającemu działaniu. Nie napróżno zatem uważano przez bardzo długie lata bogactwo pięknych i doskonałych porównań, obrazów i przerośni za specjalną zaletę poetów, odczytując stale swe ulubione porównania z Homera, Szekspira czy Klopstocka i niecierpliwie ich w lekturze wyczekując. Dzisiaj, kiedy Niemcy od lat są po raz pierwszy pozbawieni wielkiego artysty i wielkiego myśliciela, a zato niedługo trudno będzie znaleźć takiego, któryby nie „pisał“, dzisiaj czasy te minęły zda się doszczętnie. Doba, która najlepsze wypowiedzenie swej istoty widzi w rozwichrzonych, mglistych, migotliwych nastrojach, której filozofję stanowi, więcej niż w jednym znaczeniu, nieświadomość, doba

ta świadczy jaknajdobitniej o braku istotnie wielkiego człowieka; wielkość bowiem to świadomość, która mgły nieświadomości rozprasza jak promienie słońca. Gdyby jeden jedyny człowiek dobie tej dał świadomość, jakże chętnie rzekłaby się całej swej sztuki nastrojowej, którą się dziś jeszcze tak chlubi. Z pełnią świadomości dopiero, gdy się w przeżycia terażniejszości wszystkie przeżycia przeszłości z całą intensywnością wplatają, otrzymuje fantazja, główny warunek filozoficznej czy artystycznej twórczości, właściwe sobie stanowisko. W myśl tego nie jest też zgoła prawdą, jakoby kobiety miały więcej fantazji od mężczyzn. Wszystkie doświadczenia, na których podstawie chciano kobiecie przypisać żywszą siłę wyobraźni, pochodzą ze sfery seksualnej fantazji kobiet; jedynie słuszne wnioski, jakieby się stąd wysnuć dały, nie mogą być jeszcze w tym związku omówione.

To, że kobiety w historii muzyki absolutnie żadnego znaczenia nie mają, da się niezawodnie sprowadzić do przyczyn znacznie jeszcze głębszych, przedewszystkiem atoli świadczy to o braku fantazji u kobiet. Twórczość muzyczna bowiem wymaga nieśkończenie więcej fantazji, niż ją najbardziej męska kobieta posiada: znacznie więcej, niż każda inna artystyczna lub naukowa działalność. Niema nic w rzeczywistości i przyrodzie, nic takiego nie znajduje się w zmysłowym doświadczeniu, coby odpowiadało obrazowi muzycznemu. Muzyka jest jak gdyby pozbawiona wszelkich związków ze światem doświadczenia; żadne dźwięki, żadne akordy, żadne melodie nie istnieją w przyrodzie, a wszystko, ostatnie nawet jeszcze elementy musi tu człowiek samoistnie stwo-

rzyć. Każda inna gałąź sztuki pozostaje znacznie wyraźniej w stosunkach z empiryczną rzeczywistością, niż muzyka; wszak nawet pokrewna jej, cokolwiekby się przeciw temu miało zarzucić, architektura, opracowuje w całej swej rozciągłości pewien materiał; lubo tę ma z muzyką wspólną właściwość, że (może nawet jeszcze w większym stopniu, niż ona) jest wolną od zmysłowego naśladownictwa. Stąd też i sztuka budownicza jest zajęciem nawskroś męskim, a samo wyobrażenie budowniczego-kobie-ty budzić może prawie tylko politowanie.

Podobnie i „ogłupiające“ działanie muzyki na muzyków-twórców i wykonawców, o którym się często słyszy (szczególnie ma się tu na myśli muzykę instrumentalną), stąd tylko pochodzi, że człowiekowi może zmysł węchu więcej się przysłużyć do zorjentowania się w świecie doświadczalnym, niż treść dzieła muzycznego. I właśnie ten zupełny brak jakichkolwiek stosunków ze światem, który widzieć, dotykać, wachać możemy, sprawia, że muzyka nie-szczególnie się nadaje do wypowiedzeń istoty kobiecej. Ta właściwość muzyki tłumaczy zarazem, dlaczego fantazja jest muzykowi twórczemu w najwyższym stopniu potrzebną i dlatego człowiek, któremu melodje „przychodzą“ do głowy (a może nawet wbrew jego oporowi napływają), bywa jeszcze bardziej przedmiotem podziwu ze strony innych ludzi, niż poeta lub rzeźbiarz. „Fantazja kobieca“ musi być niezawodnie całkiem odmienna od męskiej, jeśli pomimo niej niema żadnej muzyczki, któraby w historii muzyki choćby tyle tylko miała znaczenia, co Angelika Kauffmann w malarstwie.

Gdziekolwiek tylko wyraźnie idzie o jędrne kształtowanie, tam kobiety nie mogą się popisać najmniejszym dziełem: ani w muzyce, ani w architekturze, ani w plastyce, ani w filozofji. Gdzie w niepewnych, miękkich półtonach sentymentu można jeszcze odrobinę efektu osiągnąć, jak w malarstwie i poezji, jak w pewnej mętnej zamazanej pseudomistyce i teozofji, tam kobiety najczęściej jeszcze szukały i znajdowały właściwe pole swej działalności. — Brak twórczości w owych dziedzinach stoi więc także w związku z nieodróżnicowaniem życia duchowego u kobiety. Szczególnie w muzyce chodzi o możliwie jaknajbardziej artykułowane odczuwanie. Niema nic bardziej określonego, bardziej charakterystycznego i bardziej dobitnego od melodji, nic, coby wskutek wszelkiego rodzaju zamazania mogło większej doznać szkody. Dlatego o tyle łatwiej przypominamy sobie rzeczy śpiewne, niż wypowiedziane, arje zawsze lepiej, niż recytatywy, a śpiew recytatorski wymaga tyle studjów od śpiewaka wagnerowskiego.

Zatrzymaliśmy się nad tem dłużej dlatego, bo w muzyce nie popłaca już tak, jak gdzieindziej, zwyczajna wymówka feministów i sufrażystek, że kobiety mają wolny przystęp do niej czas zbyt krótki dopiero, ażeby można było od nich dojrzałych owoców wymagać. Śpiewaczki i wirtuożki istniały zawsze poddostatkiem w klasycznej już starożytności. Fi przecież...

Ale i zwyczaj uczenia kobiet malarstwa i rysunku, już dawniej wcale częsty, wzmógł się od 200-tu lat mniej więcej w wysokim stopniu. Jest znanem, ile dziś dziewcząt uczy się bez przeszkód malować

i rysować. I tu więc oddawna już nie można mówić o jakimś małodusznem niedopuszczaniu, na brak zewnętrznych warunków i możliwości bynajmniej uskarżać się nie można. Jeśli mimo to tak niewiele malarek może na serjo mieć jakieś znaczenie dla historii sztuki, to winę tego przypisać należałoby brakowi warunków wewnętrznych. Przytem zmysłowy, cielesny element barwy wydaje się być im łatwiej dostępnym, niż duchowy, formalny element linji; i to jest bez wątpienia powodem, że rozgłos zdobyło wprawdzie kilka malarek, ale rysownicza żadna jeszcze szerszego uznania nie znalazła. Zdolność nadania chaosowi formy jest wyłączną zdolnością męczyzny, któremu jaknajrozleglejsza apercpcja daje jaknajszerszą pamięć, jest ona właściwością męskiego genjuszu.

Żałuję, że jestem zmuszony posługiwać się wciąż wyrazem „genjusz“, „genjalny“, który podobnie jak dopiero od pewnego oznaczonego dochodu wgórę pewien podatek państwu ma się płacić, odcina „genjuszów“, jako pewną ściśle określoną kastę od wszystkich tych, którzy nimi być nie mogą. Nazwę „genjusza“ wymyślił może właśnie człowiek, który na nią sam w bardzo małym tylko stopniu zasługiwał; większym musiał się przymiot „genjalności“ wydawać, niezawodnie, czemś samem przez się rozumiałem; prawdopodobnie dosyć dużo czasu musiało upłynąć, zanim się przekonali, że można być wogóle i „niegenjalnym“. Jak to Pascal nadzwyczaj trafnie zauważył: im oryginalniejszym jest człowiek, za tem oryginalniejszych ma on i innych; z czem porównać proszę słowa Goethego, — że

może tylko genjusz jest zdolny genjusza zupełnie zrozumieć.

Istnieje może bardzo mało tylko ludzi, którzy nigdy zgoła w swem życiu „genjalnymi“ nie byli. Jeśli są tacy, to może im tylko zbywało na sposobności: na namiętności wielkiej, na wielkim bólu. Potrzeba im było może raz tylko coś dosyć intensywnie przeżyć — co prawda zdolność przeżywania jest czemś subiektywnie przedewszystkiem określonym — a byliby się przez to stali, przynajmniej chwilowo, genjalnymi. Poetyzowanie podczas pierwszej miłości jest np. całkowicie objawem tego rodzaju. A miłość prawdziwa jest rzeczą zupełnie przypadkową.

Wreszcie, nie należy także przeoczać, że nawet ludzie całkiem prości, w wielkiem wzburzeniu, rozgniewani jakąś nikczemnością znajdują słowa, jakich nigdyby się po nich nie spodziewano. To, co się potocznie „w y r a z e m“ nazywa, tak w sztuce, jak i w mowie prozaicznej, polega (jeżeli sobie przypomnimy poprzednie uwagi nasze o procesie klarowania) po największej części na tem, że jednostka bardziej uzdolniona ujawnia treść swą w stanie wyklarowanym i uładowym w tym czasie, kiedy inna o mniej wybitnych zdolnościach znajduje się jeszcze w stadium henidy lub w blisko z niem sąsiadującym. Przebieg klarowania ulega przez wyraz, który innemu człowiekowi uda się znaleźć, nadzwyczajnemu skróceniu i stąd radość, jaką odczuwamy i wtedy także, gdy widzimy, że ktoś inny „dobry wyraz“ znajduje. Gdy dwaj nierówno uzdolnieni przeżywają to samo, to intensywność przeżycia będzie u bardziej uzdolnionego na tyle wielką, że mniej więcej przekroczy

„próg wysłowienia“. Drugiemu zaś będzie to właśnie tylko ułatwieniem procesu klarowania.

Gdyby istotnie, jak to jest popularnem mniemaniem, genjusz był od człowieka genjalnego odgrodzony tak grubą ścianą, że nie przepuszczałaby ona żadnego tonu z państwa jednego do drugiego, to wszelkie zrozumienie działalności genjusza byłoby dla człowieka niegenjalnego zupełnie niedostępnem i dzieła jego nie mogłyby na nim najmniejszego wyrzucić wrażenia. Wszystkie więc nadzieje kultury można tylko na tem założeniu opierać, że sprawa się tak niema. I istotnie tak nie jest. Różnica polega na mniejszej intensywności świadomości, jest ona ilościową, a nie zasadniczą, jakościową *).

Naodwrot atoli nie bardzo jest rozumnie wzbrańać ludziom młodszym wypowiadania opinii i głos ich cenić niżej dlatego, że jakoby mniej mają doświadczenia, niż osoby starsze. Są ludzie, którzyby niezawodnie tysiąc i więcej lat żyć mogli, a ani jednegoby doświadczenia nie zrobili. Tylko pomiędzy równo uzdolnionymi zasada powyższa miałaby jakiś rozumny sens i byłaby w pełni uzasadniona.

Podczas gdy bowiem człowiek genjalny już jako dziecko żyje życiem intensywniejszem, niż wszystkie inne dzieci, podczas gdy u niego, im jest wybitniejszym, tem wcześniejsza młodość w pamięci zachować się może, a w wypadkach krańcowych już nawet od trzeciego roku dzieciństwa począwszy

*) Istotnie natomiast, i to w wysokim stopniu, różni się pod względem psychologicznym moment genjalny od niegenjalny, także i u jednego i tego samego człowieka,

wszystkie wspomnienia całego jego życia tkwią w nim zawsze przytomne, datują się pierwsze wspomnienia młodości u innych ludzi od terminu dopiero znacznie późniejszego; znam takich, których najdawniejsza wogóle reminiscencja pochodzi z ósmego roku ich życia, którzy o całym poprzednim okresie swego życia wiedzą to tylko, co im opowiedziano, a istnieje napewno wielu, u których to pierwsze intensywne przeżycie przypada na czas znacznie jeszcze późniejszy. Nie chcę twierdzić i zgola też nie sędzę, aby uzdolnienia dwóch ludzi można było całkiem bez wyjątku mierzyć i oceniać wedle tego, czy jeden już od piątego roku życia, drugi zaś dopiero od dwunastego wszystko o sobie pamięta, czy najwcześniejsze wspomnienie młodości przypada u tamtego na czternasty miesiąc po urodzeniu, u tego zaś dopiero na trzeci rok życia. Ale naogół biorąc, i wychodząc z granic zbyt ciasnych, można się niewątpliwie przekonać, że podana reguła jest zawsze trafna.

Od chwili pierwszego wspomnienia młodości upływa zapewne i u człowieka wybitnego zawsze jeszcze dłuższy lub krótszy okres czasu aż do tego momentu, od którego począwszy pamięta on o wszystkim, do tego dnia, od którego począwszy stał się on ostatecznie właśnie genjuszem. Większość ludzi natomiast przeważną część swego życia poprostu zapomina; wielu zaś wie często nawet to jedno tylko, że nikt inny za nich nie żył przez cały ten czas: z całego ich życia są im przytomne tylko pewne oznaczone chwile, pojedyncze punkty stałe, wybitniejsze stacje. Jeśli się ich poza tem o coś zapyta, wiedzą tylko, tj. obliczą to sobie naprędce, że

w tym a tym miesiącu mieli tyle a tyle lat, ten lub tamten urząd sprawowali, tu lub tam mieszkali i tyle a tyle dochodu mieli. Jeśli się z nimi przed laty coś wspólnie przeżyło, to trzeba sobie zadać niezmiernie wiele trudu, aby w nich pamięć tej przeszłości wskrzesić. Wolno w takim wypadku dotyczącego człowieka napewno uznać za nieuzdolnionego, co najmniej jest się uprawnionym nie uważać go za wybitnego.

Wezwanie do nakreślenia autobiografii wprowadziłoby ogromną większość ludzi w bardzo przykry kłopot: wszak niewielu już potrafi zdać sprawę, jeśli się ich zapyta o to, co wczoraj robili. Przeważna część ludzi ma bowiem właśnie pamięć przerywaną tylko, przygodnie tylko kojarzącą. W człowieku genialnym wrażenie, którego doznał, trwa dalej; co więcej właściwie na niego to w ogólności tylko wrażenia działają. Z tem się łączy, że wszyscy bez wątpienia ludzie wybitni, przynajmniej od czasu do czasu cierpią na nieodporne urojenia. Jeśli duchowy stan ludzi porównamy z systemem szczelnie obok siebie przylegających dzwonów, to o ludziach zwyczajnych możnaby powiedzieć, że u nich każdy dzwon brzmi wtedy tylko, gdy inny go kołysaniem swem popchnie, i to tylko przez kilka chwil; w geniuszu zaś jeden dzwon pod uderzeniem potężnie się rozkołysawszy, wydaje nie cichy, ale pełny ton i cały system za sobą poruszając, nieraz całe życie potem drży odgłosem. Że zaś ten rodzaj ruchu rozpoczyna się czasem od całkiem bagatelnych, a nawet śmiesznych potrąceń, trwa niekiedy uporczywie w jednakiem, do wytrzymania niemożliwem natężeniu,

przez tygodnie całe, tkwi w tem istotna pewna analogja z obłędem.

Z pokrewnych powodów jest też wdzięczność poniekąd cnotą najrzadszą u ludzi; pamiętają oni coprawda niekiedy, ile się im pożyczyło, ale w biedę, jaka ich trapiła, w ulgę, jakiej doznali, nie umieją się już i nie mogą napowrót wczuć ani wmyśleć. Jeśli brak pamięci powoduje napewno niewdzięczność, to z drugiej strony sama tylko doskonała pamięć nie wystarcza jeszcze, ażeby człowiek był wdzięcznym. Potrzebnym jest do tego specjalny jeszcze warunek, którego na tem miejscu omawiać nie możemy.

Ze związku między uzdolnieniem i pamięcią, który się tak często przeocza i zaprzecza, nie szukając go tam, gdzieby go znaleźć można było: we wspomnieniach z własnego życia, da się dalszy jeszcze fakt wysnuć. Poeta, który czuł się zniewolonym do napisania swych utworów, bez uprzedniego zamiaru, bez zastanowienia, bez sztucznego wprowadzania się dopiero w nastrój; muzyk, którego moment komponowania zaskoczył, tak, że wbrew swej woli tworzyć był zmuszony, nie mogąc się oprzeć, nawet gdyby był raczej pragnął snu i spoczynku: przez całe życie w pamięci swej zachowają to, co się w chwilach takich zrodziło, to wszystko co ani odrobinę nie zostało zrobione! Kompozytor, który żadnej swej pieśni, żadnego swego okresu, poeta, który żadnego swego wiersza nie umie napamięć, — chyba, że go najpierw, jak to sobie Sykstus Beckmesser o Hans Sachsie wyobraża, „porządnie napamięć wykuje“ — z pewnością nic nigdy rzetelnie wartościowego nie stworzył.

Zanim powyższe twierdzenia spróbujemy zastosować do zagadnienia duchowych różnic płci, musimy przeprowadzić jeszcze jedno rozróżnienie między pamięcią, a niepamięcią. Poszczególne momenty czasowe swego życia człowiek uzdolniony przechowuje mianowicie w pamięci nie jako odrębne punkty, nie jako różne indywidualne momenty, w których każdy ma swój oznaczony, od wykładnika najbliższego momentu, jak liczba jeden od liczby dwa, oddzielny wykładnik. Z samoobserwacji okazuje się raczej, że wbrew wszelkim usypianiom i wszelkim zwięzieniom świadomości, wbrew wszelkim lukom pamięci poszczególne przeżycia przypominają się w sposób całkiem zagadkowy zbiorowo i jednolicie; zdarzenia nie następują po sobie jak tykotania zegaru, ale spływają się wszystkie w jednolity tok o nieprzerwanej ciągłości. U człowieka, nie będącego genjuszem, momentów, pierwotnie luźnych i różnorodnych, a spływających się w całość, tak zwartą i ciągłą, mało jest tylko; bieg ich życia podobny jest do strumyka, a nie do potężnego strumienia, w którym się w genjusza, wszystkie potoki z najdalszych okręgów spływają, w skład którego zatem wskutek uniwersalności apercpcji, żadnego przeżycia nie wykluczając, wszystkie bez wyjątku pojedyncze momenty wsiakają i wchodzą. Swoista ta ciągłość, która jedynie dopiero może dać człowiekowi całkowitą pewność tego, że żyje, że istnieje, że jest na świecie, wszechogarniająca w genjuszu, na kilka ważniejszych momentów ograniczona w człowieku przeciętnym, w kobiecie zgoła się nie pojawia. Kobiecie, spoglądającej wstecz na życie swe i wczuwającej się w swą przeszłość, nie przedstawia

słę ona w perspektywie niepowstrzymanego, nieprzerwanego nigdzie pędu i dążenia, lgnie ona zawsze pamięcią do pojedynczych raczej tylko punktów.

Jakież to są punkty? Mogą to być tylko te, dla których K z natury swej ma zainteresowanie. W rozdziale drugim zaczęliśmy się zastanawiać nad pytaniem, do czego się wyłącznie zainteresowanie kobiety zwraca; kto wyniki tego rodzaju pamięta, następujący fakt będzie dla niego niespodzianką:

K rozporządza wogóle jedną tylko grupą wspomnień: są to wspomnienia, stojące w związku z popędem płciowym i rozmnażaniem. Wspomnienia o ukochanym i konkurencie, o nocy poślubnej, o każdym dziecku, jak i o każdej swej lalce, o kwiatkach, jakie na każdym balu otrzymała, o liczbie, wielkości i cenie bukietów, o każdej serenadzie, na jej cześć urządzonej, o każdym wierszu, który (jak sobie wmawia) w hołdzie dla niej napisany został, o wszystkich powiedzeniach mężczyzny, który jej zaimponował, przede wszystkim atoli pamięta ona z dokładnością, która budzi zarówno politowanie jak niesmak o każdym bez wyjątku komplementcie, który jej w życiu uczyniono.

To jest wszystko, co kobieta prawdziwa z życia swego pamięta.

Atoli to, czego człowiek nigdy nie zapomina i to, czego sobie zapamiętać nie umie, najlepiej umożliwia poznanie jego istoty, charakteru jego. Będziemy mieli jeszcze później sposobność dokładniej, niż teraz się zastanowić, o czem to świadczy, że K te właśnie ma wspomnienia. Dużo wyjaśnienia dać powinna owa nieprawdopodobna wierność, z jaką

kobiety zachowują w pamięci wszystkie hołdy i po-
chlebstwa, wszystkie dowody galanterji, jakie im od
najwcześniejszego dzieciństwa składano. Zdają sobie
naturalnie jasno sprawę z zarzutów, jakie mogą
być podniesione przeciwko ustanowieniu tego rodza-
ju ograniczenia pamięci kobiecej do dziedziny płcio-
wości i życia gatunkowego; muszą być przygotowa-
nym na to, że wymaszerują wszystkie szkoły dla
dziewcząt i wszystkie dotyczące wykazy. Atoli te
wątpliwości mogą być dopiero później usunięte. Tu-
taj prosiłbym to tylko jeszcze zważyć, że w sprawie
pamięci, o ile ona na serjo ma być wzięta w rachubę,
jako czynnik psychologicznego poznania indywi-
dualności, tam tylko mogłoby chodzić o rzeczy wy-
uczone, gdzieby one były zarazem rzeczami istotnie
przeżytemi.

Że duchowemu życiu kobiety zbywa na ciąg-
łości (cośmy tutaj tylko przytoczyli niejako w związ-
ku z teorią pamięci, jako fakt psychologiczny, któ-
rego przeoczać się nie powinno, nie zaś jako spiry-
tualistyczną lub idealistyczną tezę), dokładnie będzie
to można dopiero niżej wyświecić: istotę ciągłości
można zgłębić tylko zajmując wpierw pewne stano-
wisko wobec najbardziej spornego zagadnienia całej
filozofji i psychologii. Jako dowód owego niedoboru
pozwolę sobie narazie przytoczyć tylko fakt, wywo-
łujący tak często podziw, a przez Lotzego wyraź-
nie podkreślony, że kobiety znacznie łatwiej wżywa-
ją się w nowe stosunki i przystosowują się do nich,
niż mężczyźni, po których parwenjuszka długo jeszcze
można poznać, gdy tymczasem w analogicznyn. wy-
padku nikt już nie potrafi rozróżnić mieszcżanki od
szlachcianki, kobiety wychowanej w skromnych wa-

runkach od córki patrycjuszów. Ale i tem także będę zmuszony później jeszcze dokładnie się zająć.

Łatwo stąd zresztą wyrozumieć, dlaczego (o ile próżność, plotkarstwo lub naśladownictwo do tego nie zniewala), lepsi tylko ludzie spisują wspomnienia ze swego życia i że uważam to za ważny dowód na poparcie związku między pamięcią i uzdolnieniem. Nie jakoby każdy genialny człowiek skreślił był także swą autobiografię: do pisania jej potrzebne są jeszcze pewne specjalne, bardzo głęboko tkwiące warunki psychologiczne. Ale naodwrot napisanie zupełnej autobiografji, o ile wypływa z samorodnej potrzeby, jest zawsze oznaką wyższości człowieka. Właśnie bowiem w istotnie wiernej pamięci tkwią także korzenie pietyzmu. Człowiek wybitny, któremu by postawiono warunek poświęcenia swej przeszłości dla jakichś zewnętrznych materialnych lub wewnętrznych higienicznych korzyści, odrzuciłby go, choćby mu obiecywano za cenę zapomnienia największe skarby świata, a nawet szczęście samo. Pragnienie napoju letejskiego jest rysem natur przeciętnych i niższych, a lubo człowiek prawdziwie wybitny wedle słów Goethego zwykł surowo — osądzać i gwałtownie zwalczać własne swe błędy, których dopiero co się wyzbył, i o ile widzi, że inni uparcie się ich trzymają, to jednak nie będzie on nigdy przedrwiwał dawnego swego postępowania i zachowania się i nigdy naigrawać się nie będzie z swego dawnego sposobu myślenia i życia. Tak gęsto dziś pleniący się „przewycięzcy” zasługują w gruncie rzeczy na wszystko inne raczej, niż na tę nazwę zwycięzców: ludziom, którzy innym z drwinami opowiadają o tem, w co wszystko sami niegdyś

wierzyli i jak oni to wszystko rzekomo „przewycię-
żyli“, ani niezbyt szczerze zależało na dawnej wie-
rze, ani też ich nowa niewiele obchodzi. Takim cho-
dzi zawsze o instrumentację tylko, a nigdy o melod-
ję; żadne z tych wszystkich „przewyciężonych“
stadjów nie wpływało rzeczywiście z głębi ich isto-
ty. Proszę natomiast zwrócić uwagę na to, z jak pie-
czołowitą skrupulatnością ludzie wielcy w autobio-
grafjach swych nawet do rzeczy pozornie najbardziej
bagatelnych przywiązują wagę: dla nich bowiem te-
raźniejszość i przeszłość równą ma wartość, dla tam-
tych żadna z nich obu nie jest prawdziwa. Człowiek
wybitny czuje, jak w jego życiu wszystko, rzecz
najdrobniejsza nawet i najpodrzedniejsza nabrała wagi
i znaczenia, biorąc pomocniczy udział w jego rozwo-
ju i stąd to nadzwyczajny pietyzm jego pamięt-
ników. A do pisania autobiografji takiej z pewno-
ścią nie zasiada się z nagłą i niespodziewanie, tak
jak do pierwszego lepszego innego pomysłu; idea jej
nie rodzi się w nim znienacka; dla człowieka wiel-
kiego, który ją pisze, jest ona, żeby tak rzec, zawsze
gotowa. Właśnie dlatego, że życie dotychczasowe
jest dlań zawsze całkowicie obecne, odczuwa on wa-
gę i znaczenie nowych swych przeżyć i dlatego jest
on, a właściwie tylko on uczestnikiem losu. I stąd
przedewszystkiem także pochodzi, że właśnie ludzie
najwybitniejsi bywają zazwyczaj o wiele bardziej
przesadnymi, niż głowy przeciętne. Można zatem re-
sumując powiedzieć:

Im większe znaczenie mają dla kogoś wszyst-
kie sprawy, tem on sam jest człowiekiem większego
znaczenia.

W toku dalszych dociekań będzie można twierdzeniu temu oprócz uniwersalności współczującego rozumienia i porównawczego pamiętania stopniowo głębszy jeszcze sens nadać.

Jak się zaś w rzeczach tych sprawa ma z kobietą, nietrudno zgadnąć. Prawdziwa kobieta nie dochodzi nigdy do świadomości losu, przeznaczenia swego; kobieta nie jest heroiczną, walczy bowiem najwyżej o swe posiadanie i nie jest tragiczną, albowiem los jej rozstrzyga się wraz z losem tego posiadania. Będąc pozbawioną ciągłości, kobieta nie może też mieć pietyzmu; jest on też w samej rzeczy cnotą nawskroś męską. Pietyzm ma się przedewszystkiem wobec siebie samego i ten pietyzm wobec siebie samego jest podstawą wszelkiego pietyzmu wobec innych. Ale kobietę niewiele przewyciężenia kosztuje potępienie swej przeszłości i gdyby wyraz ironja był tu odpowiednim, rzecby można, że mężczyzna niełatwo zdobędzie się na tak ironiczne i z taką wyższością traktowanie swego dawnego ja, jak to zwykły czynić niejednokrotnie — nietylko po nocy poślubnej — kobiety. Będziemy mieli jeszcze sposobność wskazać na to, że pragnienia kobiet są właściwie przeciwieństwem tego wszystkiego, czego wyrazem jest pietyzm. Co się wreszcie tyczy pietyzmu wdów — ale o tym przedmiocie wolę raczej zamilczeć. I zabobonność kobiet jest wkońcu pod względem psychologicznym zgoła inna, niż zabobonność wybitnych mężczyzn.

Stosunek do własnej przeszłości, przejawiający się w pietyźmie i oparty na ciągłości pamięci, którą znów umożliwia apercepcja, da się jeszcze w dalszych swych związkach przedstawić i zarazem głębiej

zanalizować. I tak nadzwyczaj ściśle z tem, czy ktoś pozostaje w stosunku ze swą przeszłością czy nie, wiąże się kwestja, czy odczuwa on potrzebę nieśmiertelności czy też wobec myśli o śmierci zachowuje obojętność.

Potrzebę nieśmiertelności traktuje się dziś wprawdzie dosyć powszechnie pogardliwie i zgóry. Wywiązujące się z niej zagadnienie rozwiązuje się nietylko jako ontologiczne, ale także jako psychologiczne z haniebną łatwością. Jedni usiłują je razem z wiarą w wędrówkę dusz w ten sposób wytłumaczyć, że w wielu ludziach budzą sytuacje, w które napewno po raz pierwszy popadli, uczucie, jakoby je już raz przeżywali. Inny powszechnie dziś przyjęty pogląd, wyprowadzający wiarę w nieśmiertelność z kultu duchów, przez Tylora, Spencera i Avenariususa sformułowany, byłby w każdej innej epoce prócz ery psychologii eksperymentalnej *a priori* odrzucony. Powinnoby się wszak, sądzę, każdemu myślącemu wydawać rzeczą wręcz niemożliwą, aby coś, na czem tak wielu ludziom zależy, o co tak walczono i spierano się, stanowiło tylko ostatnie ogniwo sylogizmu, którego przesłankami miałyby być przypuszczalnie nocne widziadła senne nieboszczyków. I do tłumaczenia jakich to zjawisk służyć ma owa niezachwiana wiara w swe życie pośmiertne, którą miał Goethe i Bach, do jakich „pseudoproblematów” da się sprowadzić pragnienie nieśmiertelności, odzywające się do nas z Beethovena ostatnich sonat i kwartetów? Tęsknota za nieśmiertelnem trwaniem osobistego bytu z potężniejszych wypływać musi źródeł, niż owe racjonalistyczne wodotryski.

Ten głębszy jej rodowód jest w żywym związku ze stosunkiem człowieka do swej przeszłości. W tem, że on się czuje i że się widzi w przeszłości, tkwi potężna przyczyna pragnienia, aby się dalej widzieć i dalej się czuć. Komu własna przeszłość jest droga, kto życie swe wewnętrzne w wyższej, niż swój fizyczny żywot ma cenie, nie zechce go wydać na pastwę śmierci. Stąd to pierwotna, samorodna potrzeba nieśmiertelności występuje naj-silniej, najtrwalej w największych genjuszach ludzkości, w ludziach o najbogałszej przeszłości. Że taki związek żądz nieśmiertelności z pamięcią rzeczy-wiście zachodzi, okazuje się jasno z tego, co ludzie, wyratowani z niebezpieczeństwa śmierci, zgodnie o sobie zeznają. Chociażby przedtem nigdy wiele o przeszłości swej nie byli myśleli, przeżywają oni nagle wtedy odrazu z szaloną szybkością w przeciągu kilku sekund rzeczy, które całemi dziesiątkami lat nie pojawiały się w ich świadomości. Poczucie tego, co ich czeka, przywołuje to wszystko na myśl — znów siłą kontrastu, — co ma na zawsze ulec zniszczeniu.

Wiemy jednak bardzo mało o duchowem usposobieniu konających. trzeba też na to człowieka więcej niż zwyczajnego, aby pojąć, co się w umierającym dzieje; z drugiej znów strony właśnie ludzie lepsi, z przyczyn wyluszczonych, przeważnie unikają widoku konających. Ale niewątpliwie jest to rzeczą zgoła mylną, sprowadzać u tak wielu śmiertelnie chorych nagle występujące objawy religijności do utartej kalkulacji „a może przecież zabezpieczyć się warto, spróbować nie zawadzi“; i jest rzeczą bardzo po-wierzchną przypuszczać, że sama tradycyjna nauka

o piekle, przedtem nigdy nie uznawana, nabiera nagle właśnie w godzinie śmierci tyle siły, że człowiekowi staje się niemożliwem umierać w kłamstwie *). To jest bowiem najważniejsze: dlaczego ludzie, którzy prowadzili życie nawskroś kłamliwe, odczuwają nagle w sobie potrzebę prawdy? I dlaczego nawet na niewierzącym w kary zagrobowe czyni wrażenie tak okropnie wiadomość, że ktoś zmarł z poczuciem kłamstwa, z poczuciem krzywdy, nie okazawszy skruchy, dlaczego zarówno zatwardziałość aż do końca, jak i nawrócenie przedśmiertne wyobrażenie poetów tak często w wysokim stopniu podniecały? Kwestja „euthanazji ateistów“, w wieku XVIII tak często roztrząsana, nie jest więc zgoła tak niedorzeczną i takim historycznym dziwactwem, za jakie ją uważał Fryderyk Albert Lange.

Poruszam to wszystko nietylko w tym celu, aby rozpatrzeć pewną jeszcze możliwość, której zaledwie wartość przypuszczenia przypisaćby można. Nie wydaje mi się mianowicie rzeczą niemożliwą do pomyślenia, że gdy znacznie więcej ludzi jest „genjalnymi“ niż „genjuszami“, różnica ilościowa uzdolnienia zaznacza się przedewszystkiem pod względem czasu, w jakim ludzie stają się genjuszami. Dla większości chwila ta schodziłaby się z chwilą ich naturalnej śmierci. A że już poprzednio nasunął nam się wniosek, iż ludzi genjalnych nie należy tak jak podatników od pewnej wysokości rocznego dochodu

*) Śmiem także i to przypomnieć, jak często mężowie ścisłej wiedzy dopiero też przed śmiercią zabierają się do zagadnień religijnych i metafizycznych: Newton, Gauss, Riemann, Wilh. Weber.

wgórę, bezwzględnie od wszystkich innych ludzi odcinać, to obecnie łączą się z poprzednimi wywodami nowe szczegóły. I podobnie jak pierwsze wspomnienie dzieciństwa nie wiąże się z jakimś zewnętrznym, poprzedni bieg rzeczy przerywajacem zdarzeniem, ale u każdego nagle, niewidocznie, wskutek rozwoju wewnętrznego prędzej lub później nadchodzi dzień, w którym świadomość staje się tak natężoną, że pozostaje wspomnienie i odtąd w miarę uzdolnienia więcej lub mniej liczne wspomnienia się zachowują — zjawisko, które już samo burzy całą współczesną psychologję — podobnie potrzeba może u rozmaitych ludzi rozmaitej ilości wstrząśnień, aby ich uczynić genialnymi, i wedle liczby tych wstrząśnień świadomości, z których ostatnie zachodziłoby w godzinie śmierci, należałoby ludzi pod względem ich uzdolnienia klasyfikować. Przy tej sposobności chcę na to jeszcze zwrócić uwagę, jak fałszywym jest pogląd dzisiejszej psychologji (dla której jednostka ludzka stanowi poprostu tylko lepszy przyrząd rejestrujący, który żadnym wewnątrz odbywającym się, ontogenetycznym duchowym rozwojom nie ulega), jakoby człowiek największą liczbę wrażeń zapamiętywał w wieku młodzieńczym. Nie należy wrażeń przeżytych mieszać z zewnętrznym i obcym materiałem pamięciowym. Dziecko dlatego właśnie o tyle łatwiej materiał ten wchłania, że tak mało jest jeszcze obciążone wzruszeniami uczucia. Psychologja, która w tak fundamentalnych sprawach jest sprzeczna z doświadczeniem, ma wszelkie powody do wejścia w siebie i do odwrotu. To, co myśmy tu naszkicować usiłowali, jest zaledwie zarysowaniem owej psychologji ontogenetycznej

lub biografji teoretycznej, która prędzej czy później powołaną jest do wyparcia dzisiejszej nauki o duszy ludzkiej. — Wszelki program zawiera implícite pewne przekonania, wszelki cel, do którego wola zamierza, opiera się na pewnych wyobrażeniach o stosunkach rzeczywistych. Nazwa „teoretycznej biografji“ ma dotyczącą dziedzinę lepiej, niż dotąd odgraniczyć od filozofji i fizjologji, a pogląd biologiczny, który przez ostatni kierunek w psychologji (Darwin, Spencer, Mach, Avenarius) zbyt jednostronnie poczęści z rażącą przesadą rozwinięty został, o tyle rozszerzyć, że zadaniem tej nauki będzie zdać sprawę z całokształtu praw duchowego procesu życia, jako całości od narodzin aż do śmierci człowieka tak, jakby z powstania, zaniku i wszystkich poszczególnych faz życiowych jakiejś rośliny. Biografją zaś, nie biologją, ma się ta nauka nazywać, gdyż zadanie jej polegać będzie na zbadaniu stałych praw duchowego rozwoju jednostki. Dotąd całe dziejopisarstwo we wszystkich swych gałęziach zna tylko osobistości, βίαι. Tu zaś chodziłoby o zdobycie ogólnych punktów widzenia, o uchwycenie typów. Psychologja musiałaby zacząć się przeistaczać w teoretyczną biografję. W ramach tej nauki mogłaby utonąć i utonąłaby cała dotychczasowa psychologja i wtedy dopiero utworzyłaby ona naprawdę, w myśl życzenia Wilhelma Wundta, zapładniającą podstawę dla wszystkich gałęzi wiedzy, poświęconych badaniom humanistycznym. Byłoby błędem o możliwościach tych zwątpić dlatego, że dzisiejsza psychologja, nie pojmując zgoła jeszcze tego właściwego zadania swego, mającego cel jej stanowić, nie jest

też w stanie żadnej przysługi oddać naukom, zajmującym się badaniami humanistycznymi. To wszak właśnie sprawia, że mimo prac Windelbanda i Rickerta, które w znacznej mierze przyczyniły się do wyświeatlenia stosunku nauk przyrodniczych i tak zwanych nauk humanistycznych, da się jeszcze nie bez uzasadnienia obok nowego podziału nauk na umiejętności, badające „prawa” i umiejętności, badające „zdarzenia”, na „nomotetyczne” i „idjograficzne”, utrzymać dualistyczny podział Milla na nauki przyrodnicze i poświęcone humanistyce.

Dedukcji, wiążącej potrzebę nieśmiertelności z ciągłością pamięci i pietyzmem, odpowiada w zupełności fakt, że kobiety nie odczuwają zgoła żadnej potrzeby nieśmiertelności. Okazuje się też stąd na pewno, jak błędą ci, którzy uważają postulat osobistego bytu zagrobowego wyłącznie za wpływ obawy śmierci i cielesnego samolubstwa, dając tem właściwie wyraz najbardziej popularnym zapatrywaniom na istotę wiary w wieczność. Albowiem trwodze przed śmiercią ulegają zarówno kobiety, jak i mężczyźni, potrzeba nieśmiertelności zaś jest wyłącznie właściwa mężczyznom.

Atoli usiłując wyjaśnić psychologiczną stronę żądzy nieśmiertelności, przedstawiłem raczej związek, jaki między nią i pamięcią zachodzi i nie starałem się o prawdziwie ścisły wywód jej z jakiejś wyższej zasady. Pewne istniejące tu pokrewieństwo zawsze da się sprawdzić: im więcej ktoś żyje w swej przeszłości — a nie, jakby to powierzchownie patrząc, sądzić można, w swej przyszłości — tem intensywniejszą będzie jego żądza nieśmiertelności. Podobnie brak pragnienia bytu pośmiertnego u kobiety

łączy się u niej z brakiem innych objawów pietyzmu wobec własnej osoby. Zarówno jednak owe braki w ustroju kobiecym domagają się głębszego jeszcze uzasadnienia przez sprowadzenie ich do jednej ogólniejszej zasady, jak i współistnienie pamięci i żądzy nieśmiertelności w mężczyźnie zdają się wskazywać na wspólne obydwom pochodzenie, które jeszcze odsłonić należy. — Dotychczas bowiem wykazaliśmy tylko, że i w jaki sposób łączy się w jednym i tym samym człowieku przeżywanie własnej przeszłości i szacunek dla niej z nadzieją bytu zagrobowego. Zbadania głębszej przyczyny tego związku nie uważaliśmy tu jeszcze zgola za swe zadanie. Z kolei zatem należy i do rozwiązania tego zagadnienia przystąpić.

* * *

Za punkt wyjścia obrać możemy formułę, w jakąśmy ujęli uniwersalną pamięć człowieka wybitnego. Dla niego jest wszystko, zarówno to, co już dawno rzeczywistość utraciło, jak i to, co dopiero właśnie przeminęło, jednako prawdziwe. Stąd pochodzi, że poszczególne przeżycie wraz z tą chwilą, która je przynosi, nie ginie tak, jak sam ten znikający atom czasu, że nie pozostaje związanem z oznaczonym momentem czasu, ale się od niego — pamięcią właśnie — wyzwala. Pamięć czyni przeżycia bezczasowemi; jest ona, już w samem swem pojęciu, przewyciężeniem czasu. Człowiek dlatego tylko może rzeczy minione pamiętać, że je pamięć wyzwala z pod wpływu czasu, że zdarzenia, które wszędzie indziej w przyrodzie

są funkcjami czasu, tutaj w duchu są ponad czas wyniesione.

Ale tutaj nasuwa się nam pozornie pewna trudność. Jak pamięć może mieścić w sobie zaprzeczenie czasu, skoro z drugiej strony jest przecie rzeczą pewną, że nie wiedzielibyśmy nic o czasie, gdybyśmy pamięci nie mieli? Z pewnością tylko przez pamięć rzeczy minionych zawsze i ciągle uświadamiamy sobie, że wpływ czasu się odbywa. Jakżeż więc z rzeczy, które tak ściśle są związane, może jedna stanowić przeciwieństwo i zaprzeczenie drugiej?

Trudność tę rozwiązuje się łatwo. Właśnie dlatego, że pewna istota—nie musi to być człowiek—o ile jest obdarzona pamięcią, przeżyciami swymi nie jest poprostu wplecioną w bieg czasu, może się jemu przeciwstawić, może go pojąć i przedmiotem rozpatrywać swych uczynić. Gdyby poszczególne przeżycie dalszy upływ czasu pochłaniał, gdyby ono w nim tonęło i nie ratowało się z niego pamięcią musiałoby się ono zczasem zmieniać, jak każda inna zależna zmienna wraz ze swą niezależną; gdyby człowiek tkwił w czasowym potoku zdarzeń, nie mógłby go zauważyć, ani uświadomić sobie — uświadomienie wymaga dwoistości — i czas ten nie mógłby być nigdy przedmiotem, myślą, wyobrażeniem człowieka. Trzeba w jakiś sposób czas przeżywać, aby się nad nim zastanawiać, trzeba w jakiś sposób stanąć poza czasem, aby móc go rozpatrywać. Sprawdza się to nie tylko w zastosowaniu do każdego pojedynczego momentu — podczas namiętności nie można nad nią rozważać, trzeba najpierw mieć ją już poza sobą — ale także w od-

niesieniu do ogólnego pojęcia czasu. Gdyby nie istniała bezczasowość, nie istniałoby spostrzeżenie czasu.

Ażeby bezczasowość tę poznać, przypomnijmy sobie narazie, co się rzeczywiście pamięcią z czasu wyzwala. Okazało się, że to wszystko, co dla jednostki ma znaczenie ico w niej budzi zajęcie, czyli krótko mówiąc, wszystko, co ma dla niej pewną wartość. Pamiętamy tylko takie rzeczy, które miały dla nas, długo nieraz nieświadomą choćby, wartość: ta wartość nadaje im bezczasowość. Zapominamy wszystko, czegośmy nie uznali, choćby często bezwiednie za rzecz dla osoby naszej wartościową.

Wartość stanowi zatem to, co jest bezczasowe, i naodwrot: rzecz pewna ma tem większą wartość, im mniej jest funkcją czasu, im mniej się zczasem zmienia. Wszystko na świecie tyle tylko wartości posiada, ile w tem tkwi bezczasowości: tylko rzeczom bezczasowym wartość pozytywną się przypisuje. To stanowi, jeśli nie najgłębszą jeszcze, jak sądzę, i nie najogólniejszą definicję wartości i całkowicie nie wyczerpującą jeszcze jej istoty, to przecież pierwsze specjalne prawo wszelkiej wartości.

Pobieżny przegląd wystarczy, aby wszędzie panowanie jego wykazać. Jest się zawsze skłonny lekceważyć przekonania tego, który niedawno dopiero do nich doszedł, niewiele wartości wogóle przypisuje się oświadczeniom człowieka, którego poglądy są jeszcze w stanie płynnym, bezustannie się zmieniając. Spiżowa niezmiennność budzi natomiast zawsze poważanie, choćby się przejawiała w nieszla-

chetnych formach mściwości i uporu ; nawet, gdy z martwych przemawia przedmiotów: przykładem owo „*aere perennius*” poetów i „*quarante siècles*” egipskich piramid. Chwała i dobra pamięć, którą człowiek pozostawia, straciłyby dlań wnet swą wartość, gdyby miał sobie wyobrazić, że tylko krótki czas, nie zaś długo, możliwie wieczyście, trwać będą. Człowiek nie może dalej nigdy cenić pozytywnie tego, że się bezustannie zmienia ; o ile zaś czyni to pod pewnym względem, to niewątpliwie, gdy mu się powie, że się wciąż z nowej strony pokazuje, może być nawet bardzo rad temu i dumny z tego przedmiotu, lecz radość sprawia mu wtedy naturalnie tylko ciągłość, prawidłowość i niechybność zmiennych tych stanów. Kto jest znużony życiem, dla kogo nic już nie ma wartości, o żadną też trwałość nie stoi. Obawa wygaśnięcia rodu i wymarcia jego imienia jest objawem całkowicie tu przynależnym.

Także i wszelka społeczna wartość, jak się ona uwidocznia np. w przepisach prawnych i umowach, jakkolwiek w życiu codziennem ulec one mogą zwykajowym przemianom, rości sobie od początku moc bezczasową nawet wtedy, gdy prawomocność jej wyraźnie zastrzeżona jest tylko do pewnego oznaczonego czasokresu: właśnie przez to bowiem czas staje się specjalnie uznanym za czynnik stały i niezmienny i traci charakter zmiennej zależnie od której umówione stosunki mogłyby się kiedyś stale lub niestale zmieniać. Oczywiście, pokaże się i tutaj, że tem wyższą wartość przypisuje się rzeczom, im dłużej trwają; jeżeli bowiem dwaj kontrahenci zawierają pakt na czas bardzo krótki, nikt nie uwierzy

jakoby im dużo na umowie zależało ; oni sami zawarli ją, nie inaczej będą w tym wypadku nastroszeni i mimo aktów będą się od początku mieli na baczności, wzajemnie sobie nie ufając.

W sformułowanym prawie mieści się też prawdziwe wyjaśnienie tego, że interesy ludzkie sięgają poza granicę śmierci. Pożądanie wartości przejawia się w powszechnym dążeniu do wyemancypowania rzeczy z czasu, a dążenie to rozciąga się nawet na stosunki prędzej lub później przecież „z czasem” się zmieniające, np. na bogactwo i posiadanie, na wszystko, co zwykliśmy nazywać „dobrami doczesnymi”. W tem tkwi głęboka psychologiczna pobudka testamentu, rozporządzania spadkiem. Źródłem tego objawu nie była troska o swą rodzinę. Także mężczyzna bez rodziny i bez krewnych sporządza testament, a nawet przystępuje on naogół do tej czynności z pewnością, z powagą znacznie większą i głębszym skupieniem, niż ojciec rodziny, który wie, że po jego śmierci ślady jego nie wygasną znów tak całkowicie w życiu i myśli innych.

Wielki polityk i władca, szczególnie zaś despotą, mąż zamachów państwowych, którego rządy z z śmiercią się kończą, usiłuje im nadać wartość, wiążąc z nimi coś, co ma czas przełamać dziełem ustawodawczym czy życiorysem Juljusza Cezara, podjęciem rozmaitych wielkich kulturalnych przedsięwzięć czy zbiorowych prac naukowych, założeniem muzeów i zbiorów, wzniesieniem budowli monumentalnych (*saxa loquuntur*), a co najcharakterystyczniejsze, stworzeniem lub uregulowaniem kalendarza. Usiłuje on jednak także i samej swej władzy

w granicach swego już życia zapewnić możliwie jak najdłuższe trwanie, nie tylko zabezpieczając się zapomocą wzajemnych umów i zawiązując nigdy już nie dające się zatrzeć stosunki powinowactwa na dyplomatycznych związkach małżeńskich oparte, ale przede wszystkim usuwając to wszystko, co samem swobodnem swem istnieniem mogłoby jeszcze kiedyś wieczyste trwanie jego władzy podać w wątpliwość. Tak się polityk staje zdobywcą.

Psychologiczne i filozoficzne dociekania nad teorią wartości zgoła nie zwróciły uwagi na prawo bezczasowości. Pozostawały one wprawdzie po większej części pod wpływem potrzeb nauki gospodarstwa, w której dziedzinę same wkraczać usiłowały, nie sądząc atoli, aby nowe tu sformułowane prawo nie miało mieć zastosowania w ekonomji politycznej dlatego, że je tu częstsze niż w psychologii komplikacje zaciemniają. I pod względem ekonomicznym wszystko ma tem większą wartość, im jest trwalsze. Co ma bardzo ograniczoną zdolność konserwowania się w tym np. stopniu, że w razie niezakupienia, musiałoby w przeciągu kwadransa ulec zepsuciu, to można wszędzie tam, gdzie zapomocą stałych cen moralna wartość zakładu handlowego nie ma być wyniesiona ponad zmienne wpływy czasu, o późnej porze, przed nadejściem nocy zwykle, znacznie taniej kupić. Można tu także wspomnieć o licznych urządzeniach ochronnych przeciwko wpływom czasu, zabezpieczających utrzymanie wartości (magazyny, składy, piwnice, *rèchauds*, wszelkie zbiory z kustoszami itd.). Jest to nawet tu zgoła rzeczą błędną, jak to czynią przeważnie zwolennicy psychologicznej teorii wartości, określać wartość, jako coś, co jest zdolne

zaspokajać nasze potrzeby. I kaprysy należą bowiem do (chwilowych) potrzeb człowieka, a przecież niema nic bardziej wszelkiemu szacowaniu przeciwnego, jak właśnie kaprys. Kaprys nie zna żadnej wartości, domaga się jej co najwyżej na to, aby ją za chwilę zburzyć. Tak więc moment trwałości z pojęcia wartości nie da się usunąć. Nawet zjawiska, o których sądzono, że można je wyjaśnić tylko zapomocą mengerowskiej teorii „pożytku granicznego” znajdują wytlumaczenie w moim poglądzie (który oczywiście nie rości sobie najmniejszej pretensji do wkraczania w dziedzinę ekonomji politycznej). Że powietrze i woda żadnej wartości nie mają, polega mianowicie wedle niego na tem, że tylko w pewien sposób zindywidualizowane, w kształt ujęte przedmioty pozytywne ocenione być mogą: wszystko bowiem, co ma formę, może być formy pozbawione, może być zniszczone i, jako takie, nie potrzebuje być trwałe. Góra, las, równina, mogą być odgradzeniem i odgraniczeniem w formę ujętą i dlatego nawet w stanie najbardziej dzikim, są jeszcze przedmiotem wartości. Powietrza, atmosfery i wody nad i na powierzchni ziemi nie zdoła nikt zamknąć w granice, rozpościerają się one w stanie rozproszonym i bez ograniczenia. Gdyby jakiś czarodziej zdołał powietrze atmosferyczne, otaczające glob ziemski jak owego ducha z bajki wschodniej na względnie małej przestrzeni ziemi zgromadzić, albo gdyby się komuś udało te masy wodne w jakimś zbiorniku, niedopuszczającym do ulatniania się, uwięzić, uzyskałyby one natychmiast formę i tem samem stałyby się przedmiotem oszacowania. Wartość przypisuje się więc jakiejś rzeczy wtedy tylko, gdy istnieje choćby jaknajdalszy

powód do obawy, że może ona czasem ulec zmianie; tylko bowiem w stosunku do czasu wartość powstaje, tylko w przeciwieństwie do niego ją się ustanawia. Czas i wartość warunkują się zatem wzajemnie jak dwa pojęcia korelatywne. Jak głęboko zapatrywanie takie sięga, jak nawet może stanowić główny pierwiastek składowy poglądu na świat, tego tutaj dalej rozwijać nie mógłbym. Dla wytkniętego tu celu wystarczy wiedzieć, że wszelka podstawa do przypisywania wartości tam znów właśnie odpada, gdzie czas żadnego już niebezpieczeństwa wywierać nie może. Chaos także i wiecznie trwający może podlegać tylko negatywnej ocenie. Forma i bezczasowość czyli indywidualizacja i trwanie są to dwa analityczne momenty, które wartość przedewszystkiem tworzą i uzasadniają.

Przedstawiliśmy w ten sposób wszechstronnie owe fundamentalne prawo teorii wartości w indywidualno-psychologicznej i społecznie psychologicznej dziedzinie. Podejmując z kolei właściwy znów przedmiot naszych roztrząsań, możemy obecnie tem się ostatecznie zająć, co, aczkolwiek specjalnem jest zagadnieniem tego rozdziału, na omówienie swe dotąd jeszcze czeka.

Z poprzednich wywodów, jako wniosek pierwszy, wolno wysnuć, że na wszystkich polach ludzkiej działalności istnieje potrzeba bezczasowości, wola, dążąca do wartości. I tej woli wartości, która pod względem głębi może się śmiało mierzyć z wolą mocy, kobieta indywidualna przynajmniej w formie potrzeby bezczasowości zgoła nie posiada. Stare kobiety zwykły w bardzo tylko rzadkich wypadkach rozporządzać swym spadkiem, co

stoi z tem w związku, że kobiety nie mają potrzeby nieśmiertelności. Ostatnią wolę człowieka bowiem otacza aureola czegoś wyższego, ogólniejszego i to jest też przyczyną, dlaczego inni ludzie ją szanują.

Sama potrzeba nieśmiertelności jest tylko poszczególnym wypadkiem tego powszechnego prawa, że tylko rzeczom bezczasowym wartość pozytywną się przypisuje. Na tem opiera się jej związek z pamięcią. Trwałość, z jaką przeżycia człowieka w nim się zachowują, jest proporcjonalna do znaczenia, jakiego one dla niego nabrać mogą. Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie: **wartość jest tem, co stwarza przeszłość.** Tylko to, co zostało pozytywnie ocenione, podlega ochronie pamięci, zębem czasu nie tknięte; tak więc i indywidualne życie duchowe, jako całość, jeśli ma pozytywną wartość otrzymać, nie śmie być funkcją czasu, musi czas przewyciężyć wiecznym trwaniem poza śmierć cielesną sięgającym. Przez to zbliżyliśmy się już niepomiernie do najwewnętrzniejszego motywu potrzeby nieśmiertelności. Całkowita utrata znaczenia, jakiej doznaje indywidualna treść życia w całej swej pełni przeżytego, jeśli ma ze śmiercią na zawsze bez reszty się kończyć, niedorzeczność całości w takim razie, jak o tem innemi słowy mówi także Goethe do Eckermanna (4 lutego 1829), prowadzi do pragnienia nieśmiertelności.

Najbardziej natężone pragnienie nieśmiertelności ma genjusz. A i to łączy się z wszystkimi innemi faktami, któreśmy dotąd w naturze jego stwierdzili. Pamięć jest tylko wtedy zupełnem pokonaniem czasu, jeśli się objawia tak, jak u człowieka uniwersalnego, w formie uniwersalnej. Genjusz jest zatem

we właściwym tego słowa znaczeniu człowiekiem beczasowym, przynajmniej takim, a nie innym jest własny jego o sobie ideał; jest on właśnie jak o tem świadczy jego tęsknoty pełna i usilna żądza nieśmiertelności, człowiekiem o najsilniejszym pragnieniu beczasowości, o najpotężniejszej woli wartości *).

W związku prawie dziwniejszym jeszcze pozostają z tem dalsze nasuwające się wnioski. Bezczasowość genjusza przejawia się nie tylko w stosunku do pojedynczych chwil jego życia, ale i do tego zakresu zjawisk, które z rachuby czasu, jako pokolenie jego się wyodrębnia i „jego czasem” w ściślejszym znaczeniu się nazywa. Z nimito mianowicie nie łączą go *de facto* żadne zgoła stosunki. Genjusza nie stwarza czas, który go potrzebuje, nie jest on jego wytworem, nie da się nim wytłumaczyć i nie oddaje mu się przez to czci, jeśli się w czasie szuka jego uzasadnienia. Carlyle zwrócił na to słusznie uwagę, jak wielu epokom brakło tylko wybitnego człowieka, jak nagłąć był on ich potrzebą i jak mimo to się nie pojawił. Przyjście genjusza stanowi misterjum, z którego zgłębienia człowiek w pokorze zrezygnować musi. A jak przyczyny jego pojawienia się nie dadzą się odnaleźć w jego czasie, tak też i następstwa — zgodność ta jest drugą tajemnicą — nie wiążą się z pewnym oznaczonym czasem. Czyny genjusza żyją wiecznie i czas nic w

*) Budzi to niejednokrotnie zdumienie, jak ludzie usposobienia całkiem przeciętnego, zgoła pospolitego, nie czują żadnej trwogi wobec śmierci. W ten sposób jednak to się wyjaśnia: nie obawa śmierci stwarza potrzebę nieśmiertelności, tylko potrzeba nieśmiertelności stwarza obawę śmierci.

nich nie zmienia. Działami swemi człowiek wybitny zdobywa sobie nieśmiertelność na ziemi i w ten sposób jest on trzykrotnie bezczasowym: jego uniwersalna apercpcja lub niedopuszczające wyjątków wartościowanie wszystkich swych przeżyć chroni je w pamięci jego od niszczącego działania przemijającej chwili; czasy, poprzedzające proces jego stawania się, nie stanowią gruntu, z którego to wyrasta; a to, co stwarza, nie staje się własnością czasów, w których jest czynny, ani też żadnej innej epoki, wcześniej lub później po nich następującej.

Tutaj jest najwłaściwsze z kolei miejsce do omówienia pewnego zagadnienia, które musi być wyjaśnione, jakkolwiek, rzecz dosyć dziwna, nikt go chyba jeszcze dotąd, zdaje się, nie podniósł. Chodzi mianowicie w niem o to, czy to, co na nazwę genjuszu zasługuje, znajduje się także pośród zwierząt (lub roślin). Otóż oprócz wyłuszczonych już sprawdzianów, których zastosowanie do zwierząt wątpię aby mogło wśród nich wykazać istnie nieindwidiuów w takiej mierze celujących, zachodzą inne jeszcze okoliczności, dostatecznie uprawniające do przypuszczenia, którego uzasadnieniem później się jeszcze zajmiemy, że niema wśród nich nic podobnego. Talenty istnieją prawdopodobnie w państwie zwierząt tak, jak pośród jeszcze niegenjalnych ludzi. Ale od tego, co przed Moreau de Tours'em, Lombroso : Makssem Nordauem zawsze za „iskrę bożą“ było uważane, mamy wszelkie powody zwierzęta wykluczać. Ograniczenie to nie wypływa z zazdrości, nie jest tchórzliwą obroną przywileju, ale da się poważnemi argumentami uzasadnić.

Ileż to bowiem rzeczy nie wyjaśnia się nam przez to, że genjusz pojawił się w człowieku dopiero! Cały „duch obiektywny“, innemi słowy to, że człowiek jedyny z pośród wszystkich jestestw żyjących, ma wogóle historję!

Czyż całej historii ludzkości (oczywista zaś, że należy przez to rozumieć historję ducha, a nie np. historję wojen) nie tłumaczy najlepiej pojawianie się genjuszów, wpływy od nich pochodzące i naśladowanie ich dzieł przez istoty bardziej pithekoidealne? Historji budownictwa, rolnictwa, przedewszystkiem jednak języka! Każdy wyraz został najpierw przez jednego człowieka stworzony, przez człowieka ponadprzeciętnego, jak to się i dziś jeszcze wyłącznie dzieje (z wyjątkiem oczywista nazw, nadawanych nowym wynalazkom technicznym). W jakiż inny zresztą sposób mógłby on powstać? Prasłowa były „onomatopoetyczne“: mimo woli mówiącego, wskutek samego napięcia specyficznego wzruszenia nabierały one podobieństwa do treści wzruszenia; wszystkie inne zaś słowa były pierwotnie tropami, że tak rzekę, onomatopoezjami drugiego rzędu, metaforami, porównaniami: wszelka proza była kiedyś poezją. Większość genjuszów zatem była nieznana. Proszę tylko zważyć na przysłowia, choćby na najbardziej dziś trywialne, jak „ręka rękę myje“. Wszak po raz pierwszy wypowiedział je przed wielu laty człowiek pewien bystry i mądry! Z drugiej zaś strony, ileż to cytat z autorów klasycznych, najbardziej poczytnych, ileż to słów Chrystusa wydaje się nam dziś zupełnie nieosobiście-przysłowiowemi, jak często musimy sobie dopiero przypominać, że autor ich jest nam znany! Stąd to

nie powinno się mówić o „mądrości języka”, o zaletach i szczęśliwych zwrotach „francuszczyzny”. Zarówno jak „pieśń ludowa”, nie został i język stworzony przez gromadę. Frazesami takimi obdarzamy zbyt hojnie ludy, okazując niewdzięczność wobec tyłu jednostek. Genjusz zaś, który był twórcą języka, należy wskutek swej uniwersalności nietylko do narodu, z którego pochodzi i w którego języku istotę swą wypowiedział. Naród orjentuje się wedle swych genjuszów i stwarza sobie za ich wzorem swe idealne o sobie samym pojęcie, które wprawdzie nie musi być przez to gwiazdą przewodnią wybitnych jego przedstawicieli, ale może być nią dla innych. Z podobnych powodów należałoby też większą zachować ostrożność, traktując łącznie, jak to się często zdarza, psychologję języka i psychologję ludów bez poprzedniego ich krytycznego rozpatrzenia. Dlatego właśnie, że język stworzony został przez pojedynczych wielkich ludzi, tkwi w nim, rzeczywiście, tyle zdumiewającej, ukrytej mądrości; jeśli taki żarliwy i tak głęboki myśliciel, jak Jakób Böhme uprawia etymologję, to jest to wyrazem chyba czegoś więcej niż to niejeden dziejopis filozofji zdaje się być zdolnym pojąć. Od Bacona*) do Fritza Mauthnera wszystkie płytkie głowy bawiły się w krytykę języka.

Genjusz natomiast nie rozpatruje krytycznie języka, ale go stworzył i wciąż na nowo stwarza, wraz z wszystkimi innemi dziełami ducha, stanowiącemi w ściślejszem znaczeniu główny pień kultury, rdzeń

*) Nie waham się tu zresztą cienie Bacona za to zestawienie o przebaczenie prosić.

„objektywnego ducha“, o ile ten istotnie jest duchem. Widzimy tak, że człowiek bezczasowy jest tym, który stwarza dzieje: historia może być stworzona tylko przez istoty, stojące poza jej łańcuchem przyczynowym. One to bowiem tylko wchodzą w stosunek nierozzerwalny z żywiołem absolutnej bezczasowości, z wartością, która ich twórczości nadaje treść wieczystą. A co ze wszystkich zdarzeń wnika w skład kultury, wnika w nią pod kątem wartości wieczystej.

Przykładając miarę potrójną bezczasowości do geniusza, zdolamy najniezawodniej i bez znaczniejszych już trudności rozstrzygnąć, komu należy miano geniusza przyznać, komu zaś odmówić się go musi. Między popularną opinią, której przedstawicielami są na przykład Türck i Lombroso, a która pojęciem geniusza gotowa jest posługiwać się przy wszelkiego rodzaju ponad przeciętność bardziej wybijającym się dziełem umysłu lub czynu, a ekskluzywnością poglądów Kanta i Schellinga, dopatrujących się istnienia geniuszu wyłącznie w artyście twórczym, słuszność leży tym razem bez wątpienia pośrodku. Tytułu geniusza należy domagać się tylko dla wielkich artystów i wielkich filozofów (do których też zaliczam geniuszów najrzadszych, wielkich założycieli religji*) Ani „wielki mąż czynu“, ani wielki „mąż wiedzy“ nie mają do tytułu tego prawa.

„Mężowie czynu“, słynni politycy i wodzowie, mogą mieć niezawodnie pojedyncze rysy, przy-

) Zajmuję się nimi zwięźle w rozdziale XIII.

pominające geniusza (np. doskonałą znajomość ludzi, świetną pamięć osób); ich psychologię będziemy mieli jeszcze sposobność dokładniej omówić; ale z geniuszem może ich tylko ten pomieniać, kto samym tylko zewnętrznym widokiem wielkości da się już całkiem olśnić.

Więcej, niż w jednym znaczeniu jest geniusz doskonałym właśnie przez wyrzeczenie się wszelkiej wielkości na zewnątrz, przez wielkość czysto wewnętrzną. Człowiek prawdziwie wielki ma najsilniejsze poczucie wartości, wódz-polityk ma prawie wyłączne tylko zrozumienie dla czynników siły. Tamten stara się co najwyżej związać i złączyć z wartością siłę, ten w najlepszym razie z siłą wartość (proszę przypomnieć sobie to, cośmy wyżej powiedzieli o przedsięwzięciach imperatorów).

Wielki wódz, wielki polityk, wybijają się z chaosu stosunków jak ptak Feniks, aby jak on zniknąć. Wielki imperator lub wielki demagog jest jedynym mężem, żyjącym całkowicie w teraźniejszości; nie marzy on o piękniejszej, lepszej przyszłości, nie duma o żadnej przeszłości ubiegłej; wiąże on istnienie swe z chwilą, nie starając się żadnym z tych dwóch sposobów, człowiekowi właściwych, czasu przeskoczyć. Prawdziwy geniusz w twórczości swej nie czyni się zależnym od konkretnych czasowych warunków swego życia, które dla wodza-polityka stanowią zawsze rzecz samą w sobie, to, co im ostatecznie nadaje kierunek. Wielki imperator staje się tak zjawiskiem przyrody, wielki myśliciel i poeta stoi poza nią, jest on ucieleśnieniem ducha. Dzieła człowieka czynu giną też bez śladu przeważnie wraz ze śmiercią jego, często jeszcze

wcześniej, a nigdy nie trwają zbyt długo i tylko kronika czasu opowiada o tem, co zostało przezeń stworzone na to tylko, aby znów w niwecz się obrócić. Imperator nie stwarza dzieł, w którychby się wyrażały ponadczasowe, wiekuiste wartości, potężnie wcielone i dla wszystkich uwidocznione stuleci, takimi są bowiem dzieła geniusza. Ten tylko, a nie kto inny, **tworzy** dzieje, w krąg ich nie będąc wkuty, ale stojąc poza niemi. Człowiek wielki ma swą historję, imperator ma historja w swej mocy. Człowiek wielki rodzi czas, imperator rodzi się z czasem i czas go — zabija.

Podobnie, jak wybitny człowiek czynu, nie ma też i wielki uczony, nie będąc zarazem wielkim filozofem, prawa do miana geniusza, czy jest nim Newton czy Gauss, Linné czy Darwin, Kopernik czy Galileusz. Mężowie wiedzy nie są uniwersalni; istnieją bowiem tylko wiedza pewnego fachu, co najwyżej szeregu fachów. Nie wynika to zgoła, jak sądzą, „z postępu specjalizacji, uniemożliwiającej opamiętanie wszystkiego”: zdarzają się jeszcze niekiedy pośród uczonych XIX i XX wieku równie zdumiewające przykłady polihistorji, jak u Arystotelesa lub Leibnitza, że wymienię Aleksandra Humboldta i Wilhelma Wundta. Przyczyny owego defektu tkwią raczej głęboko w istocie nauki i uczonych. W rozdziale ósmym dopiero postaramy się o zupełne wyświetlenie ostatecznych różnic, tu zachodzących. Narazie byłoby się tu może skłonnym przyznać, że nawet najwybitniejsi mężowie nauki nie byli naturami tak wszechogarniającymi, jak ci choćby z filozofów, którzy stoją już u skraju granicy, dopuszczającej jeszcze nazwę geniusza (mam na myśli Fichtego, Schleier-

machera, Carlyla, Nietzschego). Któryż ze ściśle uczonych miał kiedy w sobie bezpośrednie poczucie zrozumienia wszystkich ludzi i wszystkich rzeczy lub czuł choćby tylko możliwość urzeczywistnienia go w sobie i wyłonienia go z siebie? A jakież to inny cel mogłaby mieć praca naukowa wieków, jak zastąpienie tego bezpośredniego właśnie odczucia? W tem tkwi przyczyna, dlaczego wszyscy są z konieczności zawsze „specjalistami w pewnej dziedzinie umiejętności?” Uczony, nie będący filozofem, chociażby nawet znakomite w swym zawodzie stworzył dzieła, nie zna nigdy owego pełnego ciągłości, nic nie zapominającego życia, którem się genjusz odznacza: właśnie dlatego, że brak mu uniwersalności.

Zadania uczonego są zawsze skazane na ścisłą zawisłość od stanu wiadomości swego czasu. Otrzymuje on zapas doświadczeń w pewnej określonej ilości i postaci, pomnaża go i zmienia o mniejszy lub większy dorobek i przekazuje go dalej. Ale i z jego dorobków wiele później odpada, wiele się musi zmienić i uzupełnić, trwają one dalej, jako książki w bibliotekach, ale nie jako wieczyste twory, wolne choćby w jednym tylko punkcie od niebezpieczeństwa grożącej im korektury. Ze sławnych dzieł filozofji natomiast, jak z wielkich arcydzieł sztuki, przemawia do nas coś wieczystie nieznacznego, pogląd na świat, w którym bieg czasów niczego nie zmienia, który w miarę indywidualności swego twórcy, w nim się wyrażającej i ujawnionej, zawsze jeszcze w pokrewnych mu ludziach znajduje zwolenników. Istnieją dziś jeszcze wyznawcy Platona i Arystotelesa, Spinozy i Berkeleja, Tomasa

z Akwinu i Bruna; niema jednak żadnego zwolennika Galileusza lub Helmholtza, Ptolemeuszów lub Kopernika. Jest to więc niedorzecznością sprzeczną ze znaczeniem tego słowa, jeśli się mówi o „klasykach nauk ścisłych” lub „klasykach psychologii” w ten sam sposób, jak to się z całą słuszością mówi o klasycznych filozofach i klasycznych artystach.

Wielki filozof zasługuje zatem na nazwę i cześć geniusza; a chociaż największą bolączką filozofa stanowić będzie po wieki to, że nie jest artystą — nie z innego bowiem właśnie powodu staje się on estetykiem — to artysta zazdrości filozofowi nie mniej jego niezachwianej i zbrojnej siły abstrakcyjnego, systematycznego myślenia — nie daremno jest mu Prometeusz i Faust, Prospero i Cyprjan, apostoł Paweł i „Penseroso” zagadnieniem. Dlatego, jak mi się zdaje, są oni obaj jednako godni chwały i żaden z nich nie powinien mieć zbytnio przed drugim pierwszeństwa.

Oczywista, że i w filozofji nie należy znów pojęciem genialności tak hojnie szafować, jak to się zwyczajnie dziać zwykło; w przeciwnym razie wywody moje ściągnęłyby na siebie słuszenie zarzut stronniczości wobec „wiedzy pozytywnej”, stronniczości, od której, jak się samo przez się rozumie, jestem daleki, zwłaszcza, że zarzuty tego rodzaju musiałbym przecież uważać przede wszystkim za zwrócone przeciwko sobie samemu i znacznej części niniejszej pracy. Nie godzi się tedy Anaksagorasa, Geulincxa, Baadera czy Emersona nazywać ludźmi genialnymi. Ani głębia, pozbawiona oryginalności, (Angelus Silesius, Philo, Jacobi), ani oryginalna płytkość (Comte, Feuerbach, Hume, Herbart, Locke, Carneades), nie

powinna mieć prawa do przywłaszczania sobie tej nazwy. Dzieje sztuki są dziś podobnie, jak dzieje filozofji, pełne najopaczniejszych szacowań; całkiem inaczej ma się rzecz z historją nauki, wyniki swych badań bezustannie prostującą i wedle rozmiarów tych ulepszeń taksującą.

Historja nauki rezygnuje z biografji swych najdzielniejszych pionierów; jej celem jest system ponadosobniczych doświadczeń, w którym jednostka znika. W poświęceniu się nauce tkwi zatem największe wyrzeczenie się: z niem bowiem zręka się człowiek pojedynczy, jako taki, wiekuistości

ROZDZIAŁ VI.

Pamięć, logika, etyka.

Nagłówek, w jaki rozdział ten zaopatruję, może się stać odrazu i z łatwością powodem grubego nieporozumienia. Można by z niego sądzić, jakoby autor był zwolennikiem poglądu że szacowania logiczne i etyczne są wyłącznie przedmiotami psychologii empirycznej, zjawiskami duchowymi zgoła takimi, jak wrażenia i uczucia, że zatem logika i etyka są specjalnymi dyscyplinami, poddziałami psychologii, z niej wyprowadzić się i nią uzasadnić się dającami.

Wyznam odrazu i bez ogródek, że pogląd ten tj. cały wogóle „psychologizm” uważam za fałszywy i zgubny; fałszywy, bo przeprowadzenie jego nigdy się nie uda, o czym się jeszcze przekonamy; zgubny, bo niszczy gruntownie nie tyle logikę i etykę, zaledwo tem naruszoną, ile samą psychologję właśnie. Wykluczenie logiki i etyki z fundamentów psychologii i zdegradowanie do rzędu podrzędnych jej działów jest objawem równoległym z nadmiernem wybijaniem nauki o wrażeniach i wraz z nią ponosi odpowiedzialność za wszystko to, co się dziś „empiryczną psychologją” nazywa: ów zbiór martwych zwłok, w które żadną subtelnością i żadną pilnością życia się tchnąć już nie da, w których przedewszyst-

kiem rzeczywistego doświadczenia nie można już rozpoznać. Co się tedy tyczy niefortunnych prób pomieszczenia logiki i etyki na piętrach, mniejsza o to jakim cementem spajanej, budowy psychologii, jako wątlej i najmłodszej dzieciny życia duchowego, ze swej strony przynajmniej nie waham się wbrew Brentanie i jego szkole (Stumpf, Meinog, Höfler, Ehrenfels), wbrew T. Lippisowi i G. Heymansowi, wbrew również do nich zaliczyć się mogącym poglądom Macha i Avenariusza, przyłączyć się pod tym względem zasadniczo do owego przeciwnego kierunku, którego stanowiska bronią dzisiaj Windelband, Cohen, Natorp, F. J. Schmidt, szczególnie zaś Husserl (był on sam przedtem psychologią i potem dopiero doszedł do niezłomnego przekonania o niesłuszności tego poglądu), kierunkiem zatem, który przeciwko psychologiczno-genetycznej metodzie Hume'a podnosi i podtrzymuje transcendentualno-krytyczną myśl Kanta.

Ponieważ jednak praca niniejsza nie ma się zajmować ponadindywidualnemi, powszechnie obowiązującemi zasadami działania i myślenia, ani warunkami poznania, a stara się raczej w myśl swych założeń i celów ustalić właśnie różnice między ludźmi istniejące, nie roszcząc sobie pretensji do znaczenia powszechnie obowiązującego dla wszelkich wogóle istot (nawet dla „lubych aniołków“ niebieskich) tak, jak to czyni filozofja Kanta w zasadniczej przewodniej swej myśli, — mogła ona i musiała być dotąd psychologiczną (nie psychologistyczną) i taką w dalszym ciągu pozostanie; w razie potrzeby nie omieszka atoli przy sposobności albo sama wejść w roztrząsania formalne, albo przynajmniej wskazać

na to, że tu lub tam wyłączne prawo orzekania przysługuje metodzie logicznej, krytycznej, transcendentnej.

Tytuł rozdziału tego ma inne uzasadnienie. Przydługie, koniecznością przeprowadzenia ich całkiem na nowo spowodowane dociekania rozdziału poprzedniego wykazały, że pamięć ludzka pozostaje w ścisłych stosunkach ze sprawami, które, zdaje się, uważano dotąd za zbyt od niej dalekie, nie przypuszczając, aby była godna pokrewieństwa z niemi. Czas, wartość, genjusz, nieśmiertelność — wszystko to ukazało się nam w osobliwym, dotąd widocznie wcale jeszcze nie przeczuwanym związku z pamięcią. Ten dotychczas prawie zupełny brak jakichkolwiek w tym kierunku napomknień musi mieć głębsze powody. Tkwią one, jak się zdaje, w tych zaniedbaniach i przeoczeniach, jakich się dotąd zawsze teorie pamięci dopuszczaly.

Tutaj rzuca się najpierw w oczy pogląd w połowie XVIII wieku przez Charlesa Bonneta ugruntowany, w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia przez Ewalda Heringa szczególnie (i E. Macha) rozpowszechniony. Pogląd ten nic więcej w pamięci człowieka nie widzi, jak „powszechną zdolność materji zorganizowanej“ do reagowania na nowe bodźce, mniej lub więcej do bodźców poprzednich podobne, w sposób odmienny, a to łatwiej i szybciej, niż na podniety po raz pierwszy doznawane. Wedle tej teorii, zatem, zjawiska pamięci ludzkiej są już wyjaśnione innemi doświadczeniami w dziedzinie zdolności istot żyjących do wprawiania się; pamięć jest dla niej zjawiskiem przystosowania się w znaczeniu lamarkowskiem. Bez wątpienia, istnieje zwią-

zek między pamięcią ludzką i zjawiskami np. wzmożonej pobudliwości odruchów przy częstszem powtarzaniu podrażnień; identyczny pierwiastek tkwi w pozamomentalnem oddziaływaniu pierwszego wrażenia, a w rozdziale XII zastanowimy się jeszcze raz nad najgłębszą istotą tego pokrewieństwa. Pozatem atoli istnieje przecież głęboka, jak przepaść, różnica między wzmocnieniem mięśnia wskutek przyzwyczajenia do powtarzających się skurczów, między nawykaniem morfinisty lub zjadacza arszeniku do coraz większych dawek trucizny z jednej strony, a pamięcią człowieka o najdawniejszych swych przeżyciach z drugiej strony. Tam dają się tylko stwierdzić dawne ślady w zjawiskach nowych, tutaj występują znów w świadomości sytuacje dawniej przeżyte, właśnie, jako te stare sytuacje, i takie zupełnie, jak były w całym swem zindywidualizowaniu, a nie służąc tylko jako pewna szczątkowa pozostałość do współdziałania w nowym momencie. Utożsamienie obu tych zjawisk byłoby taką niedorzecznością, że z dalszego omawiania tego ogólnie-biologicznego poglądu możemy zrezygnować.

Z hipotezą fizjologiczną wiąże się asocjacyjna teoria pamięci historycznie przez Hartleya, a rzeczowo przez pojęcie nawyku. Wywodzi ona wszystkie objawy pamięci z jednego do czterech praw, wedle których odbywa się mechaniczne kojarzenie wyobrażeń. Zapomina przytem, że pamięć (stanowiąca pierwiastek ciągły w mężczyźnie) jest w gruncie rzeczy zjawiskiem woli. Mogę w sobie budzić jakieś wspomnienia, gdy istotnie chcę tego, wbrew na przykład swej śpiącości, jeśli tylko naprawdę jestem zdecydowany ją przełamać. W hipnozie,

którą wywołać można wszelkie zapomniane wspomnienia, wchodzi wola drugiego w miejsce własnej, zbyt słabej, co znów świadczy o tem, że wola jest tu właśnie tem, co celowe skojarzenia sprowadza i że wszelkie skojarzenia polegają na głębszej apercepcji. Tutaj byliśmy zmuszeni antycypować wywody jednego z późniejszych ustępów, w którym postaramy się wyjaśnić stosunek między psychologią asocjacyjną i apercepcyjną i ocenić, o ile one obie są uzasadnione.

W ścisłym znów związku z psychologią asocjacyjną, która, rozszczepiając najpierw życie duchowe, sądzi, że je potrafi następnie skleić w tanecznym wirze zahaczających o siebie wzajemnie strzępów, pozostaje trzecia z rzędu bałamutna teoria, która wbrew tak słusznym zarzutom przez Avenariusą, a szczególnie Höffdinga w tym samym mniej więcej czasie przeciwko niej podnoszonym, ciągle miesza pamięć z rozpoznawaniem. Rozpoznanie pewnego przedmiotu nie musi zgoła polegać na wyodrębniającem odtworzeniu dawnego wrażenia, lubo w szeregu wypadków zdaje się tkwić w wrażeniu nowem dążność do natychmiastowego wywoływania dawnego. Obok tego atoli zachodzi conajmniej równie często fakt bezpośredniego rozpoznawania, w którym nowe wrażenie nie odwodzi od siebie, nie zdaje się w sobie zawierać jakgdyby pewnej dążności, ale w niem to, co się widzi słyszy itd. występuje z pewnem tylko specyficznem zabarwieniem („tinge“ powiedziałby James), z owym „charakterem“, który u Avenariusą zwie się „notal“ u Höffdinga „cechą znajomości“. Powracającemu w strony ojczyste wydają się drogi i ścieżki „znajome-

mi", jakkolwiek żadnej z nazw już nie zna, niełatwo się umie orjentować i żadnego właśnie specjalnego dnia nie pamięta, w którym kiedyś tędy przechodził; melodia jakaś może mi się „wydawać znajomą“, chociaż nie wiem, gdzie i kiedy ją słyszałem. „Charakter“ (w znaczeniu avenariusowskim) znajomości, z życia się itd. unosi się tu, żeby tak rzec, ponad wrażeniom zmysłowym, analiza zaś nie wie tu nic o skojarzeniach, których „złanie się“ z nowym wrażeniem ma według zapatrywania owej pretenstjonalnej pseudopsychologii to bezpośrednie uczucie dopiero wytwarzać; umie natomiast doskonale wypadki te od tamtych innych odróżnić, w których, choćby tylko zlekka i ledwo widocznie (w formie henidy), przeżycie dawne naprawdę się z nowym kojarzy.

Rozróżnienie to jest i pod względem indywidualnie psychologicznym konieczne. W człowieku wysoko stojącym świadomość nieprzerwanego ciągu przeszłości jest bezustannie tak żywa, że on na widok np. długo nie widzianego znajomego na ulicy, reprodukuje w sobie natychmiast ostatnie z nim spotkanie, jako samoistne przeżycie, podczas gdy w człowieku mniej uzdolnionym proste uczucie znajomości, umożliwiające mu rozpoznanie, często i wtedy wyłącznie tylko występuje, kiedy mógłby on sobie jeszcze wcale dobrze owo wspólne widzenie się w szczegółach nawet uprzytomnić.

Jeśli wreszcie na zakończenie zapytamy jeszcze, czy oprócz człowieka inne organizmy mają również tę od wszystkich podobnych ściśle odróżniającą się zdolność wskrzeszania w sobie dawniejszych momentów swego życia w całej ich

pełni, to na pytanie to wypadnie najprawdopodobniej odpowiedzieć przecząco. Zwierzęta nie byłyby w stanie pozostawać, jak to czynią, nieruchomo i spokojnie na jednym miejscu, gdyby miały zdolność przenoszenia się myślą w ubiegłe swe życie lub antycypowania przyszłości. Zwierzęta doznają wrażenia z cechą znajomości i uczuć oczekiwania (np. pies, witający po dwudziestu latach powrót swego pana; wieprze pod bramą rzeźnika, kłacz prowadzona do stanowienia), nie mają jednak żadnej pamięci ani nadziei. Są w stanie rozpoznawać (zapomocą „notalu”), nie posiadają jednak żadnej pamięci.

Gdy się więc okazuje, że pamięć jest specjalną właściwością, której z niższymi dziedzinami życia duchowego mieszać nie należy, która się ponadto wydaje być wyłączną własnością człowieka, to związek jej z owymi wyższymi rzeczami, z pojęciem wartości i czasu, z pragnieniem nieśmiertelności żadnemu zwierzęciu nieznanem, z genialnością w człowieku tylko możliwą, nie powinien już budzić zdziwienia. A jeśli istnieje jakieś jednolite pojęcie człowieka, zawierające najgłębszą istotę człowieczeństwa, która się we wszystkich właściwościach człowieka przejawia, to musi się zgóry już być pewnym, że także zjawiska logiczne i etyczne, których inne twory żyjące wedle wszelkiego prawdopodobieństwa są pozbawione, podobnie jak pamięci, z pamięcią w jakiejś łączności pozostają. Związek ten mamy obecnie wykryć.

W tym celu możemy wyjść z dobrze znanego faktu, że kłamcy mają złą pamięć. Że „kłamca patologiczny” prawie całkiem „pamięci nie posiada”, jest rzeczą stwierdzoną. O kłamcy mężczyźnie, będę

miał jeszcze w dalszym ciągu sposobność pomówić; nie stanowi on reguły wśród mężczyzn. Jeśli sobie natomiast przypomnimy, cośmy poprzednio o pamięci kobiet powiedzieli, to wobec przytoczonego właśnie objawu braku pamięci u mężczyzn kłamliwych jest rzeczą uwagi godną, że w tylu przysłowiach i opowieściach, że w poezji i w podaniach ludowych mieszczą się przestrogi przed kłamliwością kobiety. Jest jasne: istotcie o tak minimalnej pamięci, że to, co mówi, czyni, czego doznaje, w bardzo słabym tylko stopniu uświadomienia w niej się przechowuje, każdej takiej istotcie, gdy mową jest obdarzona, z łatwością przyjdzie kłamać, a tam gdzie chodzi o osiągnięcie celów praktycznych, idywiduum takie tak usposobione, że mu prawdziwy stan rzeczy nie stoi w pełni wyrazistości przed oczyma, z trudnością zdoła się oprzeć pokusie kłamania. A pokusa ta musi działać w stopniu jeszcze silniejszym, jeśli pamięć istoty takiej nie posiada tej ciągłości, jaka tylko mężczyźnie jest znana, lecz jeśli istota ta, na modłę K, żyje, że tak rzekę „chwilami” tylko, fragmentarycznie, bez ciągłości i związku, tonąc w potocznych czasach zdarzeniach, zamiast stać ponad niemi lub bieg czasu przynajmniej zamieniać w problemat; jeśli ona nie wiąże tak, jak M, wszystkich swych przeżyć z jednym, jednolitym i wspólnym ich dzierżycielem, który je wszystkie dźwiga, jeśli nie ma „ośrodka” apercepcji, w którym się całą przeszłość zawsze w jednolity sposób umieszcza, jeśli istota ta nie czuje się i nie widzi jedną i tą samą we wszystkich swych sytuacjach życiowych. Zdarza się to wprawdzie i każdemu mężczyźnie, że się czasem „nie rozumie”, u bardzo wielu mężczyzn jest to nawet

objawem stałym, jakkolwiek nie należy tego łączyć ze zjawiskami perijodyczności duchowej *), że przenosząc się myślą w przeszłość, z trudnością są w stanie terazniejszą swą osobistość wstawić w miejsce ówczesnego podmiotu przeżyć, że nie pojmują, jak mogli to lub owo wówczas myśleć lub uczynić; a przecież wiedzą i czują oni bardzo dobrze, że mimo to tak myśleli i postąpili, i ani odrobinę o tem nie wątpią. Takiego poczucia tożsamości we wszystkich położeniach życia prawdziwa kobieta nie posiada całkiem, gdyż pamięć jej, nawet jeśli jest uderzająco dobra, — co się w pojedynczych wypadkach zdarza — pozbawiona jest wszelkiej ciągłości. Poczucie jedności u mężczyzny, który siebie często w przeszłości swej nie rozumie, ujawnia się w potrzebie zrozumienia się, a potrzeba ta zawiera w sobie już immanentnie założenie, że jakkolwiek obecnie zrozumieć on siebie nie może, był on jednak zawsze jednym i tym samym; kobiety, sięgając myślą w przeszłość, nie rozumieją siebie nigdy, nie czują one jednak także potrzeby zrozumienia siebie, jak to już można wnosić z małego zainteresowania, jakie w nich budzą słowa mężczyzny, mówiącego im coś o nich samych. Kobieta nie interesuje się sobą — dlatego niema kobiety-psychologa, ani psychologii kobiecej, przez kobietę opracowanej — i zgoła niepojętym byłby dla niej żarliwy, prawdziwie męski trud, podejmowany dla zrozumienia własnej przeszłości, jako logicznej kolei ciągłego, nieprzerwanego następstwa przyczynowo połączonych

*) Które zna zarówno ten, co zawsze siebie rozumie, jak i ten, co nigdy siebie nie rozumie.

ze sobą, a nie luźnych i oderwanych faktów i powiązania ze sobą początku, środka i kresu swego indywidualnego życia.

Tu atoli jest punkt graniczny, w którym przetrzucić się można w dziedzinę logiki. Istota, która jak kobieta absolutna, K , nie czuje swej tożsamości w pojedynczych po sobie następujących momentach, nie może też mieć żadnego sprawdzianu tożsamości przedmiotu swego myślenia w rozmaitym czasie; jeśli bowiem obie strony podlegają zmianom, brak, żeby tak rzec, absolutnego systemu współrzędnych, w odniesieniu do którego i zapomocą którego wszelka zmiana mogłaby być dostrzeżona. Co więcej, istota, której pamięć nie sięgałaby nawet tak daleko, aby miała ona psychologiczną możliwość wydania sądu, że jakiś przedmiot lub rzecz jakaś mimo upływu czasu zachowała swą identyczność, aby więc była np. zdolna jakąś matematyczną wielkością posługiwać się w dłuższym rachunku, jako tą samą, raz na zawsze ustawioną i utrzymać się mającą; istota taka w wypadku krańcowym nie byłaby nawet w stanie pamięcią swą opanować tej nieskończenie drobnej części czasu, jaka (psychologicznie) jest bądź co bądź potrzebna, aby o A móc orzec, że w najbliższym zaraz momencie przecież jeszcze A być nie przestaje, aby więc móc wydać sąd o tożsamości $A=A$ lub stwierdzić, że zachodzi sprzeczność, co wymaga również, aby A nie wymknęło się zaraz z pola myśli, gdyż w takim razie, rzeczywiście, nie mogłaby ona odróżnić A od $\text{non-}A$, które nie jest A i którego by ona skutkiem ciasnych granic świadomości równocześnie pod uwagę wziąć nie była w stanie.

Nie jest to wcale igraszką tylko myśli, ani żartobliwym sofizmatem matematyki, ani omamiającym wnioskiem z przemyconych przesłanek. Wprawdzie sąd o tożsamości odnosi się bez wątpienia zawsze do pojęć, a nigdy do wrażeń lub ich kompleksu — co tu już zgóry musimy zaznaczyć, zanim się tem w dalszym ciągu zajmemy celem uniknięcia ewentualnych zarzutów — pojęcia zaś, jako pojęcia logiczne, stoją poza czasem i zachowują swą niezmiennosc bez względu na to, czy ja je sobie jako podmiot psychologiczny wyobrażam niezmiennemi, czy nie. Ale człowiek nie wyobraża sobie pojęcia właśnie nigdy, jako czysto logicznego, poniewaz nie jest wyłącznie logiczną, ale i psychologiczną „warunkom zmysłowości podlegającą” istotą; może on zamiast niego mieć na myśli zawsze tylko pewne, na podstawie swych indywidualnych doświadczeń, drogą kolejnego zacierania różnic i wzmacniania podobieństw uzyskane wyobrażenie ogólne („typowe“, „konnotatywne“, „reprezentatywne które atoli może nabrać abstrakcyjnego piętna pojęciowości i w sposób przedziwny w tem znaczeniu być użytkowane. Człowiek musi więc mieć także możność zachowania, zakonserwowania wyobrażenia, zapomocą którego przedstawia on sobie w myśli zmysłowo pojęcie de facto niezmysłowe, umożliwia mu to zaś tylko pamięć. Bez pamięci zatem straciłby też zdolność logicznego myślenia, która się, aby tak rzec, wciela zawsze tylko na tle pewnego psychologicznego medjum.

Okazuje się zatem, że wraz z pamięcią gaśnie też zdolność wykonywania funkcij logicznych. Z zasadami logiki nie wchodzi to w styczność, a dowo

dzi tylko, że możliwość stosowania ich od takiego zależy warunku. Sąd $A=A$ pozostaje pod względem psychologicznym zawsze w stosunku do czasu, gdyż tylko w przeciwstawieniu do czasu może być wyrzeczony: $At_1=At_2$. Pod względem logicznym stosunek ten, oczywiście, w nim się nie zawiera; w dalszym ciągu wyjaśni się nam jeszcze, dlaczego sąd ten pod względem czysto logicznym, jako sąd szczegółowy, nie ma żadnego specjalnego znaczenia i dlaczego mu tak bardzo potrzeba tego psychologicznego tła. Pod względem psychologicznym zatem sąd ten może być wydany tylko w odniesieniu do czasu, właściwą jego negacją stanowiąc.

Poprzednio wykazałem atoli, że ciągłość pamięci jest przewyciężeniem czasu i stanowi właśnie przez to psychologiczny warunek pojęcia czasu. Tak więc fakt nieprzerwanie ciągłej pamięci przedstawia się, jako psychologiczny wyraz logicznej zasady tożsamości *). Dla absolutnej kobiety, pozbawionej takiej pamięci, nie może i zasada ta być aksjomatem myślenia. Dla kobiety absolutnej nie istnieje *principium identitatis* (*contradictionis* i *exclusi tertii*).

Nietylko jednak te trzy zasady, ale i czwarte z logicznych praw myślenia, zasada dostatecznej racji, która od każdego sądu domaga się uzasadnienia, czyniącego go koniecznym dla wszystkich myślących, jest jaknajściślej z pamięcią związana.

Zasada dostatecznej racji jest nerwem, podwaliną sylogizmu. Przesłanki zaś są pod względem

*) Tem samem, jak mam nadzieję, śmiałość tego zupełnie nowego przejścia z dziedziny pamięci do logiki może być za dostatecznie upodstawowaną uważana.

psychologicznym zawsze wcześniejszymi, wniosek wyprzedzającymi sądami, które myślący musi tak samo dobrze w pamięci zachować, jak zasada tożsamości i sprzeczności chroni niejako pojęcie. Motywów człowieka należy zawsze w jego przeszłości szukać. Stąd to maksyma ciągłości, przenikająca całkowicie myślenie człowieka, jest ściśle z przyczynowością związana. Warunkiem psychologicznego funkcjonowania zasady racji jest nieprzerwanie ciągła, wszystkie identyczności chroniąca pamięć. Dla K, która nie ma takiej pamięci, żadnej wogóle ciągłości nie znając, nie istnieje też żadne *principium rationis sufficientis*.

Prawdą jest zatem, że kobieta logiki nie posiada. Jerzy Simmel starą tę prawdę zakwestjonował na tej podstawie, jakoby kobiety umiały często wyprowadzać wniosek z najsłabszą, najściślejszą konsekwencją. Że kobieta w wypadku jakimś konkretnym, gdzie to jej do osiągnięcia jakiego celu koniecznie jest potrzebne, nieubłagane wnioskuje, nie może to tak samo stanowić dowodu na to, że wiąże ją stosunek z zasadą dostatecznej racji, jak dowodem jej związku z zasadą tożsamości nie jest to, że tak często przy jednym i tem samym twierdzeniu się upiera, powtarzając wciąż na nowo pierwsze swe dawno już obalone mniemanie. Rozstrzygające jest, czy ktoś logiczne aksjomaty za sprawdziany słuszności swego myślenia, za miarę tego, co twierdzi, uznaje czy nie, czy je czyni stałym pierzeniem i normą swoich sądów. Otóż kobieta nie da się nigdy przekonać, że wszystko musi być uzasadnione; pozbawiona ciągłości, nie odczuwa ona potrzeby logicznego upodstawiania wszystkich

myśli: stąd pochodzi łatwowierność wszystkich kobiet. W poszczególnym wypadku bywają więc one konsekwentne, ale wtedy logika nie jest miernikiem, tylko narzędziem, nie sędzią, lecz po większej części katem. Natomiast jeżeli kobieta wypowie jakiś pogląd, a trafi się mężczyzna tak niemądry, że weźmie to wogóle na serjo, domagając się uzasadnienia, taką niewygodną dla siebie i uprzykrzoną pretensję uważać ona będzie za atak przeciwko swej naturze. Mężczyzna czuje się sam przed sobą zawstydzonym, czuje się winnym, jeśli myśl jakąś, bez względu na to, czy ją wypowiedział czy nie, zaniecha uzasadnić, czuje się on bowiem zobowiązanym do szanowania normy logicznej, którą raz na zawsze nad sobą ustanowił. Kobieta zaś oburza żądanie bezwzględne go, niedopuszczającego wyjątków uzależnienia myśli swej od logiki. Brak jej sumienia intelektualnego. Można by u niej mówić o „logical insanity”.

Najczęstszym błędem, jakiby można znaleźć w wypowiedzeniach kobiecych, gdyby się naprawdę chciało logiczność ich badać (o co się mężczyzna zazwyczaj nigdy nie stara, objawiając tem już swą pogardę dla logiki kobiecej), byłby błąd *quaternio terminorum*, owa przemiana, wypływająca właśnie z niezdolności utrzymania pewnych określonych wyobrażeń, z braku łączności z zasadą tożsamości. Kobieta nie wie tego z siebie, że zasady tej trzymać się powinna, nie stanowi ona najwyższego sprawdzianu jej sądów. Mężczyzna czuje się zobowiązanym do logiki, kobieta powinności tej nie czuje, a o to właśnie tylko chodzi, tylko bowiem to poczucie powinności może dać rękojmię, że człowiek będzie raz

na zawsze starał się myśleć logicznie. Jest to może najgłębszą myślą, jaką Descartes wogóle wypowiedział, i dlatego zapewne tak mało zrozumianą i przeważnie za strasznie błędną naukę poczytywaną: że wszelki błąd jest winą.

Ale źródłem wszystkich błędów w życiu jest też zawsze brak pamięci. Tak więc logika, jak i etyka, które się właśnie na punkcie wymogu prawdy stykają i w najwyższej wartości prawdy schodzą, wiążą się znów razem obie z pamięcią. I oto świta tu nam zrozumienie, że Platon nie tak bardzo znów się mylił, dopatrując się związku między poznaniem, a pamięcią. Pamięć nie jest wprawdzie aktem logiki i etyki, atoli jest ona conajmniej zjawiskiem logicznym i etycznym. Człowiek np., który doznał istotnie głębokiego wrażenia, poczuwa się do winy, jeśli w pół godziny potem, choćby do tego został zniewolony pobudkami zewnętrznymi, zgoła o czym innym już myśli. Mężczyźnie wydaje się to brakiem sumienności i niemoralnością, gdy zauważy, że o jakimś momencie swego życia przez czas dłuższy nie myślał. Pamięć jest zresztą już z tego powodu moralna, że jedynie umożliwia skruchę. Wszelkie zapominanie natomiast jest samo przez się niemoralne. Stąd to właśnie jest pietyzm także nakazem moralności: jest obowiązkiem niczego nie zapominać; i o tyle tylko powinno się też w szczególności i o umarłych pamiętać. Dlatego też mężczyzna stara się zarówno z logicznych, jak i etycznych pobudek, logikę w przeszłość swą wprowadzić, wszystkie jej momenty w jednolity łańcuch ułożyć.

Jak gdyby pod zaklęciem odsłania się tu głęboki związek logiki z etyką, który przez Sokratesa i

Platona przeczyty, przez Kanta i Fichtego na nowo odkryty być musiał, aby znów później pójść w całkowite zapomnienie u potomnych.

Istoty, która nie pojmuje lub nie uznaje, że *A* i nie *A* wzajemnie się wyłączają, nic już nie zdoła powstrzymać od kłamstwa; przeciwnie, dla istoty takiej nie istnieje zgoła pojęcie kłamstwa, gdyż brak jej prawdy, przeciwieństwa jego, jako miary; istota taka, jeśli jest mową obdarzona, może kłamać bezwiednie, i nie ma nawet możliwości uświadomienia sobie, że kłamie, będąc pozbawiona sprawdzianu prawdy. „*Veritas norma sui et falsi est*”. Niema nic bardziej wstrząsającego dla mężczyzny, jak kiedy widzi, że kobieta, którą przychwycił na kłamstwie, pyta go: „poco kłamiesz” zgoła nie rozumie i nie pojmując, czego chce od niej wytrzeszcza nań oczy lub uśmiechnięta stara się go uspokoić — czy nawet płaczem wybucha.

Albowiem na samej pamięci tylko sprawa się nie kończy. Kłamstwo jest i wśród mężczyzn dosyć rozpowszechnione. I można kłamać wbrew pamięci o rzeczywistym stanie rzeczy, w miejsce którego inny się w jakimś celu podstawia. *A* nawet o takim tylko człowieku ma się właściwie prawo powiedzieć, że kłamie, który wbrew lepszej swej wiedzy i świadomości faktyczny stan rzeczy fałszuje. I musi mieć miejsce jakiś stosunek do idei prawdy, jako najwyższej wartości logiki i etyki, aby mogła być mowa o przytłumieniu wartości tej na rzecz innych pobudek. Gdzie tego niema, nie można też mówić o błędzie i kłamstwie, ale co najwyżej o zblakaniu i kłamliwości, nie o antymoralnym, ale

tylko o amoralnym bycie. Kobieta jest więc amoralna.

Ów absolutny brak poczucia wartości prawdy samej, jako takiej, musi zatem tkwić głębiej. Wobec tego, że mężczyzna również, a właściwie nawet on dopiero tylko kłamie, nie można żądania prawdy, potrzeby prawdy, tego właściwego fundamentalnego etyczno-logicznego zjawiska, wywodzić z ciągłości pamięci. Stoi ono z niem tylko w ścisłym związku.

Tem, co człowiekowi, co mężczyźnie umożliwia istotną łączność z ideą prawdy i co przez to wyłączenie jest w stanie powstrzymać go od kłamstwa, może być tylko coś, co jest zgoła od czasu niezależne, całkowicie niezmiennie, co postępek dawny w nowym momencie, całkiem tak samo za rzeczywisty uznaje, uznaje tak, jak dawniej dlatego, że pozostało tem samem i że faktu takiego właśnie swego postąpienia, ani zmienić w niczem nie chce, ani naruszyć nie pozwoli. Może tem być tylko to właśnie, do czego się wszystkie najtajniejsze ściągają uczucia i co tak dopiero ciągłość bytu stwarza, to samo właśnie, co pociąga do poczucia odpowiedzialności za własne swe czyny i co człowiekowi każe starać się o zdolność odpowiadania za wszystkie swe, najdawniejsze i najświeższe czyny, co prowadzi do fenomenu skruchy, do poczucia winy, to jest do policzenia rzeczy ubiegłych istocie wieczyscie tej samej i przeto także obecnej, policzenia, które się z znacznie większą skrupulatnością i w rozmiarach szerszych odbywa, niż to opinia publiczna i normy społeczne uczynić są zdolne, i którego całkiem niezależnie od wszelakiego pierwiastku społecznego jednostka sama w

sobie dokonywa. Stąd to wszelka psychologia moralności, która moralność chce oprzeć na społecznym współżyciu ludzi i z niego powstanie jej wywodzi, jest do gruntu fałszywa i wykrętna. Społeczność zna pojęcie przestępstwa, ale nie grzechu, narzuca karę, nie chcąc osiągnąć skruchy; kłamstwo karci kodeks karny tylko w jego publiczną szkodę wyrządzającej uroczystej formie krzywo-przysięstwa, a pomyłka nigdy jeszcze nie była zaliczana do przekroczeń przeciwko prawu pisanemu. Etyka społeczna, która jest w strachu, że w razie jakiegokolwiek indywidualizmu etycznego, bliźni poniesie szkodę i dlatego baje o obowiązkach jednostki wobec społeczeństwa i wobec 1500 milionów żyjących ludzi, nie rozszerza zatem, jak mniema, dziedziny moralności, ale ogranicza ją w sposób niedopuszczalny i potępienia godny.

Cóż to jest tedy owo ponad czas i zmianę wznoszące się „centrum apercepcji“?

„Nie może to być nic takiego, co by było czemś mniej od tego, co człowieka ponad siebie samego (jako część świata zmysłowego) wynosi, co go łączy z porządkiem rzeczy, który tylko rozum pojąć może i który zarazem cały świat zmysłowy.. ma pod sobą. Jest to coś nieco innego jak osobowość“.

Najwznioślejsza na świecie księga, z której słowa te są wyjęte, „Krytyka praktycznego rozumu“, wyprowadza moralność z jaźni „myślnej“ (*intelligibel*), jako swej prawodawczyni.

W ten sposób stajemy u zagadnienia podmiotu
i on to stanowić będzie przedmiot najbliższych na-
szych roztrząsań.

ROZDZIAŁ VII.

Logika, etyka i jaźń.

Dawid Hume poddał, jak wiadomo, pojęcie jaźni krytyce, widząc w niej tylko „splot” rozmaitych, w bezustannym ruchu przepływających, „percepcji”. Hume uważał wprowadzić to za kompromitację jaźni, pogląd swój atoli wypowiedział ze względną skromnością, salwując się brzmieniem słów w sposób nie-naganny. Na kilku metafizyków, mianowicie, jak oświadcza, którzy wedle swego mniemania cieszyli się jaźnią innego rodzaju, zważać nie należy; on sam jest całkiem pewny, że żadnej jaźni nie posiada, i sądzi, że przysługuje mu prawo przypuścić, że i o innych ludziach można stwierdzić, iż niczem innym nie są, jak takim „splotem” (o owych kilku oryginałach mówić się, oczywiście, nie odważy). W ten sposób wyraża się on, jako człowiek światowy. W następnym rozdziale okaże się, że ironja ta zwraca się przeciwko niemu samemu. Że stała się tak słynną, wynikało to z powszechnego przecenienia Hume’a, którego winę ponosi Kant. Hume był znakomitym psychologiem doświadczalnym, ale nie można go żadną miarą uważać za genjusza, jak to się po największej części dzieje; aby być największym filozofem angielskim, nie wiele wprowadzić do tego po-

trzeba, ale Hume i o tę nazwę nie może, jako pierwszy, się ubiegać. A jeśli Kant (mimo „paralogizmów“) spinocyzm a limine dlatego odrzucił, że wedle tej filozofji ludzie nie są substancjami, lecz tylko akcydencjami i przechodzi nad poglądem tym, już wskutek tej jego nedorzeczej idei podstawowej, do porządku — to ja przynajmniej nie ośmieliłbym się ręczyć, czyby on pochwał swych dla Anglika nie był znacznie obniżył, gdyby mu był także znany tegoż „Treatise“, a nie tylko późniejszy „Inquiry“, do którego, jak wiadomo, Hume swej krytyki jaźni nie włączył.

Lichtenberg, który po Hume'ie wyruszył w szranki przeciwko jaźni, był już od niego odważniejszy. Jest on filozofem bezosobowości i poprawia w sposób trzeźwy językowe wyrażenie „ja myślę“ na zwrot rzeczowy „myśli“; jaźń jest więc dlań właściwie wynalazkiem gramatyków. W tem go zresztą Hume o tyle poprzedził, że i on przy końcu swoich roztrząsań wszelki spór o tożsamość osoby sporem o słowa nazwał.

W czasach najnowszych wygłosił E. Mach pogląd, że wszechświat jest spoistą i ciągłą masą, a jaźnie są punktami, w których ta masa silniejszą ma konstytucję. Jedyne rzeczywistemi są wrażenia, które w jednym indywiduum są ze sobą mocno związane, pozostając z wrażeniami innego indywiduum, którego się właśnie z tego powodu od tamtego odróżnia, w związku słabszym. Treść stanowi rzecz główną i utrzymuje się stale także w innych osobnikach, z wyjątkiem bezwartościowych (!) wspomnień osobistych. Jaźń nie jest rzeczywistą, a tylko praktyczną jednością, i to nie do uratowania, i dlatego można nieśmiertelności osobniczej (chętnie)

sie wyrzec; niema w tem jednak nic nagannego, jeśli się tu i ówdzie, zwłaszcza w celach darwinistycznej walki o byt, tak zachowujemy, jakbyśmy jaźń posiadali.

Jest rzeczą zdumiewającą, że uczony, który nie tylko jako historyk specjalnej swej wiedzy i krytyk jej pojęć tak niezwykle poniósł zasługi, jak Mach, ale i w zakresie biologji niezmiernie rozległe miał wiadomości i na naukę tę pośrednio i bezpośrednio zapładniający pod wielu względami wpływ wywarł, że badacz ten nie uwzględnia faktu, że wszystkie jestestwa organiczne są przedewszystkiem niepodzielne, a więc przecież poniekąd atomami, monadami (por. część I, roz. 3, str. 54). Jest to wszak naczelną różnicą między światem żywych i martwych, że pierwsze są zawsze zróżnicowane na części odmienne, różnorodne, wzajem się wspierać mające, podczas gdy po drugiej stronie nawet formę mający kryształ jest całkiem jednorodny. Dlatego też należałoby na wszelki przypadek brać pod rozwagę przynajmniej, jako możliwość, czy z samego tylko zjawiska indywidualizacji, z faktu, że jestestwa organiczne naogół nie są tak związane, jak bliźnięta sjamskie, nie wynika także coś jeszcze pod względem duchowym i czy nie należy liczyć tutaj na więcej pierwiastku duchowego, niż go ma jaźń machowska, ta poczekalnia jedynie dla wrażeń.

Wolno mniemać, że tego rodzaju duchowy odpowiednik istnieje już u zwierząt. Wszystko, co zwierzę czuje i czego doznaje, ma niewątpliwie u każdego indywiduum odmienny ton czyli zabarwienie, które jest nie tylko właściwe jego klasie, gatunkowi i

rodzajowi, jego rasie i gromadzie, ale w każdym poszczególnym jestestwie jest inne, od wszystkich innych je różniąc. Idjoplazma jest równoważnikiem fizjologicznym tej specyficzności wszystkich wrażeń i uczuć każdego poszczególnego zwierzęcia, a powody analogiczne z powodami teorii idjoplazmy (por. część I, roz. 2, str. 27 i część II, roz. 1, str. 101 i n.) każą przypuszczać, że charakter empiryczny istnieje także u zwierząt. Myśliwy, który z psami, hodowca, który z końmi, dozorca, który z małpami ma do czynienia, potwierdzi nie tylko indywidualną odrębność, ale i stałość zachowania się każdego pojedynczego zwierzęcia. W każdym tedy razie jest tu już istnienie czegoś, przekraczającego wyłącznie tylko rendez-vous „elementów“, w wysokim stopniu prawdopodobne.

Jeśli atoli nawet ten duchowy odpowiednik idjoplazmy istnieje, jeśli nawet zwierzęta mają napewno właściwą sobie odrębność, to przecież niema ona jeszcze nic wspólnego z charakterem intelligibilnym, którego u żadnej innej istoty żyjącej nie mamy prawa przypuszczać, jak tylko u człowieka. Charakter intelligibilny człowieka, indywidualność, ma się tak do charakteru empirycznego, do indywidualizacji tylko, jak pamięć do prostego bezpośredniego rozpoznania. Ostatecznie zachodzi tu tożsamość; jedno i drugie polega w gruncie rzeczy na strukturze, formie, prawie, kosmosie, który pozostaje jednym i tym samym, choć się treści zmieniają. Rozumowania atoli, na podstawie których wolno wnosić o istnieniu u człowieka takiego noumentalnego, transempirycznego podmiotu, musimy tu w krótkości wyłożyć. Wypływają one z logiki i etyki.

W logice chodzi o prawdziwe znaczenie zasady tożsamości (i sprzeczności; liczne spory o wzajemne ich przed sobą pierwszeństwo i o najwłaściwszą formę ich wyrażenia, nie wchodzą tu w rachubę). Sąd $A=A$ jest bezpośrednio pewny i oczywisty. Jest on zarazem pomiarą prawdziwości wszystkich innych sądów. Gdyby jakiś sąd był z nim w sprzeczności, jeśliby w jakimś sądzie poszczególnym pojęcie w orzeczeniu zawarte twierdziło coś o podmiocie, co by z pojęciem tegoż było sprzeczne, uważalibyśmy sąd taki za fałszywy; a gdy się zastanowimy, to będziemy musieli przyznać, że prawdziwem naszego przekonania jest to twierdzenie. Jest ono zasadą prawdy i nieprawdy; a kto je uważa za tautologję, która niczego nie mówi i myślenia naszego nie bogaci, jak to się często działo u Hegla i później u wszystkich prawie empirystów — jest to nie jedyny punkt styczności między przeciwnościami pozornie tak nieprzejednanymi — ten ma zupełnie słuszność, ale naturę twierdzenia tego fałszywie zrozumiał. $A=A$, zasada wszelkiej prawdy, nie może być sama prawdą specjalną. Kto twierdzenie o tożsamości lub sprzeczności uważa za pozbawione treści, sam winę tego musi ponosić. Sądził bowiem, że znajdzie w niem szczegółowe myśli, spodziewał się pomnożenia swego dorobku wiadomości pozytywnych. Ale twierdzenia te same nie są poznaniem, nie są poszczególnymi aktami myślenia, tylko są miarą, którą się przykładą do wszystkich aktów myślenia. Sama ona nie może być aktem myślenia, któryby można z innymi porównywać. Norma myślenia nie może znów sama polegać na myśleniu. Zasada tożsamości wiedzy naszej nic nie

przysparza, nie pomnaża ona bogactwa, które raczej całkowicie dopiero na niej się opiera. Zasada tożsamości jest, albo niczem, albo wszystkim.

Do czego się odnosi zasada tożsamości i zasada sprzeczności? Mniema się zwyczajnie, że do sądów. Sigwart np. formułujący zasadę sprzeczności w ten tylko sposób, że: „oba sądy, A jest B i A nie jest B , nie mogą być równocześnie prawdziwe”, twierdzi, że sąd: „człowiek nieuczony jest uczonym” mieści w sobie dlatego sprzeczność, „bo orzeczenie uczony przysądza się tu podmiotowi, o którym sąd, tkwiący *implicite* w słowach podmiotu „człowiek nieuczony” orzeka, że nie jest uczonym; da się on zatem sprowadzić do dwóch sądów: „ X jest uczony i X nie jest uczony”. Psychologizm tego rozumowania rzuca się w oczy. Odwołuje się ono do sądu, istniejącego przed utworzeniem pojęcia człowieka nieuczonego. Powyższy sąd atoli, A nie jest $\text{non-}A$, musi być za prawdziwy uznany bez względu na to, czy inne sądy wogóle istnieją, istniały lub istnieć będą. Odnosi się on do pojęcia człowieka nieuczonego. Pojęcie to utrwała on wyłączeniem wszelkich cech z niem sprzecznych.

Na tem polega istotna funkcja zasady tożsamości i sprzeczności. Współdziałają one czynnie w dziedzinie pojęć.

Oczywista, że funkcja ta odnosi się tylko do pojęcia logicznego, a nie do tego, co nazwano „pojęciem psychologicznym”. Pojęcie jest wprawdzie pod względem psychologicznym zawsze reprezentowane przez zmysłowe wyobrażenie ogólne; w wyobrażeniu tem tkwi jednak w pewien sposób immanentnie pierwiastek pojęciowości. Wyobrażenie

ogólne, reprezentujące psychologicznie pojęcie i stanowiące oparcie dla pojęciowego myślenia człowieka, nie jest tem samem, co pojęcie. Może ono być np. bogatsze (w razie, gdy się myśli o trójkacie); albo może być i uboższe (w pojęciu Iwa mieści się więcej elementów, niż w mojem o nim przedstawieniu, podczas gdy przy trójkacie sprawa się ma naodwrot). Pojęcie logiczne jest wskaźnikiem, którego się trzyma uwaga, wydobywając z przedstawienia, reprezentującego w indywiduum pojęcie, pewne tylko momenty, te właśnie, które pojęciem są wskazane; jest ono celem i dążeniem pojęcia psychologicznego, gwiazdą polarną, ku której uwaga się zwraca, tworząc konkretny jego surogat: jest ono prawem jej wyboru.

Niezawodnie żaden proces myślenia nie może się odbywać czysto logicznie tylko, a nie zarazem także i psychologicznie: gdyż toby było przecież istnym wprost cudem. Czysto logicznie myśli, jak to wynika z pojęcia jego, bóstwo; człowiek musi zawsze myśleć zarazem psychologicznie, ponieważ posiada nietylko rozum, ale i zmysłowość, a celem myślenia jego są wprowadzić wyniki logiczne, t. j. ponadczasowe, psychologicznie odbywa się jednakże ono w czasie. Logiczność jest zaś tą wzniosłą miarą, jaką do psychologicznych swych aktów myślenia jednostka sama i inni przykładają. Dwaj ludzie o czymś rozprawiając, mówią o pojęciu, a nie o indywidualnych u każdego z nich odmiennych przedstawieniach, które je u jednego i drugiego reprezentują: pojęcie jest w ten sposób wartością, wedle której mierzy się przedstawienie indywidualne. Jak wyobrażenie ogólne pod względem psy-

chologicznym powstaje, jest to dla natury pojęcie zgoła obojętne i nie ma żadnego dla niej znaczenia. Charakteru logiczności, która właściwą mu godność i surowość nadaje, nabiera pojęcie nie z doświadczenia, które zawsze tylko chwiejnych dostarcza postaci i mogłoby co najwyżej utworzyć niejasne wyobrażenia zbiorowe. Absolutna stałość i absolutna jednoznaczność, które z doświadczenia pochodzić nie mogą, stanowią istotę pojęciowości „owej tajemnej sztuki w głębinach duszy ludzkiej, której prawdziwych chwytów nigdy nam chyba przyroda odgadnąć i bez osłonek oczom przedstawić nie pozwoli“, jak się „Krytyka czystego rozumu“ wyraża. Owa absolutna stałość i jednoznaczność nie dotyczy bytów metafizycznych: rzeczy nie są o tyle realnemi, o ile uczestniczą w pojęciu, lecz ich cechy jakościowe są pod względem logicznym o tyle tylko ich jakościowymi cechami, o ile w treści pojęcia się mieszczą. Pojęcie jest normą istotności, a nie istnienia.

Do powiedzenia o pewnym przedmiocie kolistym, że ma krzywizny, uprawniony jestem logicznie na podstawie pojęcia koła, w którym cecha krzywizny się zawiera. Atoli błędem jest określać pojęcie, jako samą istotność, jako „istotę“: „istota“ jest tu, albo pewnem psychologicznem uwypukleniem albo bytem metafizycznym. A stawiać narówni pojęcie z jego definicją zabrania natura definicji, która odnosi się zawsze tylko do treści, a nie do zakresu pojęcia, tj. podaje tylko brzmienie, a nie sferę kompetencji owej normy, istotę pojęciowości stanowiącej. Pojęcie, jako norma, jako norma istotności nie może też być samo istotnością; norma musi być

czemś innym: nie będąc zaś istotnością, może być ona tylko — nic innego nie pozostaje bowiem — istnieniem i to istnieniem, odsłaniającem nie byt przedmiotów, ale byt funkcji.

W każdej atoli myślowej kontrowersji między ludźmi, gdy się wkońcu odwołać trzeba w ostatniej instancji do definicji, to wtedy nic innego nie jest normą istotności, jak twierdzenia $A=A$ albo $A=\text{non-}A$. Charakter pojęciowości, stałość i jednoznaczność, nadaje pojęciu nie co innego, jak tylko zasada $A=A$. I tak role aksjomatów logicznych dzielą się tu w ten sposób, że zasada tożsamości zabezpiecza niezachwianą trwałość i zwartość pojęcia samego, podczas gdy zasada sprzeczności odgranicza je jednoznacznie od wszelkich innych możliwych pojęć. Dowiedliśmy przez to po raz pierwszy, że funkcja pojęciowa może być wyrażona zapomocą obu najwyższych aksjomatów logicznych i że sama ona niczem innym nie jest, jak niemi właśnie. Twierdzenie $A=A$ (i $A=\text{non-}A$) umożliwia więc dopiero wszelkie pojęcie, jest ono nerwem natury pojęciowej czyli pojęciowości pojęcia.

Jeżeli wreszcie sam sąd $A=A$ wypowiadam, to oczywista, sąd ten nie znaczy, że jakieś specjalne A , które istnieje, ba, nawet i to nie, że każde poszczególne A rzeczywistego doświadczenia lub rzeczywistego myślenia jest z sobą identyczne. Sąd tożsamości jest niezależny od tego, czy jakieś A wogóle istnieje, co, naturalnie, nie znaczy znów, jakoby sąd ten nie musiał być pomyślany przez kogoś istniejącego; ale jest on niezależnie od tego pomyślany, czy coś, czy ktoś istnieje. Oznacza on: jeśli jakieś A istnieje (bez względu na

to, czy istnieje czy nie, choćby może nawet wcale nie istniało), to twierdzenie $A=A$ na każdy sposób za prawdziwe uznane być musi. Stwarza się przez to nieodwołalnie pewną pozycję bytową, której istnienie się ustanawia, mianowicie istnienie $A=A$, jakkolwiek pozostaje hipotetycznym, czy A samo wogóle istnieje. Sąd $A=A$ stwierdza zatem, że coś istnieje, a egzystencją tą jest właśnie owa poszukiwana norma istotności. Z doświadczenia, z kilku lub choćby z większej liczby przeżyć zasada ta wywodzić się nie może, jak Mill sądził: jest ona bowiem właśnie całkiem od doświadczenia niezależna; uchodzić musi za pewną, bez względu na to, czy doświadczeniu A da się odnaleźć czy nie. Żaden człowiek jeszcze jej nie zaprzeczył i zaprzeczyćby nie mógł, warunkiem bowiem zaprzeczenia ona samaby być znów musiała, gdyby się czemuś określönemu zaprzeczać miało. Gdy więc sąd ten stwierdza pewne istnienie, niezależne od istnienia przedmiotów, o takim istnieniu niczego nie wypowiadając, może on wyrażać tylko istnienie czegoś innego, jak byt wszelkich rzeczywis-tych i możliwych przedmiotów, a więc istnienie tego, co z istoty swego pojęcia nigdy przedmiotem stać się nie może *); oczywistością swą tedy ujawnia

*) Dowód ten polega jednak, jak zauważyć trzeba, na utożsamieniu jakiegoś dowolnego logicznego A z teorjopoznawczym przedmiotem wogóle; sama prawowitość tego utożsamienia nie da się jeszcze uzasadnić. Ale bytem w ogólności, który, ściśle biorąc, jedynie z mocy zasady tożsamości wyprowadzony być może, ze względów metodycznych zajmować się tu nie będę. — Zresztą aby pozytywizm obalić (o co tu właśnie chodzi), wystarczyło by samo już to udowodnienie pewnego istnienia poza doświadczeniem, niezależnego od wszelkiego doświadczenia. Że istnieje

on istnienie podmiotu; istnienie to, mianowicie, o którym zasada tożsamości mówi, nie mieści się ani w pierwszym ani w drugim A , ale w znaku identycznej tożsamości $A=A$. Twierdzenie to jest więc identyczne z twierdzeniem: ja jestem.

Pod względem psychologicznym zawiała ta dedukcja jest łatwiejsza do wyjaśnienia, a pominąć jej tu nie można. Jest rzeczą jasną, że, aby powiedzieć $A=A$, aby móc niezmiennność pojęcia, jako normę stałą ustanowić i ją wobec wciąż zmieniających się poszczególnych przedmiotów doświadczenia utrzymać, musi istnieć coś niezmiennego, a tem może być tylko podmiot; gdybym był wpleciony w krąg przemian nie mógłbym poznać, czy A pozostało tem samem, co było; gdybym się bezustannie zmieniał i nie zachował tożsamości, gdyby moja istota pozostawała w związku funkcjonalnym z przemianą, nie miałbym żadnej możności przeciwstawienia się tejże i poznania jej; brakłoby bowiem absolutnego systemu duchowego współrzędnych, do których w odniesieniu jedynie i wyłącznie coś identycznym określone być może i, jako takie, ujęte.

Istnienie podmiotu nie da się wywnioskować; pod tym względem kantowska krytyka psychologii racjonalnej ma całkowitą słuszość. Ale można wy-

niem tem jest istnienie jaźni, na to niema żadnego uzasadnienia czysto logicznego, a możliwe jest właściwie tylko psychologiczne na podstawie faktu doświadczenia, że normy logicznej nie otrzymuje człowiek z zewnątrz, ale że jest mu ona dana z głębi własnej istoty. Dlatego tylko można być absolutny, czyli być absolutu, jak on się w zasadzie $A=A$ manifestuje z bytem jaźni utożsamiać : jaźń absolutna jest absolutem.

kazać, gdzie istnienie to ściśle i niedwuznacznie w logice także wyraz swój znajduje; i nie trzeba być intelligibilny przedstawiać, jako logiczną tylko możliwość myślenia, co do której całkowitą pewność dać nam może później prawo moralne jedynie, jak to Kant uczynił. Fichte miał słuszość, znajdując w czystej logice również rękojmię istnienia jaźni, o ile ona się łączy z bytem intelligibilnym.

Podstawą wszelkiej prawdy są aksjomaty logiczne, te ustanawiają byt, do którego stosuje się, wedle którego rozwija się poznanie. Logika jest ustawą, której winno się posłuszeństwo, a człowiek jest wtedy dopiero całkowicie sobą samym, gdy jest zupełnie logiczny; ba! niema go wogóle, zanim nie jest wszędzie i nawskroś logiką tylko. W poznaniu znajduje on siebie samego.

Wszelki błąd odczuwa się, jako winę. Wynika z tego, że człowiek nie musi błędzić. On powinien znaleźć prawdę; dlatego znaleźć ją może. Z obowiązku poznania wynika jego możliwość, wynika swoboda myślenia i nadzieja zwycięstwa poznawania. W normatywności logiki spoczywa dowód, że myśl człowieka jest swobodna i celu swego dopiąć może.



Inaczej i zwięźlej mogę rozpatrzyć tu kwestję etyki, gdyż w roztrząsaniach tych stoję na gruncie kantowskiej filozofii moralności, wyprowadziwszy już, jak to widzieliśmy, ostatnie także logiczne dedukcje i postulaty, w pewnej z nią analogii. Najgłębszą, intelligibilną istotą człowieka jest

właśnie to, co w nim nie podlega prawu przyczynowości i wybiera swobodnie dobro i zło. W sposób zupełnie ten sam udowadnia się to poczuciem winy, skruczą. Nikt jeszcze nie umiał faktów tych inaczej wyjaśnić; i nikt nie da sobie wmówić, że ten lub ów czyn musiał popełnić. W powinności tkwi tu także świadectwo możliwości. Człowiek może mieć doskonałą świadomość przyczynowego związku skłaniających go powodów, niskich pobudek, które go pociągnęły, a przecież, najpewniej może w takim właśnie razie, przypisze on odpowiedzialność swej inteligibilnej jaźni, jako istocie swobodnej, która mogła była inaczej także postąpić.

Prawda, czystość, wierność, szczerłość wobec siebie samego jest to jedyna etyka, jaką pomyśleć sobie można. Są tylko obowiązki wobec siebie, obowiązki jaźni empirycznej wobec intelligibilnej, występujące w formie owych dwu imperatywów, wobec których wszelki psychologizm zawsze ze wstydem kapitulować musi: w formie logicznego i moralnego prawa. Dyscypliny normatywne, fakt duchowy wewnętrzny nakazu, który domaga się znacznie więcej, niż tego cała wogóle społeczna obyczajność żąda — oto czego żadne metody doświadczałne wystarczająco wyjaśnić nie potrafią. Prawdziwym ich przeciwieństwem jest metoda krytyczno-transcendentalna, a nie metafizyczno-transcendentalna, gdyż wszelka metafizyka jest tylko hipostazującą psychologją, filozofja zaś transcendentalna jest logiką szacowania wartości. Wszelki empiryzm i sceptycyzm, pozytywizm i relatywizm, wszelki psychologizm i wszelki czysto immanentny sposób rozpatrywania czują instynktownie bardzo dobrze, że etyka i logika

główną im następczą trudność. Stąd pochodzą bezustannie ponawiane i zawsze bezowocne usiłowania empirycznego i psychologicznego upodstawiania tych nauk, i prawie jednej tylko jeszcze brak próby—eksperymentalnego zbadania i uzasadnienia zasady sprzeczności.

Logiki i etyka atoli są w gruncie rzeczy jednym i tem samem tylko — obowiązkiem wobec siebie samego. Świecą one swoje zespolenie w najwyższej wartości prawdy, której przeciwieństwem jest tam błąd, tutaj kłamstwo: sama prawda jednak jest tylko jedna. Wszelka etyka jest możliwa tylko w zgodzie z prawami logiki. Nietylko cnota, ale i wiedza, nietylko świętość, ale i mądrość jest obowiązkiem i zadaniem człowieka: dopiero one obie razem stanowią podstawę doskonałości.

Oczywista jednak, nie da się z etyki, której twierdzenia są postulatami, wyprowadzić tak, jak z logiki ściśle logiczny dowód istnienia. Etyka nie jest logiczna w tem samem znaczeniu, w jakim logika jest nakazem moralnym. Logika ukazuje jaźni całkowite jej urzeczywistnienie, jako byt absolutny; etyka natomiast urzeczywistnienia tego dopiero się domaga. Logikę etyka zagarnia, czyniąc ją swą właściwą treścią, swym wymogiem.

W owem słynnem miejscu „Krytyki rozumu praktycznego“, gdzie to Kant wprowadza człowieka, jako ogniwo świata intelligibilnego („obowiązków wzniosłe ty, wielkie imieniu...“), można się zatem słusznie pytać, skąd właściwie Kant wie, że prawo moralne wypływa z osobowości? Jedyną odpowiedzią, jaką Kant na to daje, jest, że nie może dlań

znaleźć żadnego innego godnego źródła. Ze imperatywu kategoryczny jest prawem, nadaniem przez noumenon, nie uzasadnia on tego dalej, są to rzeczy widocznie dlań od początku ze sobą nierozłącznie w parze idące. To jednak tkwi w naturze etyki. Wymaga ona, aby jaźń intelligibilna działała wolna od wszelkich grudek jaźni empirycznej, i w ten sposób dopiero może etyka ten sam właśnie byt całkowicie w jego czystości urzeczywistnić, który nam logika, jako coś już przecież gdzieś obecnie istniejącego, przyrzeka i zwiastuje.

Ale z owego zaniechania dalszych uzasadnień przez Kanta wyraźnie się okazuje, jakie znaczenie miała dla serca jego nauka o monadach, nauka o duszy, jak silnie trzymał się on jej, jako jedyne dobra, teorią swą o „charakterze intelligibilnym“, tak często pojmowaną fałszywie, jako jakiś nowy wynalazek lub odkrycie, jako sposób wyjścia filozofii kantowskiej, pragnąc tylko silnie ufundować podstawy dla tego, co w niej pod względem naukowym da się utrzymać.

Istnieje obowiązek tylko względem siebie; do pewności tej Kant musiał dojść już w młodości najwcześniejszej (może pod wpływem doznanej raz podniety do kłamstwa).

Pomijając podanie o Heraklesie, kilka ustępów Nitschego, a jeszcze bardziej Stirnera, z których idee pokrewne kantowskim dają się wyczytać, Ibsen jest jedynym, który naczelną zasadę etyki kantowskiej samoistnie wynalazł (w „Brandzie“ i „Peer Gyntie“). Zresztą wyrażają ja

mimochodem przygodne tylko powiedzenia, jak Hebl epigram „kłamstwo i prawda“:

„Co okupujesz drożej, kłamstwo li, zali też prawdę?
Tamtę oplądasz jaźnią, tę zaś najwyżej swem szczęściem“

lub Sulejki słynne słowa ze zbioru Goethego „Westöstlicher Divan“:

„Volk und Knecht und Ueberwinder,
Sie gestehen zu jeder Zeit
Höchstes Glück der Erdenkinder
Sei nur die Persönlichkeit.

Jedes Leben sei zu führen,
Wenn man sich nicht selbst vermisst;
Alles könne man verlieren,
Wenn man bleibe, was man ist“.

Jest napewno prawdą, że ludzie potrzebują po największej części jakiegoś Jehowy. Szczupła tylko garstka — są to właśnie ludzie genialni — nie żyje wcale heteronomicznie. Inni zdają zawsze sprawę ze swych postępków i zaniedbań, swych myśli i swego bytowania przynajmniej w myślach przed kimś drugim, czy jest nim osobisty bóg żydów, czy jakiś człowiek, którego miłują, czczą i obawiają się. Tylko w ten sposób postęпки ich są w formalnej, zewnętrznej zgodzie z prawem moralnem.

Jak to się z całego jego trybu życia samowładnego i do najmniejszych szczegółów niezależnego okazuje, Kant był tak przejęty swem przeświadczeniem, że człowiek tylko wobec siebie samego jest odpowiedzialny, że ten punkt nauki swej uważał on za najbardziej sam przez się zrozumiałą i najmniej na zarzuty narażoną. A przecież właśnie tutaj zamilczenie Kanta przyczyniło się do tego, że jego etyka,

poprostu jedyna, jaka ze stanowiska introspektywnej psychologii da się utrzymać, jedyna, która twardego i surowego wewnętrznego głosu jedności nie stara się zagłuszyć hałasem wielkości, że etyka ta jest tak mało zrozumiana.

Ale i Kant w doczesnem swem życiu, jak o tem pozwala wnosić pewien ustęp w jego „Antropologii“, przebywał stan, który poprzedzał „ugruntowanie charakteru“. Chwila zaś, w której zabłysła w nim z okrutną jasnością świadomość: powinienem przed sobą tylko zdawać rachunek, nikomu innemu służyć nie muszę, o sobie w pracy zapomnieć nie mogę; sam stoję, wolnym i jedynym panem swoim będąc, ten moment oznacza narodziny etyki kantowskiej, aktu najheroicznego w dziejach świata.

„Dwie rzeczy napawają serce nową i wzrastającą wciąż czcią i podziwem, im częściej i wytrwalej myśl się w nie zagłębia: gwiazdzisty firmament nademną i prawo moralne we mnie. Obu ich nie powinienem szukać i przeczuwać tylko w tajni mroków lub wśród bezmiarów, rozpościerających się poza mym widnokreślami; widzę je przed sobą i łączę je bezpośrednio ze świadomością swego istnienia. Przewrót nieba rozpoczyna się od miejsca, które w zewnętrznym świecie zmysłowym zajmuje, i rozszerza związek, jaki mnie z tym światem łączy, w rozmiary nieprzejrzone o łączność ze światami ponad światy i z systemami systemów, ponadto zaś jeszcze z bezgranicznym czasem perjodycznych ich ruchów, z początkiem ich i ciągiem. Prawo moralne rozpoczyna się od mego niewidzialnego jestestwa, mej osobistej jaźni i zespala me z prawdziwie nieskończonym

światem, dla rozumu tylko dostrzegalnym, z którym widzę się w związku nie jak tam, przypadkowym, ale powszechnym i koniecznym. Pierwszy widok niezmiernej liczby światów niszczy niejako mą ważność, jako tworu zwierzęcego, który przez krótki czas (nie wiedzieć jak) zaopatrzony w siłę żywotną musi potem materję, z której powstał, zwrócić planecie (drobnemu punktowi we wszechświecie). Następny widok atoli podnosi mą wartość, jako inteligencji, nieskończenie przez mą jaźń, w której prawo moralne objawia mi życie od zwierzęcości, a nawet całego świata zmysłowego niezależne, przynajmniej o ile to z celowego określenia życia mego prawem tem, niezacieśnionem do warunków i granic tego życia, ale w nieskończoność sięgającym, wnosić da się“.

Tak rozumiemy teraz, w myśl tego zakończenia, „Krytykę praktycznego rozumu“. Człowiek jest sam we wszechświecie, w wieczystej, potwornej samotności.

Nie ma on żadnego celu poza sobą, dla niczego innego nie żyje — wysoko wyniósł się ponad stan, w którym chciał, mógł i musiał być niewolnikiem; daleko pod nim znika cała ludzka społeczność i etyka społeczna; jest on sam, sam.

Ale on to właśnie dopiero jest jednym i wszystkiem; i dlatego ma on też prawo w sobie, dlatego jest on sam wszelkiem prawem, a nie dorywczą samowolą. I on wymaga od siebie posłuszeństwa dla tego prawa w sobie, prawa swej jaźni, chcąc być tylko prawem, nie oglądając się wstecz poza siebie, nie patrząc przed siebie, żadnych względów ubocznych nie mając. W tem tkwi owa

przerazająca wielkość: żadnego jeszcze sensu prócz tego nie ma posłuszeństwo jego dla obowiązku. Nie ma ponad nim jednym i jedynym, wszechjedy-nym nic wyższego. Ale nieubłaganemu, żadnych targów ze sobą niedopuszczającemu, tj. katego-rycznemu nakazowi w sobie musi on być po-słuszny. Wybawienia! woła on*), wytchnienia, wytchnienia raz wreszcie od wroga; pokoju, miast tych zapasów bez końca — i strach go ogarnia: na-wet w żądzy wybawienia tkwiło jeszcze tchórzostwo, w tęskniącym już dośyć! jeszcze dezercja, jak gdyby był zbyt mały na taką walkę. POCO? pyta on, woła w przestwór — i rumieni się! właśnie bowiem pragnął znów szczęścia, nagrody walki, kogoś, któryby go nagroził, kogoś innego. Naj-bardziej samotny człowiek. Kanta nie śmieje się i nie tańczy, nie wrzeszczy i nie wykrzykuje z rado-ści: nie czuje on potrzeby krzyku, bo przestwór świata zbyt głęboko milczy. Nie bezsensowność świa-ta przypadkowości jest mu obowiązkiem, ale jego obowiązek jest dlań sensem wszechświata. Przytakiwanie jej samotności jest „djonozejskim” pierwiastkiem Kanta; to dopiero jest moralnością.

*) Woła Schopenhauer, woła Wagner.

ROZDZIAŁ VIII.

Zagadnienie jaźni i genialność.

„Na początku był ten świat samym Atmanem, w postaci człowieka. Ten pozierał wokoło: wtem ujrzał tylko siebie samego. Wykrzyknął tedy: „To ja jestem!” Z tego powstała nazwa jaźń. — Stąd też i do dziś dnia, gdy się kogoś zawoła, wówczas ten mówi najsamprzód: „To ja jestem”, a dopiero potem wymienia imię, które nosi“.

(Brihadâvanyaka — Upaniṣhad).

Przyczyna wielu zasadniczych sporów w psychologii tkwi w indywidualnych charakterologicznych różnicach osobistości polemizujących ze sobą. Mogłaby tedy, jak to już nadmieniliśmy, ważna przypaść rola charakterologii: podczas gdy jeden to, inny zaś owo twierdzi, że w sobie odkrył, winnaby ta nauka obu pouczyć, dla czego samoobserwacja jednego inaczej wypada, aniżeli drugiego; lub conajmniej wskazać, czem się jeszcze różnią osoby, o których tu mowa. W gruncie rzeczy nie widzę żadnego sposobu wyjaśnienia wprost najbardziej spornych psychologicznych kwestyj. Psychologja jest nauką doświadczalną i dlatego w niej ogół szczegółu nie poprzedza — jak to się w ponadindywidualnych naukach normatywnych logiki i etyki dzieje, i raczej odwrotnie

ma ona w indywidualnych, poszczególnych ludziach punkt wyjścia. Niema żadnej empirycznej powszechnej psychologii i byłoby błędem zabierać się do niej, nie uwzględniając równocześnie psychologii różnicowań.

Winą tego jest dwuznaczne położenie psychologii między filozofją, a analizą wrażeń. Ilekroć psychologowie z którejkolwiek z tych dwóch nauk wychodzili, niemal zawsze występowali z pretensjami do powszechnej ważności wyników. Ale być może, że pytania tak fundamentalne, jak to, czy istnieje już w samym wrazeniu czynny akt spostrzeżenia, spontaniczność świadomości — czy też nie, nie dadzą się całkowicie wyjaśnić bez uwzględnienia różnic charakterologicznych.

Małą część takich amfibolij rozwiązać przy pomocy charakterologii, ze względu na psychologję płci, jest głównem niniejszej pracy zadaniem. Rozmaite bowiem traktowania problemu jaźni wynikają nie tyle z psychologicznych różnic płci, ile raczej, jeśli nie wyłącznie*), z indywidualnych różnic uźdolenienia.

Stwierdzenie właśnie zasadniczej różnicy między Hume'm i Kantem jest także charakterologicznie możliwe, o tyle mniej więcej, o ile mogę wogóle wyrokować o dwojgu ludzi, z których jeden dzieła Makarta i Gounoda, drugi zaś dzieła Rembrandta i Beethovena uważa za najwyższe i najwspanialsze twory sztuki. Owóż takich ludzi będę przedewszystkiem rozróżniał wedle ich

*) Por. o rozumiejących i nierozumiejących siebie ludziach, str. 162.

uzdolnienia. Jest więc to także i w tym wypadku dopuszczalne, ba, nawet konieczne, ażeby sądy o jaźni, wychodzące od dwóch bardzo nierównie uzdolnionych jednostek, wartościować niejednakowo. Nie ma żadnego rzeczywiście wybitnego człowieka, któryby nie był o istnieniu swej jaźni przekonany; człowiek, który jaźń zaprzecza, nigdy znakomitym być nie może *).

Powyższa teza w dalszym ciągu niniejszej pracy przybierze formę twierdzenia o niezłomnej konieczności, a także postaramy się uzasadnić tkwiącą w niej rację wyższego wartościowania sądów genjusza.

Nie ma bowiem wybitniejszego człowieka i nie może być, któryby w ciągu swego życia, w ogólności im jest znakomitszy, tem wcześniej (por. roz. 5), nie miał chwili całkowitej pewności posiadania jaźni w wyższym tego słowa znaczeniu **). Dość tylko porównać następujące wyznania trzech bardzo różniących się ludzi, a nadzwyczajnie genialnych natur.

Jean Paul opowiada w swoim autobiograficznym szkicu: „Prawda z mojego życia“:

„Nigdy nie zapomnę niewyjawionego jeszcze żadnemu z ludzi momentu, w którym byłem świadkiem narodzin własnej samowiedzy, a którego porę i miejsce potrafię podać. Pewnego przedpołudnia stałem, jako młodziutkie dziecko, pod drzwiami domu,

*) To jeszcze nie stanowi, ażeby każdy, uznający jaźń, miał już być genjuszem.

**) Później okaże się to jasnem, dlaczego ludzie wybitni już w bardzo wczesnym wieku (np. w 4 roku życia,) potrafią się kochać.

patrząc w lewo na skład drzewa, gdy nagle jakaś twarz wewnętrzna, wołająca: ja jestem twem ja! pomknęła przede mną jak błyskawica z nieba i od-tąd stanęła, świecąc — wówczas to ujrzałem po raz pierwszy moją jaźń i... na zawsze. Złudzenia pamięci nie dałyby się tu chyba zapamiętać, ponieważ żadne cudze opowiadanie nie mogłoby się wmieszać w zja-wisko, które w najświętszych tylko tajniach jestestwa ludzkiego się odbyło, którego sama nowość tak po-wszednim i małoważnym okolicznościom ubocznym nadała trwałość“.

A widocznie toż samo przeżycie opisuje Novalis w swoich „fragmentach mieszanej treści“ w na-stępujący sposób:

„Nie da się taki fakt przedstawić, każdy musi go sam doświadczyć. Jest to fakt wyższego rodzaju, fakt, który spotkać może tylko wybitniejszego czło-wieka, jednak ludzie winni dążyć do wywoływania go w sobie. Filozofować, to rozmyślać nad sobą sa-mym w sposób powyższy, jest to właściwe objawie-nie siebie samego, jest to właśnie rozbudzanie rze-czywistej jaźni zapomocą idealnej. Filozofowanie jest podstawą wszystkich innych objawień, posta-nowienie filozofowania — to wezwanie rzeczywistej jaźni do refleksji, obudzenia się i stania się du-chem“.

Schelling omawia w swoim ósmym „filozo-ficznym liście o dogmatyzmie i krytycyzmie“, w ma-ło znanej pracy młodzieńczej, ten sam fenomen w następujących głębokich i pięknych słowach: „Mieszka w nas wszystkich... tajemna i przedziwna moc, moc usuwania się ze zmienności czasu, w na-szą najgłębszą jaźń, oczyszczoną ze wszystkich ze-

wewnętrznych naleciałości, moc widzenia w nas wieczności pod formą przemienności. To widzenie jest najwewnętrzniejszym i najbardziej własnym doświadczeniem, od którego wszystko, wszystko zawisło, co wiemy o świecie nadzmysłowym i w co wierzymy. To widzenie przekonywa nas najpierw, że coś wogóle w właściwym tego słowa znaczeniu **jest**, podczas gdy wszystko inne, na co to właśnie słowo przenosimy, istnieje tylko, jako zjawisko. Różni się ono od każdego zmysłowego widzenia tem, że tylko je swoboda wydobywa, dla wszystkich zaś innych, którym wolność pod ciężarem napierającej władzy przedmiotów, zaledwie wystarcza do obudzenia świadomości — jest ono obce i nieznane. Jednak i ci, co nie posiadają swobody widzenia swego jeststwa, mają możność conajmniej zbliżenia się do niej, są im dane doświadczenia pośrednie, pozwalające im ich własne przeczuć istnienie. Jest pewien głęboki, nieuświadomiony zmysł, który napróżno usiłujemy w sobie rozwinąć. Opisał go **Jakobi**... Intelaktualne to widzenie występuje wówczas, gdy przestajemy być dla siebie samych przedmiotem, gdy wnikamy w siebie, kiedy patrzącą jaźń z tem co widzi, utożsamia się. W takiej chwili widzenia ginie dla nas czas i trwanie: nie my jesteśmy w czasie, lecz czas — albo raczej nie czas, ale czysta absołutna jest w **nas** wieczność. Nie my znajdujemy się w oglądaniu świata obiektywnego, jeno świat zatraca się w naszym patrzeniu“.

Zapewne śmiać się tylko będzie zwolennik teorii immanentnej, pozytywista, z owych oszukanych oszukiwaczy, z filozofa, który takie przeżycia za prawdziwe uważa. No, coż — przeciwko temu tak

łatwo nie da się nic zrobić. Zresztą zbyteczna. Mimo to na żaden sposób nie jestem tego mniemania, jakoby taki „fakt wyższej miary“ przybierał u wszystkich genialnych ludzi mistyczną formę takiego jednostawiania się podmiotu i przedmiotu, takiego jednolitego przeżycia, jak to Schelling opisał. Czy istnieją nierozdzielne przeżycia, w których dualizm już podczas życia ulega przewyciężeniu, jak to Plotyn i indyjscy Mahatmy wykazują, lub też, czy to są tylko najwyższe intensyfikacje przeżycia, lecz zasadniczo jednogatunkowe z wszystkimi innymi — to nas tu nie zajmuje, i nie obchodzi nas tu kwestja, czy zespolenie podmiotu z przedmiotem, czasu z wiecznością, widzenia Boga przez żyjącego człowieka jest wogóle możliwe czy niemożliwe. Pod względem teoretyczno-poznawczym z przeżywaniem własnej jaźni nie da się nic zrobić i nikt jeszcze nie próbował zużytkować go w systematycznej filozofji. Ów fakt „wyższej miary“, występujący u jednego człowieka tak, u drugiego inaczej, chcę przeto nazywać nie przeżyciem własnej jaźni, lecz tylko wydarzeniem jaźni.

Każdy wybitniejszy człowiek fakt ten jaźni zna i czy on dopiero odnajduje swoją jaźń i uświadamia sobie swe jestestwo w miłości kobiety*) — gdyż człowiek wybitny kocha intensywniej, aniżeli pospolity — czy też przez poczucie winy, zapomocą kontrastu dojdzie do poznania swojej wyższej prawdziwej istoty, której w żal budzącem działaniu się sprzeniewierzył — gdyż także i poczucie winy u człowieka

*) Ten wypadek wymaga jeszcze później osobnego rozpatrzenia.

wybitniejszego jest intensywniejsze i bardziej zróżnicowane, aniżeli u pospolitego; czy go owo zjawisko jaźni poprowadzi do stopienia się z wszechstworzeniem w jedno, do ujrzenia wszystkich rzeczy w Bogu, lub mu raczej objawi ów straszny we wszechświecie dualizm między przyrodą a duchem wywołując wewnętrznego cudu potrzebę: zawsze i wiecznie tkwi już zarazem w fakcie jaźni ziarno, światopoglądu, samo przez się, bez współudziału myślącego człowieka. Światopogląd nie jest to wielka synteza, którą gdzieś tam w mrokach przyszłości wiedzy jakiś szczególnie pilny człowiek, po kolejnem opracowaniu wszystkich zawodów, wymozoli przy biurku, otoczony księgami, światopogląd jest czemś przeżytem, i aczkolwiek w poszczególnych częściach tyle w nim narazie tkwi sprzeczności i ciemności — jednak, jako całość, jest on jasny i niedwuznaczny. Fakt jaźni jest korzeniem wszystkich światopoglądów, t. z. każdego na świat poglądu, jako na całokształt, zarówno u artysty, jak niemniej u filozofa. A chociaż światopoglądy między sobą tak jaskrawo się różnią, to jednak — o ile słusznie noszą *) swą nazwę, mają wszystkie to jedno właśnie wspólne, co z faktu jaźni wynika, wiarę, którą każdy znaczniejszy człowiek posiada: owo przeświadczenie o istnieniu jaźni, o istnieniu duszy samotnej we wszechświecie, prze-

*) Darwinizm zatem i systemy monistyczne, oparte na idei ewolucji, tu nie należą. Nic bardziej nie świadczy o wszechwładzy idei gatunku i rozmnażania się w naszej dobie, jak łączenie teorii descendencji z nazwą światopoglądu i przeciwstawianie jej pesymizmowi.

ciwstawiającej się mu, patrzącej na ten świat cały.

Od chwili, w której fakt jaźni ma miejsce, człowiek wybitny żyć będzie naogół duszą — przerwy wypełnione jednym z najstraszniejszych uczuć, uczuciem śmierci, mogą niewątpliwie bardzo często się zdarzać.

Z tego to powodu, a nie tylko z wysokiego nastroju, jaki budzi w nich widok dokonanego właśnie dzieła, pochodzi, jak tu chcę zauważyć, że wybitniejsi ludzie będą zawsze pod każdym względem największą też posiadali samowiedzę. Niema nic błędniejszego, jak mówić o „skromności“ wielkich mężów, którzy sami rzekomo nie wiedzą, co w nich twi. Niema wybitniejszego człowieka, któryby nie rozumiał, jak bardzo różni się on od innych (z wyjątkiem okresów depresji, podczas których obraca się nawet w niwecz postanowienie, powzięte w czasach pomyślniejszych, aby mieć odtąd dobre o sobie mniemanie), i niema żadnej jednostki, która coś stworzywszy, nie uważałaby się za wybitniejszą, co prawda, niema też żadnego, którego próżność i ambicja byłaby tak mała, iżby się stale jeszcze nie przeceniał. Schopenhauer uważał siebie za znacznie większego od Kanta. Jeśli Nietzsche swego „Zaratustrę“ uważa za najgłębszą na świecie książkę, to niepoślednią w tem odgrywa rolę rozczarowanie z powodu milczących o nim dziennikarzy, jak i potrzeba podrażnienia ich — bądź co bądź pobudki także niezbyt szlachetne.

Jedna tkwi tylko myśl słuszna w przypisywaniu skromności ludziom wybitniejszym: znakomite jednostki nie są nigdy zarozumiałe. Zarozumiałość

i samowiedza są to niezawodnie dwie najbardziej ze sobą sprzeczne rzeczy, jakie wogóle istnieć mogą, i nie należy ich — jak to się po największej części dzieje — mieszać ze sobą. Człowiek posiada zawsze tyle arogancji, ile nie dostaje mu samowiedzy. Zarozumiałość jest napewno tylko środkiem spotęgowania intensywnego własnej samowiedzy przez sztuczne poniżenie bliźnich, bo nawet do wywołania dopiero w ten sposób poczucia jej w sobie. Oczywiście, że mowa tu tylko o nieuświadomionej, że tak rzekę, fizjologicznej arogancji; do umyślnego grubiaństwa wobec marnych kreatur także i człowiek wysoko stojący musi się tu i ówdzie dla obrony własnej swej godności przymusić.

Silne i zupełne, co do swojej osoby właściwie nie potrzebujące dowodu, przekonanie, że się duszę posiada, jest więc wszystkim genialnym ludziom wspólne. Należałoby raz już wreszcie pozbyć się tej śmiesznej obawy, wietrzącej, w każdym, który o duszy, jako ponaddoświadczałnej, realności mówi, werbującego teologa. Wiara w duszę jest wszystkim raczej, aniżeli zabobonem, i nie jest tylko jakimś klerykalnym środkiem uwodzenia. O duszach swoich mówią także artyści, chociaż nie studjowali filozofji i teologji, nawet najbardziej ateistycznie usposobieni, jak Shelley, sądząc, że wiedzą, co rozumieją przez to. Lub może mamy myśleć, że „dusza” dla nich jest tylko czczem, pięknem słowem, które nie czując go, powtarzają za innymi? Że wielki artysta używa określeń, wcale nie zdając sobie sprawy z rzeczy określanej, w tym wypadku, możliwie najwyższą realność posiadającej? Immanentny empiryk, fizjolog czysty musi atoli to wszystko albo

uważać za jałową gadaninę, lub też uznać Lukrecjusza za jedynie potężnego poetę. Niezawodnie słowa tego bardzo się nadużywa, lecz gdy znakomici artyści coś o swej duszy zeznają, to wiedzą oni dobrze co czynią. Ci, jak i wielcy filozofowie, posiadają jakieś graniczne poczucie najwyższej rzeczywistości. Hume zapewne nie znał go.

Naukowiec stoi niżej od filozofów i artystów, jak to już podnieśliśmy, a czego dowiedzimy niebawem. Oni tylko mogą być genjuszami, tamten nigdy. Jeśli się jednak, co właśnie tu zaszło, większe znaczenie przypisuje poglądom genjusza na pewne zagadnienie właśnie dlatego tylko, że to są jego poglądy, aniżeli poglądom naukowca, świadczy to, że genjuszowi przyznaje się z innych względów, dotąd jeszcze nie umotywowane pierwszeństwo wobec wiedzy. Czy jest słusznem owo odszczególnienie? Czy genjusz może się o takich rzeczach dowiedzieć, które są zamknięte dla człowieka wiedzy, jako takiego, czy może docierać do takich głębi, których tamten może nawet nie przeczuwa?

Jak to się okazało, w pojęciu genjalności mieści się uniwersalność. Dla człowieka w całej pełni genjalnego, który jest tu konieczną fikcją, nie ma żadnej rzeczy, względem której nie stałby on w żywym, głębokim i pełnym przeznaczeń stosunku. Genjalność jest uniwersalną apercepcją, a skutek tego doskonałą pamięcią, absolutną beczasowością. Aby zaś móc coś apercypować, należy mieć już w sobie jakiś pierwiastek pokrewny z rzeczą apercypowaną. Spostrzega, rozumie i chwytą się to tylko, z czym ma się jakieś podobieństwo (s. 135 i n.). Jest

wreszcie genjusz, naprzekór każdej skomplikowanej rzeczy, człowiekiem, posiadającym najintensywniejszą, najżywotniejszą, najbardziej uświadomioną, najbardziej ciągłą, jednolitą jaźń. Jaźń jednak jest ześrodkowanym centrem, jednością apercepcji, „synteza” wszystkich różnorodności.

Jaźń genjusza musi być zatem sama apercepcją uniwersalną, punkt musi mieścić w sobie niezmierzoną przestrzeń: człowiek wybitny posiada w sobie cały świat, genjusz jest żywym mikrokosmosem. Nie jest on związkiem chemicznym, utworzonym z mnogich, lecz zawsze jeszcze skończoną liczbę stanowiących pierwiastków, i nie taką była przewodnia myśl roztrząsań czwartego rozdziału o ściślejszem pokrewieństwie genjusza z większą liczbą ludzi i spraw, lecz jest on wszystkim. I jak w jaźni i przez jaźń wszystkie zjawiska psychiczne się łączą, jak się ten ich związek bezpośrednio przeżywa, a nie wnosi się go dopiero w życie duchowe z trudem przy pomocy nauki, która bezwątpienia czynić to musi we wszystkich sprawach zewnętrznych*), jak tu koniecznie całość przed czę-

*) Dlatego wewnątrz poszczególnego człowieka nie istnieje pojęcie przypadku, ba, nawet myśl o czemś podobnem nie może się wcale wynurzyć. Że rozgrzana sztaba wskutek dopływu termicznej energii się rozszerza, a nie zaś z powodu równocześnie świecącego na niebie komety, przypuszczam to tylko na podstawie długiego doświadczenia i indukcji, ale też na tej tylko podstawie; właściwy stan rzeczy nie jest tu widoczny natychmiast z jednego już przeżycia. Jeśli natomiast złość mnie ogarnia z powodu własnego mego zachowania się w pewnym towarzystwie, to przypuścmy nawet, że dzieje się to po raz pierwszy i obok tego doświadczam wielu innych jeszcze psychicznych

ściami istnieje, tak patrzy też genjusz, w którym jaźń żyje, jak wszechświat i jako wszechświat, na przyrodę i na kolisko wszystkich istot, jako na całość, widząc jej wiązadła, nie zaś konstruując dopiero budowę z ułamków. Dlatego to już przedewszystkiem człowiek wybitny nie może być ani czystym empirycznym psychologiem, dla którego istnieją tylko poszczególne części i który je usiłuje skleić w pocie swego czoła zapomocą asocjacji, inij przewodowych itd., ani wyłącznie fizykiem, dla którego świat złożony jest z atomów i molekuł.

Z idei całości, w której genjusz bezustanku żyje, poznaje on sens poszczególnych części. Dlatego to wartościuje on wszystko, wszystko w sobie i wszystko, co istnieje poza nim, wedle tej idei i tylko dlatego nie jest to dla niego funkcją czasu, ale reprezentuje zawsze jakąś myśl wieczną i wielką. Tak to genjalny człowiek jest zarazem głęboki i tylko on jest głębokim, a tylko głęboki genjalnym. I dlatego też jego zapatrywanie ma rzeczywiście większą wartość, aniżeli innych, ponieważ tworzy on z całokształtu swojej wszechświat obejmującej jaźni, podczas gdy inni ludzie nie dochodzą nigdy do pełnej świadomości swego prawdziwego jestestwa, przeto rzeczy są dlań pełne znaczenia, wszystkie one coś znaczą dla niego, widzi on w nich zawsze symbole. Dla niego oddychanie jest czemś więcej,

zjawisk — znam bezpośrednio przyczynę mego niezadowolenia; mam co do tego w tej chwili całkowitą pewność lub co najmniej mogę ją mieć od pierwszego razu, jeśli nie usiłuję się oszukać pod tym względem.

aniżeli wymianą gazów poprzez najdelikatniejsze naczynka włoskowate, błękit nieba czemś więcej, aniżeli częściowo spolaryzowanem, od zamgleń atmosferycznych odbijającem się rozproszonem światłem słonecznem, węże czemś więcej, aniżeli beznożnymi gadami, pozbawionymi pierścieni kręgowych i odnóży. Gdyby się razem zestawilo nawet wszystkie kiedykolwiek dokonane odkrycia naukowe i przypisało się je pracy jednego człowieka; gdyby wszystko to, co Archimedes i Lagrange, Jan Müller i Karol Ernest Baer, Newton i Laplace, Konrad Sprengel i Cuvier, Tuczaydes i Niebuhr, Fryderyk August Wolf i Franciszek Bopp i tylu innych jeszcze znakomitego dla nauki uczyniło, gdyby nawet tego wszystkiego jeden człowiek zdołał dokonać w ciągu krótkiego ludzkiego życia, mimo to nie zasłużyłby on jeszcze na miano geniusza.

Boć przez to jeszcze nigdzie do głębin nie do-
tarto. Człowiek naukowo pracujący bierze zjawiska
tak, jak one podpadają zmysłom. Natomiast
wybitny, czyli geniusz, ujmuje je tak, jak one zna-
czą. Dla niego morze i góry, światło i ciemność,
wiosna i jesień, cyprys i palma, gołąb i łabędź są
symbolami, on nie tylko przeczuwa, ale i poznaje
w nich coś głębokiego. Nie na zmianach ciśnienia
powietrza polega Pęd Walkirji i nie na procesach
tłumienia opiera się Czar ognia. A to wszystko
jest dlań możliwe tylko dlatego, że świat zew-
nętrzny splata się w nim tak silnie i bogato, jak
psychiczny, co więcej życie zewnętrzne wydaje
się mu jeno specjalnym przejawem jego wewnętrzne-
go życia, świat i jaźń spływają się w nim w jedno i nie
musi on dopiero zespalać cząstkę po cząstce do

świadczenia wedle prawa i reguły. Tymczasem największa nawet polihistorja dodaje tylko dział do działu, a nie tworzy jeszcze żadnej całości. Dlatego to więc wielki uczony stoi niżej od wielkiego artysty, od wielkiego filozofa.

Nieskończoności wszechświata odpowiada u geniusza prawdziwa nieskończoność, tkwiąca w jego własnej piersi, on mieści w swoim wnętrzu chaos i kosmos, wszystkie szczególności i wszystkie całości, wszystkie wielości i wszystkie jedności. A chociaż te nasze określenia więcej mówią o genialności, niżeli o istocie genialnego tworzenia, chociaż stan artystycznej ekstazy, filozoficznej koncepcji, religijnego objawienia, pozostaje niemniej zagadkowym jak przedtem i niewątpliwie wyjaśniły się nam przez to tylko warunki, nie zaś sam proces jakiegos rzeczywiście wybitnego tworzenia — mimo to ostatecznie możemy postawić tu następującą definicję geniusza:

Należy wówczas człowieka nazywać genialnym, jeśli on żyje w świadomej łączności ze wszechświatem. A tak dopiero genialne jest właściwie tem, co boskie w człowieku.

Wielka idea, uznająca duszę ludzką za mikrokosmos, ta najgłębsza koncepcja filozofów renesansu, której pierwsze wyraźne ślady znajdujemy już u Platona i Arystotelesa — od śmierci Leibniza, jak się zdaje, doszczętnie w nowoczesnem myśleniu zatraciła się. Ową ideę, którą ci mistrzowie uważali za właściwą istotę człowieka wogóle, tu uznaliśmy dotychczas tylko za prawdę w odniesieniu do geniusza

Inkongruencja ta jest jednak tylko pozorna. Wszyscy ludzie są genialni i żaden człowiek nie jest genialny. Genialność jest ideą, do której jeden się zbliża, podczas gdy inny w wielkiem pozostaje od niej oddaleniu, do której jeden szybko zdąża, inny może dopiero u kresu swego życia.

Człowiekiem, któremu przypisujemy genialność może być ten tylko, kto już rozpoczął widzieć i czyzy innym otwiera. Że ci potem umieją patrzeć jego oczyma, to dowód, że oni tuż u bram już stali. Także i przeciętny człowiek może sam, jako taki, wejść pośrednio w stosunek względem wszystkiego. Jego idea całości jest jednak pełną przeczuć tylko i nie potrafi on się z nią utożsamić. Niemożliwością jednak dlań nie jest wżycie się w ową identyfikację przez innych przeżyta, a tem samem osiągnięcie całokształtu obrazu. Przez światopogląd może się on połączyć z wszechświatem, przez kształcenie z każdą najdrobniejszą częstką; nic nie jest mu całkowicie obce i ze wszystkimi rzeczami świata wiąże także i jego nić sympatji. Nie tak zwierzę, albo roślina. Te są ograniczone, znają tylko jeden element, nie zamieszkują całej ziemi, a jeśli są wszędzie rozpo-
wszechnione, to tylko w służbie u człowieka, który im wszędzie równomierną funkcję wyznaczył. Mogą mieć pewne odnośnienia się do słońca albo do księżyca, ale z pewnością brak im „gwiazdzistego nieba” i „moralnego prawa”. To prawo jednak wyrasta z duszy ludzkiej, zawierającej w sobie wszystkie całkowitości, mogącej wszystko oglądać, bo sama jest wszystkim: gwiazdziste niebo i prawo moralne, także i one są w gruncie rzeczy jednym i tem samem. Uniwersalizm imperatywu kategorycz-

nego jest uniwersalizmem wszechświata, nieskończoność wszechświata jest tylko symbolem nieskończoności etycznego pragnienia.

Podobnie o mikrokosmosie w człowieku pouczał już Empedokles, potężny mag z Agrigentu:

Γαίη μὲν γὰρ γαίαν ὁπώπαμεν, ὕδατι δῶδωρ,
Αἰθέρι δ' αἰθέρα διον, ἀτὰρ πυρί πῦρ αἰδηλον,
Στοργῇ δὲ στοργήν, νείκος δὲ τε νείκει λυγρῶ.

A Plotyn: Ὁ δὲ γὰρ ἂν πῶποτε εἶδεν ὀφθαλμός ἥλιον ἡλιοειδὴς μὴ γεγεννημένος, którego Goethe w swych słynnych wierszach naśladował:

„Wär' nicht das Auge sonnenhaft,
Die Sonne könnt' es nie erblicken;
Läg' nich in uns des Gottes eig'ne Kra:
Wie könnt' uns Göttliches entrücken?“

Człowiek jest w przyrodzie jedyną istotą, tą właśnie istotą, którą ze wszystkimi rzeczami w przyrodzie wiąże pewien stosunek.

W kim ten stosunek nie jedynie względem poszczególnych, więcej lub mniej, lecz względem wszystkich rzeczy dochodzi do jasności i intensywnego uświadomienia, kto wszystko samodzielnie przemyślił, tego nazywamy genjuszem; w kim zaś istnieją możliwości takie tylko, w kim można obudzić pewne zainteresowanie się wszystkim, kto jednak sam z siebie z niewielu tylko rzeczami pozostaje w żywym związku, tego nazywamy przeciętnym człowiekiem. Leibnizowska, dość zresztą rzadko właściwie zrozumiana teoria, że także i niższa monada—w której ta czynność jest jednak nieuświadomiona—odzwierciadla świat, wyraża tylko to samo zjawisko. Człowiek genialny żyje w stanie powszechnej świadomości, która jest świadomością powszechności;

także i w przeciętnym człowieku mieści się całokształt świata, lecz niedoprowadzony do twórczej świadomości. Jeden żyje w świadomym, czynnym, inny w nieświadomym, wirtualnym związku z wszechświatem; człowiek genialny jest mikrokosmosem in actu, niegenialny in potentia. Dopiero genialna jednostka jest całym człowiekiem; co wedle możliwości, *δυναμει*, istnieje w każdym człowieku, jako człowieczeństwo, jako ludzkość (w kantowskim tego słowa znaczeniu), to żyje w genialnym człowieku, *ἐνεργεία*, w pełnym rozkwicie.

Człowiek jest wszechświatem i dlatego nie jest zawisły od innych części, jak część poszczególna, nie jest też w pewnym punkcie osadzony, jako ogniwo w łańcuchu praw przyrody, lecz przeciwnie, jest on zbiorem tych wszystkich praw i przez to właśnie wolnym, tak, jak całokształt świata będąc wszechświatem nie jest już uwarunkowany, lecz niezawisły. Człowiek więc wybitny, który niczego nie zapomina, ponieważ siebie samego nie zapomina, ponieważ zapomnienie jest funkcjonalnym wynikiem czasu, stąd niewolniczym i nieetycznym; człowiek, którego fala historycznego ruchu nie wyrzuciła ze siebie, jako swe własne dziecko i który w najbliższych falach znowu nie utonął, ponieważ wszystko, cała przeszłość i cała przyszłość mieści się już w wieczności jego duchowego spojrzenia; w którym poczucie nieśmiertelności jest najsilniejsze, gdyż i myśl o śmierci nie czyni go tchórzliwym, którego łączy najzarliwszy stosunek z symbolami czyli wartościami, gdyż ocenia on nie tylko wszystko, co w nim samym, lecz także wszystko, co poza nim istnieje, nadając mu znaczenie: — taki człowiek posiada zarazem naj-

większą wolność i największą mądrość, on to jest najmoralniejszym i tylko dlatego właśnie najboleśniej odczuwa on wszystko, co i w nim jest jeszcze nieuświadomionym chaosem i co stanowi fatum.

Jakże tedy sprawa ma się z moralnem zachowaniem się wielkich ludzi względem innych? Wszak to jest jedyna forma, w jakiej wedle popularnego mniemania, nie umiającego o niemoralności myśleć inaczej, jak tylko w związku z kodeksem karnym, moralność objawić się może! I czyż nie tu właśnie sławni mężowie okazali jaknajfatalniejsze właściwości charakteru? Czyż nie ich to właśnie musiało się obwiniać często o niegodziwą niewdzięczność, okrutną nieludzkość, nieczne uwodzicielstwo?

Dlatego, że artyści i myśliciele, im są więksi, tem bezwzględniej sobie samym wierności dochowując, zawodzą przytem oczekiwania niejednego z tych, z którymi łączą ich przemijające stosunki wspólnych zainteresowań duchowych i którzy potem w wyższym ich locie nie mogąc już im towarzyszyć, chcą samego orła przywiązać do ziemi (Lavater i Goethe) — dlatego okrzyczano ich niemoralnymi. Los Fryderyki z Sesenheim dolegał Goethemu z pewnością znacznie silniej, lubo wcale go to nie uniewinnia, niż ją samą, a jakkolwiek na szczęście przemilczał on tak niezmiernie wiele, że ludzie dzisiejsi, sądząc, iż da się on całkowicie pojąć, jako nie dbający o jutro Olimpijczyk, w gruncie rzeczy tylko te strzępy z niego mają w rękach, które nieśmiertelną część Fausta otaczają — można być pewnym, że on sam jak najdokładniej ważył miarę swej winy i w pełni ją odzalaował. A jeśli zawistni

uszczypliwce, którzy schopenhauerowskiej nauki odkupienia i istoty nirwany nigdy pojąć nie byli zdolni, zarzucając temu filozofowi, że prawa swej własności bronił aż do ostatecznych granic, to zarzuty te, istne „psie głosy“, nie zasługują na odpowiedź.

Nie podlega zatem wątpliwości, że człowiek wybitny jest względem siebie samego najmoralniejszy: nie da on sobie narzucić cudzego zapatrywania i przez to własną swą jaźń zgnieć; poglądów cudzych nie umie on biernie zaakceptować — jaźń cudza i jej zapatrywania nie przestają być dla niego zawsze czemś zgoła od własnej jego istoty różnem — a jeśli grał kiedy rolę odbiorczą, wspomnienie tego będzie dlań bolesne i straszne. Świadome kłamstwo, które kiedyś popełnił, całe swe życie będzie włóczyć ze sobą i nie otrząśnie się z niego z lekkim sercem w sposób „dionizejski“. Najgłębszego atoli cierpienia doznają ludzie genialni, jeśli w sobie ex post dopiero odkryją jakieś kłamstwo, o którym zgoła nie wiedzieli, posługując się niem wobec innych lub samych siebie okłamując. Inni ludzie, nie mając tej potrzeby prawdy co oni, gmatwają się dlatego właśnie zawsze znacznie głębiej w sieci kłamstwa i błędu i to jest powodem, dlaczego oni właściwe intencje i namietność walki wielkich indywidualności przeciwko „kłamstwu życiowemu“ tak mało rozumieją.

Człowiek dostojny, to jest ten, w którym jaźń bezczasowa doszła do władzy, stara się wartość swą wobec swej jaźni duchowej, swego moralnego i intelektualnego sumienia podnieść. I próżność jego jest przede wszystkim próżnością wobec siebie samego :

budzi się w nim potrzeba imponowania sobie samemu (myśleniem swem, działaniem i tworzeniem). Próżność ta jest właściwą próżnością geniusza, który wartość swą i swą nagrodę ma w sobie samym i któremu nie zależy w tym celu na mniemaniu innych o nim, ażeby zyskał o sobie sam na tej pośredniej drodze lepsze mniemanie. Bynajmniej nie jest ona jednak czemś chwalebne i natury ascetycznie usposobione (Pascal) doznają i wskutek tej próżności ciężkich cierpień, nie mogąc atoli jej nigdy w sobie przewyciężyć. Próżności wewnętrznej towarzyszyć będzie zawsze próżność wobec innych: obie one jednak toczą ze sobą walkę.

Czy atoli tak silnem podkreśleniem obowiązków wobec siebie samego nie uchybia się obowiązkom wobec innych ludzi? Czy nie pozostają te i tamte w takim stosunku wzajemnym ze sobą, że kto zachowuje wierność samemu sobie, musi nieuchronnie łamać ją wobec innych?

Bynajmniej. Jak prawda jest tylko jedna, tak też istnieje jedna tylko potrzeba prawdy — Carlyle'a „Sincerity“ — którą się albo ma zarówno wobec siebie samego, jak też wobec świata, albo się jej w ogólności całkiem nie ma, nigdy jednak nie da się ona rozdzielić i niema obowiązkowości wobec świata bez wierności względem siebie, jak niema wierności względem siebie bez obowiązkowości wobec świata: tak w ogólności jedyny tylko obowiązek istnieje i jedna tylko moralność. Postępujemy moralnie lub niemoralnie wogóle, a kto wobec siebie samego jest moralny, jest też nim wobec innych.

Tymczasem o niczem innem nie szerzy się tak fałszywych wyobrażeń jak o tem, co jest moralnym wobec bliźniego obowiązkiem i w jaki sposób czyni mu się rzeczywiście zadość.

Pomijam tu narazie teoretyczne systemy etyki, które dobro społeczności ludzkiej uważają za zasadę, mającą służyć za podstawę wszelkich czynów i którym bądź co bądź chodzi nie tyle o uczucia konkretne podczas działania i o pierwiastki doświadczalne w pobudce tkwiące, ile o powagę pewnego ogólnego moralnego punktu widzenia, przez co też stoją one znacznie wyżej od wszelkich systemów moralności na sympatji opartych. Te systemy pomijawszy, pozostaje nam tylko popularny pogląd, określający moralność człowieka po największej części wedle stopnia jego „litościwości, jego „dobroci“. Z pośród filozofów istotę i źródło wszelkiego etycznego zachowania się widzieli w współczuciu Hutcheson, Hume i Smith; schopenhauerowska moralnością litości teoria ta nadzwyczajnie pogłębiła została. Schopenhauera „rozprawa konkursowa o podstawie moralności“ ukazuje atoli już w samym swem motto: „moralność głosić jest łatwo, uzasadnić trudno“ podstawowy błąd wszelkiej etyki na sympatji opartej: przeocza ona mianowicie zawsze, że etyka nie jest wiedzą przedmiotowo opisową, ale normatywną dla działalności człowieka. Kto się naigrawa z usiłowań, podejmowanych celem dokładnego uchwycenia tego, o czem wewnętrzny głos w człowieku faktycznie mówi i zbadania na pewno powinnośc jego, rezygnuje z wszelkiej etyki, która z istoty swego pojęcia jest właśnie nauką o wymogach, jakie człowiek sobie i innym stawia, a nie ma opisywać, jak on,

wymogom tym zadość czyniąc lub je zagłuszając, rzeczywiście postępuje. Nie to, co się dzieje, ale to, co dźiać się powinno, jest przedmiotem nauki moralności, wszystko inne należy do psychologii.

Wszystkie usiłowania roztopienia etyki w psychologii przeocząją, że każdy ruch duchowy w człowieku przez niego samego jest szacowany pod względem wartości i że miara, wedle której się jakieś zjawisko ocenia, sama zjawiskiem być nie może. Miernikiem tym może być tylko jakaś idea lub jakaś wartość, która całkowicie nigdy się nie urzeczywistnia i z żadnego doświadczenia nie da się wywieść, gdyż ostałaby się, choćby się jej nawet całe doświadczenie sprzeciwiało. Postępowanie moralne może więc być tylko postępowaniem w myśl idei. Mamy przeto do wyboru takie tylko teorie moralności, które ustanawiają idee, maksymy postępowania, a z tego punktu widzenia wchodzą w rachubę dwa tylko kierunki: etyczny socjalizm czyli „etyka społeczna“, której twórcami byli Bentham i Mill, a którą później gorliwi importerzy przenieśli także na kontynent, do Niemiec i Norwegji nawet, i etyczny indywidualizm, jaki głosi chrześcijaństwo i idealizm niemiecki.

Drugi błąd wszelkiej etyki na współczuciu opartej polega na tem, że szuka ona podstaw moralności, z których wywieśćby ją chciała, podczas gdy moralność z istoty swego pojęcia powinna stanowić ostateczną podstawę ludzkiego postępowania i dlatego sama nie daje się już czemś innem wyjaśniać, ani z czegoś innego dedukować, a będąc celem sama w sobie nie może być z czemś innem poza nią, jak środek i cel, łączona. O ile jednak powyższy

postulat moralności na sympatji opartej z zasadą owej czysto deskrypcyjnej, a przeto z konieczności relatywistycznej etyki się schodzi, oba te błędy są w gruncie rzeczy jednym, a uroszczeniom ich trzeba zawsze przeciwstawiać, że choćby kto całą dziedzinę wszystkich przyczyn i skutków przetrząsał, nie znajdzie w niej nigdzie pojęcia celu najwyższego, które istotnem jest tylko dla wszystkich postępów moralnych. Pojęcie celu nie da się wyjaśnić związkiem przyczynowym, przeciwnie stosunek przyczyny i skutku wyklucza je raczej. Cel rości sobie prawo tworzenia działania, wedle niego mierzy się wyniki i skutki wszelkiego czynu i uważa się je nawet i wtedy jeszcze za niewystarczające, gdy wszystkie choćby czynniki, które czyn ten określają, dobrze są znane i nacisk swój choćby nie wiedzieć jak silny w świadomości wywierają. Obok państwa przyczyn istnieje państwo celów, a państwo to jest państwem człowieka. Całkowita wiedza o tem co istnieje, jest zbiorowością przyczyn, całkowita wiedza o tem, co być powinno, zbiorowością celów, kulminującą w ostatecznym celu najwyższym.

Kto zatem litość ze stanowiska etyki dodatnio ocenia, osądza moralnie nie czyn, lecz tylko afekt (który z istoty natury swej nie podlega celowym punktom widzenia). Litość może być zjawiskiem etycznym, oznaką i wyrazem czegoś etycznego, ale aktem etycznym nie jest tak samo, jak nim nie jest wstyd, albo duma; należy ściśle rozróżniać akt etyczny od zjawiska etycznego. Przez akt nie należy nic innego rozumieć, jak świadome potwierdzenie idei czynem: zjawiska etyczne są bezwiednymi, mimowolnymi oznakami trwałego skierowania się uczu-

cia, ku idei. Tylko w rozterce motywów idea bierze bezustanny udział swą interwencją, starając się wpłynąć na nią rozstrzygająco; w empirycznym zmieszaniu uczuć etycznych z nieetycznymi, litości z uciechą nad cudzem nieszczęściem, poczucia własnej godności z zarozumiałością niema jeszcze ani śladu postanowienia. Litość jest może najpewniejszą oznaką usposobienia, ale nie jest celem żadnego działania. Tylko wiedza o celu, świadomość wartości, w przeciwieństwie do wszelkiej bezwartościowości, konstituuje moralność; pod tym względem słuszność ma Sokrates w przeciwieństwie do wszystkich filozofów, jacy po nim nastąpili (tylko Plato i Kant przyłączyli się do jego poglądu). Uczucie analogiczne, jakim jest zawsze litość, nie ma prawa do szacunku, ale conajwyżej budzi sympatię.

Trzeba zatem dopiero dać odpowiedź na pytanie, o ile człowiek może się zachować etycznie wobec innych ludzi.

Nie jest takim zachowaniem się nieproszona pomoc, wdzierająca się w cudzą samotność i przełamująca granice, jakimi bliźni się otacza, ale uszanowanie, z jakim się tych granic przestrzega; nie litość, ale szacunek. Jak to Kant pierwszy powiedział, żadnej istocie na świecie nie okazujemy uszanowania prócz człowiekowi. Jest to jego ogromnem odkryciem, że żaden człowiek sobą samym, swą jaźnią duchową, człowieczeństwem (to jest nie społecznością tysiąc pięciuset milionów ludzi, ale ideą duszy ludzkiej) we własnej swej osobie lub w osobie drugiego nie może się posługiwać, jako środkiem do celu. W całym wszechstworzeniu wszystko, czego się tylko chce i nad czem się ma

jakaś władzę, może także służyć za środek tylko; jedynie człowiek, a z nim każde rozumne stworzenie jest celem samym w sobie.

Czem jednak wyrażam człowiekowi pogardę i jak mu okazuję swój szacunek? Pierwsze tem, że go ignoruję, drugie tem, że się nim zajmuję. Jak go użyję za środek do celu, a jak w nim uczczę coś, co jest celem samo w sobie? Tak oto, że albo go uważam tylko za ogniwo w łańcuchu okoliczności, z którym w postępowaniu swem muszę się liczyć, albo go staram się poznać. Dopiero kiedy się kimś interesujemy, niekoniecznie mu to zaraz okazując, kiedy o nim myślimy, kiedy postępowanie jego pojąć, losowi jego współczuć, jego samego zrozumieć się staramy, dopiero w ten sposób, tylko w ten sposób możemy bliźniego swego uczcić. Tylko kto nie stając się wskutek własnej swej niedoli samolubem, zapomina o wszelkich drobiazgowych z bliźnim swarach i stłumiwszy gniew przeciwko niemu, stara zrozumieć się go, ten tylko jest prawdziwie bezinteresownym wobec swego bliźniego; i postępuje moralnie, wtedy właśnie pokonywa bowiem najsilniejszego wroga, który zrozumienie bliźniego najdłużej utrudnia: miłość własną.

Jak się tedy człowiek wybitny pod tym względem zachowuje?

On, który największą liczbę ludzi rozumie, mając najbardziej uniwersalną umysłowość, który z wszechświatem w najściślejszych żyje stosunkach, ogarnięty najsilniejszą namietnością przedmiotowego jego poznania, on też, jak nikt inny względem swego bliźniego moralnie będzie postępował. W istocie

też, nikt tak wiele i tak intensywnie nie myśli o innych ludziach, jak on (ba, o wielu nawet wtedy, kiedy ich zaledwo raz jeden powierzchownie ujrzy) i nikt nie stara się tak żywo, jak on, przedstawić ich sobie z całą jasnością, jeśli nie ma jeszcze w sobie dostatecznie wyraźnego i intensywnego ich obrazu. Mając za sobą sam w nieprzerwanej ciągłości życiem jaźni swej wypełnioną przeszłość, będzie on się także trapił myślami o tem, jaki był los innych ludzi w czasie, zanim on ich jeszcze poznał. Myśląc o nich, idzie on za najsilniejszym głosem wewnętrznej swej istoty, stara się bowiem przez nich dojść do jasnego pojęcia, do prawdy o sobie. Tu ukazuje się właśnie, że wszyscy ludzie są uczestnikami idealnego świata duchowego, w którym niema ciasnego egoizmu lub altruizmu. Tak tylko można wyjaśnić, że wielcy mężowie nawiązują stosunki żywsze i na głębszem zrozumieniu oparte nie tylko z ludźmi żyjącymi o b o k nich, ale również i z wszystkimi osobistościami historycznymi, które żyły przed nimi; tylko to jest przyczyną, dlaczego wielki artysta o tyle lepiej i intensywniej pojmuje także indywidualność historyczną od czysto naukowego historyka. Niema wielkiego męża, któryby nie pozostawał w stosunku osobistym do Napoleona, Platona i Mahometa. W ten sposób mianowicie objawia on także i tym swój szacunek i prawdziwy pietyzm, którzy żyli przed nim. A jeśli nieraz się zdarza, że ktoś, obcując z artystami, doznaje przykrości, że potem w jakimś z dzieł ich siebie odnajdzie; jeśli z tego powodu tak często podnoszą się zażalenia przeciwko poecie, że mu wszystko służy za model, to niewątpliwie uczucie przykrości

w sytuacji takiej bardzo jest zrozumiałe; ale artysta, który z małostkowością ludzi się nie liczy, nie popełnia przez to żadnej zbrodni: na swój sposób nie-refleksyjnego przedstawiania, stwarzania na nowo świata dokonał on na nim twórczego aktu zrozumienia, niema zaś między ludźmi stosunku bardziej, niż ten czystego.

Bardzo prawdziwe raz już przytoczone słowa Pascala nabierają także sensu bardziej zrozumiałego: *A mesure qu'on a plus d'esprit, on trouve qu'il y a plus d'hommes originaux. Les gens du commun ne trouvent pas de différences entre les hommes*". — Z tem wszystkiem wiąże się dalej, że im kto wyżej stoi, tem większe stawiać sobie będzie wymagania co do rozumienia cudzych wypowiedzeń, podczas gdy człowiek bez zdolności natychmiast sądzi, że coś już rozumie, często zaś zgoła nawet nie czuje, że jest tu coś, czego nie rozumie, a odrębności cudzego ducha, odzywiającego się doń z dzieła sztuki czy filozofji, odczuwać nie umie; i tak, conajwyżej w stosunku z rzeczami pozostając, do rozmyślań nad samym twórcą wznieść się nie zdoła. Człowiek wybitny, dosiegający najwyższego szczybla świadomości, nie prędko utożsamia coś, co czyta, z sobą i z swoim zapatrywaniem, podczas gdy przy mniejszej jasności umysłu rzeczy bardzo odmiennie zlewając się z sobą, jeanakowemi wydawać się mogą.

Człowiek genialny, to ten, w którym jaźń własna doszła do świadomości. Stąd też jemu najprędzej unaocznia się odrębność innych ludzi, stąd odczuwa on w drugim człowieku i wtedy także jaźń jego, gdy ta wogóle nie była jeszcze na tyle silna,

aby jemu samemu się uświadomić. Ale ten tylko, kto czuje, że drugi człowiek także jest jaźnią, monadą i własnym centrem świata z odrębnym sposobem myślenia i odczuwania, z odrębną, swoistą przeszłością, ten będzie sam przez się już niezdolny do posługiwania się bliźnim wyłącznie, jako środkiem do celu i w myśl kantowskiej etyki będzie on także w bliźnim (jako uczestniku idealnego świata duchowego) dostrzegać, przeczuwać, przeto czcić osobowość, a nie gorszyć się nią tylko i irytować. Podstawowym warunkiem psychologicznym wszelkiego altruizmu praktycznego jest więc teoretyczny indywidualizm.

Tu jest zatem most, prowadzący od zachowania się moralnego względem siebie samego, do moralnego postępowania względem innych, ów łącznik, którego brak w filozofii Kanta Schopenhauer uważał niesłusznie za błąd jej i niemoc, wypływającą nieuchronnie z zasadniczych jej podstaw.

Próbie tego łatwo zrobić. Zbrodniarz tylko zbydłcony i obłąkaniec nie interesują się zgoła nikim, ani jednym choćby z pośród swych bliźnich, żyją, jakby sami byli na świecie, nie czując całkiem obecności kogoś obcego. Praktyczny solipsyzm zatem nie istnieje: kto własne ja posiada, widzi też osobowość w bliźnim i tylko gdy ktoś (logiczny i etyczny) rdzeń swej istoty postrada, nie reaguje już też i na innego człowieka tak, jak gdyby on był człowiekiem, istotą z całkiem własną osobowością. Ja i ty są to poprostu pojęcia stojące w stosunku wzajemności do siebie.

Człowiek dochodzi do najsilniejszej samowiedzy, jeśli jest razem z innymi ludźmi. Dlatego jest on w obecności innych osób dumniejszy, niż gdy jest sam, i w godzinach samotności dopiero powściąga swą pychę.

A wreszcie: kto siebie zabija, zabija równocześnie świat cały; a kto drugiego morduje, dopuszcza się przez to właśnie najcięższej zbrodni, że siebie w nim morduje. Tak więc ów solipsyzm w praktyce jest niedorzecznością i należałoby go raczej nazwać nihilizmem; jeśli żadne ty nie istnieje, nie ma też napewno i żadnego ja, i nie zostaje potem wogóle — nic.

Idzie tu przede wszystkim o psychologiczne usposobienie, które posługiwanie się innym człowiekiem jako środkiem do celu, czyni niemożliwym. A pod tym względem okazuje się: kto swą osobistość, swe ja czuje, czuje ją także w innych. Dla niego Tat-twam-asi nie jest piękną hipotezą tylko, lecz rzeczywistością. Najwyższy indywidualizm jest najwyższym uniwersalizmem.

Ciężkiego zatem błędu dopuszcza się zaprzeczaniem podmiotu Ernest Mach, sądząc, że dopiero po wyrzeczeniu się własnego ja można mieć nadzieję na postępowanie etyczne „wykluczające pogardę cudzego ja i przecenianie własnego”. Okazuje się właśnie, dokąd brak własnej jaźni w obchodzeniu się z bliźnim prowadzi. Jaźń jest także podstawowym warunkiem wszelkiej moralności społecznej. Względem jakiegoś węzłowego tylko punktu „elementów” nie będę się mógł nigdy, czysto psychologicznie biorąc, zachowywać etycznie. Jako ideał można to wypowiedzieć; z praktycznym

postępowaniem atoli niema to zgola nic wspólnego, nie może mu też służyć za normę, eliminując psychologiczny warunek wszelkiego urzeczywistnienia idei moralnej, podczas gdy nakaz moralny właśnie psychologicznie istnieje.

Wprost przeciwnie chodzi właśnie o to, aby każdemu człowiekowi uświadomić, że posiada on wyższą jaźń, duszę i że także inni ludzie duszę posiadają. (Do tego przeważna część ludzi potrzebować będzie zawsze duszpasterza). Z tem dopiero stosunek etyczny do bliźniego powstaje i rzeczywiście, istnieje.

Stosunek ten atoli w człowieku genialnym w sposób zgola jedyny się realizuje. Nikt tak, jak on, nie zdoła cierpieć razem z ludźmi, a przez to — i z powodu ludzi, z którymi żyje. Albowiem w pewnem znaczeniu człowiek niezawodnie tylko „przez litość staje się wiedzący“. Jakkolwiek litość sama nie jest jasną, abstrakcyjno-pojęciową lub konkretnie symboliczną wiedzą, jest ona przecież najsilniejszym bodźcem do wszelkiej wiedzy. Tylko doznając cierpień pod naporem rzeczy genjusz je pojmuję, tylko cierpiąc wraz z ludźmi genjusz ich rozumie. A genjusz cierpi najwięcej, współczując ze wszystkim; najwięcej cierpienia atoli zadaje mu własna jego litość.

W jednym z poprzednich rozdziałów staraliśmy się przedstawić genialność, jako czynnik, wynoszący dopiero właściwie człowieka ponad zwierzę, z tem zaś w związku wymieniliśmy fakt, że tylko człowiek ma historję (która tkwiącą we wszystkich ludziach i tylko ilościowo różną genialnością da się wyjaśnić). Tutaj musimy jeszcze raz do tej kwestji powrócić.

Genjalność łączy się z ożywioną działalnością duchowego podmiotu. Historia zaś przejawia się tylko w społecznej dziedzinie, w „objektywnym duchu”; indywidualna, jako takie, są wiecznie jednakowe i nie postępują tak jak on (są one ahistoryczne). Widzimy tu więc, jak się nici nasze zbiegają, niespodzianie przynosząc wyniki. Jeśli bowiem — a sądzę, że się nie mylę — bezczasowa osobowość człowieka jest także warunkiem wszelkiego prawdziwie etycznego postępowania i wobec bliźniego, indywidualność jest więc wymogiem społecznego usposobienia, to tem samem też jest jasne, dlaczego „animal metaphysicum” i „ζῷον πολιτικόν”, istota genjalna i twórca historii są jednym, jedną i tą samą istotą, mianowicie człowiekiem. A tak też godzimy stary spór o to, co było pierwsze, indywidualum, czy społeczność: oboje bowiem istnieją razem i współcześnie.

W ten sposób zostało tu, jak sądzę, pod każdym względem wykazane, że genjalność jest wogóle wyższą moralnością. Człowiek wybitny, to nie tylko ten, który sobie samemu jest najwierniejszy, który niczego o sobie nie zapomina, któremu błąd i kłamstwo „najbardziej” są znienawidzone i nie do zniesienia; jest on także najbardziej uspołecznionym, a będąc najbardziej samotnym jest zarazem najbardziej towarzyskim człowiekiem. Genjusz jest wogóle wyższą formą bytu, nie tylko pod względem intelektualnym, ale i moralnym. Genjusz ujawnia właściwie całkowitą ideę człowieka. Zwiastuje on, czym człowiek jest: podmiotem, którego przedmiotem jest cały wszechświat, i ustanawia to raz na zawsze po wieczne czasy.

Nie trzeba się dawać w błąd wprowadzać. Świadomość i tylko świadomość jest sama w sobie moralna, wszystko co nieświadome jest niemoralne, a wszystko co niemoralne jest nieświadome. „Genjusz niemoralny“, „wielki zły człowiek“ jest przeto potworem z bajki; przez wielkich ludzi w pewnych momentach ich życia, jako możliwość wymyślony, odgrywa on, następnie, wbrew woli swych twórców rolę straszydła, którem natury bojaźliwe i niewytrzymałe straszą siebie i inne dzieci. Niema zbrodniarza, któryby sprostął czynowi swemu, któryby był zdolny czuć i mówić jak Hagen w „Zmierzchu bogów“ u zwłok Zygfrida: „Tak więc, ja go zabiłem, ja, Hagen, zabiłem go na śmierć“. Napoleona i Bacona z Verulam, których się przytacza, jako instancje przeciwne, zbyt się pod względem intelektualnym przecenia lub fałszywie interpretuje. Nitschemu zaś w tych rzeczach — gdy zaczyna mówić o Borgji, jak najmniej ufać należy. Koncepcja pierwiastka — djabolicznego, Antychrysta, Arymana, „żywiolu radykalnie złego w naturze ludzkiej“ jest bądź co bądź potężna. Z genjuszem jednak ma ona tyle tylko wspólnego, że jest poprostu jego przeciwieństwem. Jest ona fikcją, zrodzoną w godzinach, w których wielcy ludzie rozstrzygającą staczali walkę ze zbrodniarzem w sobie.

Apercepcja uniwersalna, świadomość powszechna, zupełna beczasowość jest ideałem także dla ludzi „genjalnych“; genjalność jest imperatywem wewnętrznym, a nie faktem, w jakimś człowieku całkowicie kiedyś ziszczonym. Dlatego też człowiek „genjalny“ — nie tak prędko — on może ostatni właśnie — jest w stanie o sobie tak poprostu

powiedzieć: „ja jestem genjusz“. Genjalność bowiem, z istoty swego pojęcia, jest niczem innym, jak całkowitem ziszczeniem idei człowieka i dlatego genjusz jest czemś, czym każdy człowiek byćby powinien i czym stać się musi być w zasadzie dla każdego człowieka możliwe. Genjalność jest najwyższą moralnością, a przeto powinnością każdego. Genjuszem staje się człowiek najwyższym aktem woli, przytakując w sobie całemu wszechświatu. Genjalność jest czemś, czego się „ludzie genialni“ podejmują; jest to najwyższe zadanie i duma najwyższa, największe nieszczęście i najwznioślejsze uczucie, jakiego człowiek wogóle doznać może. Jakkolwiek brzmi to paradoksalnie: genialny jest człowiek, jeśli nim być chce.

Na to, oczywiście, powiedzą: bardzo wielu ludzi chciałoby bardzo chętnie być „oryginalnymi genjuszami“, a przecież wszystkie ich pragnienie nic im tu nie pomogą. Gdyby jednak ci ludzie, „którzyby bardzo chętnie chcieli“, mieli lepsze wyobrażenie o tem, co właściwie znaczy to, czego tak pragną, gdyby zrozumieli, że genjalność jest identyczna z uniwersalną odpowiedzialnością — a zanim coś komu całkiem nie jest jasne, może on tego tylko pragnąć, a nie chcieć — to prawdopodobnie wyrzekliby się po największej części genjalności.

Nie z innych też powodów — głupcy wierzą potem w skutki grzechów miłości lub w rdzeniowe zwyrodnienie neurastenika — tak wielu ludzi genialnych popada w obłąd. Są to ci, którym zbyt za ciężył mózół dźwigania całego świata na swych barkach, jak Atlas, i dlatego zawsze mniejsze, mniej

wybitne, a nigdy najwybitniejsze, nasilniejsze, duci
Im wyżej atoli człowiek stoi, tem niżej upaść może
wszelki genjusz jest przewyciężeniem nicości, mro-
ków, ciemności, a gdy wyrodnieje i podupada, to
tem czarniejszą jest noc, im światło przedtem było
promienniejsze. Genjusz zatem, który obłąkanym się
staje, nie chce już być genjuszem; chce on
zamiast moralności — szczęścia. Wszelki bowiem
obłęd pochodzi tylko z niezdolności do wytrzymania
cierpień, związanych nieuchronnie z każdą świado-
mością; i dlatego Sofokles określił najgłębiej mo-
tyw, dla którego człowiek może także chcieć swego
obłędu, wkładając w usta Ajasa, którego duch po-
tem popada w omroczenie, słowa:

ἐν τῷ φρονεῖν γὰρ μηδὲν ἡδιστος βίος.

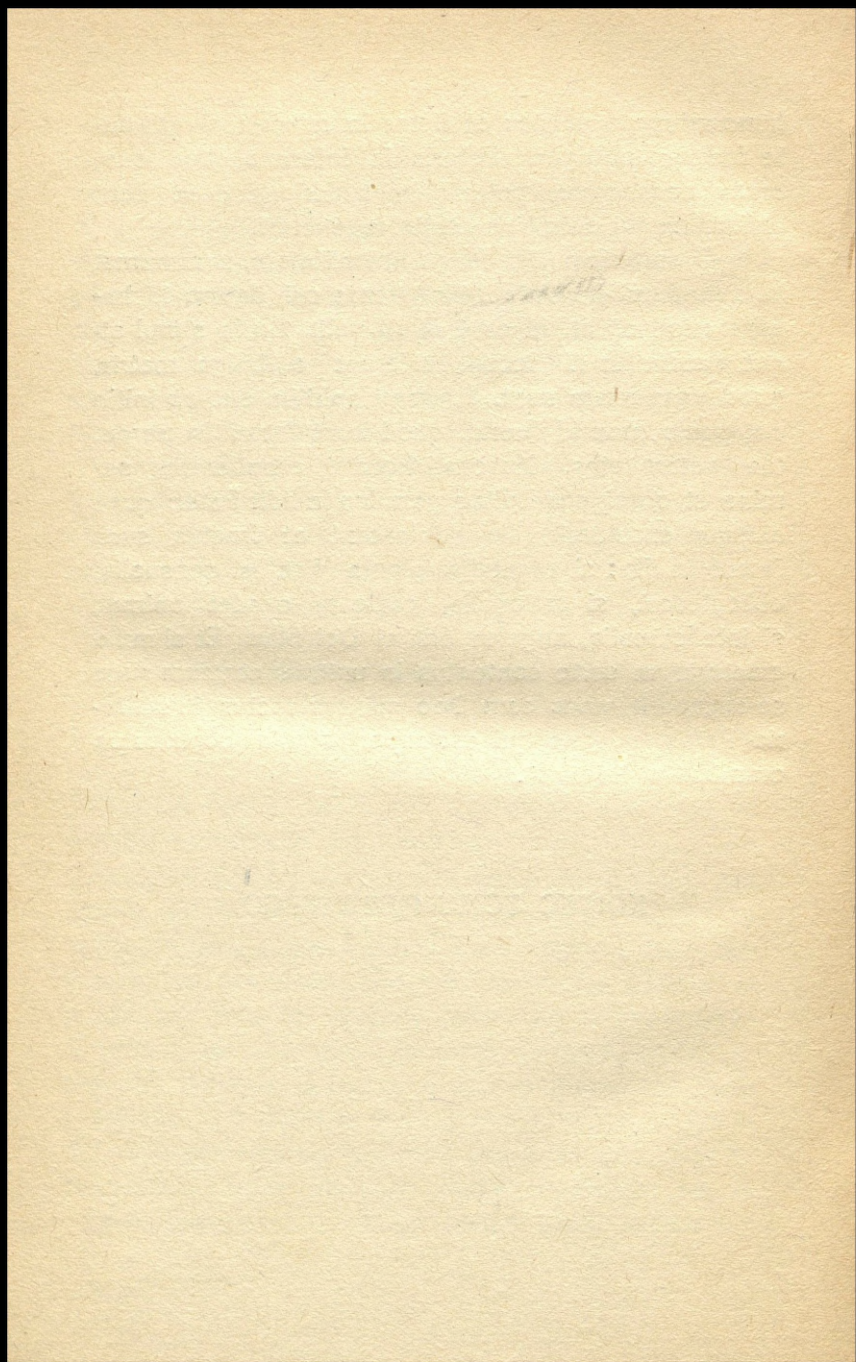
Kończę rozdział ten głębokimi, najwznioślejsze
wzloty kantowskiego stylu przypominającemi sło-
wami Jana Pico de Mirandoli, do których zrozumie-
nia ze swej strony tu nieco może się przyczynilem.
W mowie swej o „godności człowieka“ tak każe on
bóstwu przemawiać do człowieka:

„Nec certam sedem, nec propriam faciem, nec
munus ullum peculiare tibi dedimus, o Adam: ut
quam sedem, quam faciem, quae munera tute op-
taveris ea pro voto, pro tua sententia, habeas et
possideas. Definita caeteris natura intra praescriptas
a nobis leges coercetur; tu nullis angustiiis coercitus,
pro tuo arbitrio in cuius manu te posui tibi illam
praefinies. Medium te mundi posui, ut circumspice-
res inde commodius quicquid est in mundo. Nec te
caelestem, neque terrenum, neque mortalem, neque
mortalem fecimus, ut tui ipsius quasi arbitrarius

honorariusque plastes et fictor in quam malueris tute formam effingas. Poteris in inferiora quae sunt bruta degenerare, poteris in superiora quae sunt divina, ex tui animi sententia regenerari.

O summam Dei Patris liberalitatem, summam admirandam hominis felicitatem; cui datum id habere quod optat, id esse quod velit. Bruta simul atque nascuntur id secum afferunt e bulga matris, quod possessura sunt. Supremi spiritus aut ab initio aut paulo mox id fuerut, quod sunt futuri in perpetuas aeternitates. Nascenti homini omniferaria semina et omnigenae vitae germina indidit Pater; quae quisque excoluerit, illa adolescent et fructus suos ferent in illo: si vegetalia, planta fiet, si sensualia, obbrutescet, si rationalia, caeleste evadet animal, si intellectualia, angelus erit et Dei filius. Et si nulla creaturarum sorte contentus in unitatis centrum suae se receperit, unus cum Deo spiritus factus, in solitaria Patris caligine qui est super omnia constitutus omnibus antestabit“.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



SPIS RZECZY

TOMU PIERWSZEGO.

	Strona
Przedmowa do wydania pierwszego	5—12
Część pierwsza (przygotowawcza): Wieloro-	
kość płciowa.	13—130
Wstęp	15—19
O rozwoju pojęć w ogólności i w szczególności. Mężczyzna i kobieta. Przeciwnieństwa. Przejścia stopniowe. Anatomja i właściwości przyrodzone. Brak pewności w dziedzinie morfologicznej.	
Rozdział I: „Mężczyźni i kobiety“	20—28
Brak różnicowania embrjonalnego. Rudymenty u dorosłych. Stopnie „gonochoryzmu“. Zasada form pośrednich M i K. Dowody. Konieczność posługiwania się typami. Streszczenie. Najdawniejsze przeczecucia.	
Rozdział II: Arrhenoplazma i thelyplazma .	29—51
Umiejscowienie płci. Poparcie poglądu Steenstrupa. Znamiona płciowe. Wewnętrzny proces wydzielniczy. Idjoplazma—arrhenoplazma—thelyplazma. Rozbieżność nacechowania płciowego. Dowody z bezskutecznej kastracji. Przeszczepianie gruczołów płciowych i transfuzja krwi. Organoterapia. Różnice indywidualne między pojedynczymi komórkami. Przyczyna pośrednich form płciowych. Mózg. Nadwyżka urodzin chłopców. Patologia porównawcza.	
Rozdział III: Prawa pociągu płciowego . .	52—79
„Gust“ płciowy. Prawdopodobieństwo prawdziwości. Formuła pierwsza. Pierwsze jej znaczenie. Dowody. Różnosłupkowość. Interpretacja jej. Świat	

zwierzęcy. Dalsze prawa. Formuła druga. Wpływ demokratyczny? Analogie i różnice. „Powinowactwo z wyboru”. Wiarołomstwo i małżeństwo. Następstwa dla potomstwa.

Rozdział IV: Homoseksualizm i pederastja . 80—91

Homoseksualizm jako pośrednie formy płciowe. Właściwość wrodzona czy nabyta, normalna czy chorobliwa? Specjalny wypadek prawa pociągu płciowego. Homoseksualizm tkwiący we wszystkich ludziach. Przyjaźń i płciowość. Zwierzęta. Projekt terapii. Homoseksualizm, ustawa karna i etyka. Różnica między homoseksualizmem i pederastją.

Rozdział V: Charakterologia i morfologia . 92—112

Zasada pośrednich form płciowych, jako kardynalna zasada podstawowa psychologii indywidualnej. Współczesność, czy perjodyczność dwupłciowości? Metoda badania psychologicznego. Przykłady. Zindywidualizowanie wychowania. Wychowanie uniformujące. Parallelizm morfologiczno-charakterologiczny. Fizjognomika i zasada psychofizyki. Metodyka nauki o odmianach. Nowe postawienie zagadnienia. Morfologia deduktywna. Współrzędność i pojęcie funkcjonalności. Widoki na przyszłość.

Rozdział VI: Kobiety emancypowane . . 113—130

Kwestja kobieca. Potrzeba emancypacji i męskość. Emancypacja i homoseksualizm. Gust płciowy kobiet emancypowanych. Szczegóły fizjognomiczne o nich. Pozostała reszta znakomitości kobiecych. K i emancypacja. Reguła praktyczna. Męskość wszelkiego genjuszu. Ruch kobiecy w historii. Perjodyczność ruchu. Biologia i pogląd na dzieje. Przyszłość ruchu kobiecego. Jego zasadniczy błąd.

Część druga (główna): Typy płciowe . . 131—313

Rozdział I. Mężczyzna i kobieta . . . 133—143

Dwupłciowość i jednopłciowość. Jest się męż-

czynną albo kobietą. Problematyczność tego bytu i główna trudność charakterologii. Eksperyment, analiza wrażeń i psychologja. Dilthey. Pojęcie charakteru empirycznego. Jaki cel ma i jakiego nie ma psychologja Charakter i indywidualność. Zagadnienie charakterologii i zagadnienie płci.

Rozdział II: Seksualizm męski i żeński . 144—157

Zagadnienie psychologii kobiecej. Mężczyzna jako psycholog kobiety. Różnice w „popędzie płciowym”. W popędzie „kontrektacji” i „detumescencji”. Intensywność i rola czynna. Pobudliwość płciowa kobiety. Większa szerokość życia płciowego w K. Różnice płciowe w odczuwaniu płciowości. Odosobnienie płciowości męskiej pod względem miejsca i czasu. Różnice w stopniu uświadomienia płciowości.

Rozdział III: Świadomość męska i żeńska 158—175

Wrażenie i uczucie. Stosunek ich. Podział Avenariusowski na „elementy” i „charaktery”. Podział ten nie da się jeszcze przeprowadzić w stadium najwcześniejszem. Stosunek odwrotny między wyrazistością i charakterystyką. Procesy klarowania. Przeczucia. Stopnie zrozumienia. Zapominanie. Torowanie drogi w włóknach nerwowych i artykulacja (rozcłónkowanie). Pojęcie „henidy”. Henida jako najprostszy fakt psychiczny. Różnica płciowa pod względem rozcłónkowania treści. Wrażliwość. Stanowczość sądu. Rozwinięta świadomość jako męska cecha płciowa.

Rozdział IV: Uzdolnienie i genialność . . 176—193

Genjusz i talent. Genialność i bystrość. Metoda. Zrozumienie dla większej ilości ludzi. Co znaczy: pewnego człowieka rozumieć? Większe skomplikowanie genjusza. Okresy życia duchowego. Definicja nie poniża ludzi wybitnych. Rozumienie i spostrzeganie. Wewnętrzny związek mię-

dzy światłem i jawą świadomości. Ostateczne ustalenie warunków rozumienia. Ogólniejsza świadomość genjusza. Największe jego oddalenie od stanu henidalnego; a więc wyższy stopień męskości. Istnieją tylko genjusze uniwersalni. K niegenjalna i bez kultu bohaterów. Uzdolnienie i pięć.

Rozdział V: Uzdolnienie i pamięć . . . 173—194

Artikulacja wrażeń i możność ich odtworzenia. Pamięć przeżyć jako oznaka uzdolnienia. Wspomnienie i apercpcja. Zastosowanie i wnioski. Zdolność porównywania i zestawiania. Uzasadnienie męskości muzyki. Rysunek i barwa. Stopnie genjalności; stosunek genjusza do człowieka genjalnego. Autobiografia. Nieodporne urojenia. Pamięć własnych utworów. Pamięć ciągła i pozbawiona ciągłości. Jedność samowiedzy biograficznej istnieje tylko u M. Charakter wspomnień kobiecych. Ciągłość i picyzm. Przeszłość i los. Przeszłość i przyszłość. Potrzeba nieśmiertelności. Dotychczasowe psychologiczne próby wytłomaczenia. Prawdziwe jej korzenie. Rozwój wewnętrzny człowieka, aż do śmierci. Psychologia ontogenetyczna czyli biografia teoretyczna. Brak wszelkiej potrzeby nieśmiertelności u kobiety. — Dalszy krok do głębszej analizy związku z pamięcią. Pamięć i czas. Postulat bezczasowości. Wartość jako ponadczasowość. Pierwsze prawo teorii wartości. Dowody. Indywiduacja i trwałość jako czynniki konstytutywne dla wartości. Wola wartości. Potrzeba nieśmiertelności, jako jej szczególny wypadek. Potrzeba nieśmiertelności schodzi się u genjusza z jego bezczasowością wskutek uniwersalnej jego pamięci i wiekuiste trwanie jego dzieł. Genjusz i dzieje. Genjusz i naród. Genjusz i język. „Mężowie czynu” i „mężowie nauki” nie są uprawnieni do tytułu genjusza: prawo to służy filozofom, (założycielom religii) i artystom.

Rozdział VI: Pamięć, logika, etyka . . . 241—259

Psychologia i psychologizm. Powaga pamięci. Teorie pamięci. Teoria wprawy i asocjacyjna. Mieszanie pamięci z rozpoznawaniem. Pamięć jest właściwością człowieka tylko. Znaczenie moralne pamięci. Kłamstwo i poczucie odpowiedzialności. Przejście do logiki. Pamięć i zasada tożsamości. Pamięć i zasada dostatecznej racji. Alogiczność i amoralność kobiety. Sumienie intelektualne i moralne: jaźń intelligibilna.

Rozdział VII: Logika, etyka i jaźń . . 260—278

Krytycy pojęcia jaźni: Hume, Lichtenberg, Mach. Jaźń Machowska i biologia. Indywiduacja i indywidualność. Logika i etyka jako dowody istnienia jaźni. — Logika. Zasady tożsamości i sprzeczności. Zagadnienie pożytku ich i znaczenia. Identyczność aksjomatów logicznych z funkcją tworzenia pojęć. Definicja pojęcia logicznego jako norma esencjonalności. Aksjomaty logiczne są właśnie taką normą esencjonalności, która stwierdza egzystencję pewnej funkcji. Tą egzystencją jest byt absolutny czyli byt jaźni absolutnej. Kant i Fichte. Logiczność jako norma. Wolność myśli obok wolności woli. — Etyka. Poczucie odpowiedzialności. Stosunek etyki do logiki. Odmienność dowodu z logiki na egzystencję podmiotu od dowodu z etyki. Zaniedbanie Kanta. Jego rzeczowe i osobiste powody. Przyczynek do psychologii etyki kantowskiej. Kant i Nietzsche.

Rozdział VIII: Zagadnienie jaźni i genialność 279—313

Charakterologia i wiara w jaźń. Wydarzenie jaźni: Jean Paul, Novalis, Schelling. Wydarzenie jaźni i pogląd na świat. Samowiedza i zarozumiałość. Pogląd geniusza należy wyżej cenić od poglądu

129/6204

innych ludzi. Ostateczne ustalenie pojęcia genjuszu. Osobowość genialna jako mikrokosmos z pełnią świadomości. Naturalnie syntetyczna i nadająca rzeczom sens działalność geniusza. Znaczenie i symbolika. Definicja geniusza w stosunku do człowieka zwykłego. Moralność czy niemoralność geniusza? Obowiązki wobec siebie samego i wobec innych. Co jest obowiązkiem wobec innych. Krytyka moralności na sympatji opartej i etyki społecznej. Rozumienie drugiego człowieka jako jedyny postulat moralności i poznania. Ja i ty. Indywidualizm i uniwersalizm. Moralność istnieje jedynie między monadami. Człowiek najgenialniejszy jako człowiek najmoralniejszy. Dlaczego człowiek jest *ζῷον πολιτικόν*. Świadomość i moralność. „Wielki zbrodniarz”. Genialność jako obowiązek i posłuszeństwo. Geniusz i zbrodnia. Geniusz i obłąkanie. Człowiek jako twórca samego siebie.

Spis rzeczy tomu pierwszego 315—320





+I

18964/

7